



KS. PAUL GOUIN



Pasterka z La Salette





SPIS TREŚCI

WSTĘP	4
CZĘŚĆ PIERWSZA	5
KRZYŻ OD DZIECIŃSTWA	5
SPOTKANIE Z MELANIĄ.....	5
POCAŁUNEK U KAPLICZKI ŚW. ROCHA	11
DZIECIŃSTWO	19
LAS	21
SEN.....	22
OBJAWIENIE.....	23
KRZYŻ.....	24
PIERWSZA KOMUNIA ŚWIĘTA	25
OBDARZENIE STYGMATAMI	25
PIERWSZE UKAZANIE SIĘ NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY	26
POWRÓT DO DOMU	27
LALKA.....	28
KUGLARZ JARMARCZNY	28
W KOŚCIELE OTRZYMUJE ROZGRZESZENIE	29
PASTERKA	30
W SZKOLE	31
GUZIK KOSZULI	32
NA SŁUŻBIE	33
ZŁODZIEJE	33
WIZJA CZYŚĆCA.....	34
GOŁĄBKA	36
MAURYCY	37
ŚWIĘTE OBLICZE	38
NAWRÓCENIE MAURYCEGO.....	38
Z WILKAMI	39
DRAMAT	40
UWOLNIENIE KAPŁANA Z CZYŚĆCA	42
RODZINNE KŁÓTNIE.....	43
ZNÓW W GÓRACH.....	44
DOBRY ROK.....	45
NAUKA KATECHIZMU	48
CZĘŚĆ DRUGA.....	49
MISJA W OGNIU PRÓBY	49
ZJAWIENIE	49
PO OBJAWIENIU	64
ŚLEDZTWO	66
PRZESŁUCHIWANIE.....	68

SIOSTRA MARIA OD KRZYŻA	73
SPRAWA SEKRETU	75
SPRZECZNOŚCI	78
ZIELNIK	81
WYJAZD	82
DARLINGTON	83
MARSYLIA I KEFALLENIA	90
CASTELLAMARE DI STABIA	93
KRÓTKA PODRÓŻ DO FRANCJI	98
SPRAWA REGUŁY I KONGRES	98
POWRÓT DO CASTELLAMARE	115
OPUBLIKOWANIE SEKRETU	115
PODRÓŻ DO FRANCJI. CHALON	117
CZĘŚĆ TRZECIA	120
INTELIGENTNA WSPÓŁZAŁOŻYCIELKA	120
POWRÓT DO CASTELLAMARE	120
ZNÓW WE FRANCJI	120
CANNES I LE CANNET	121
ŚMIERĆ MATKI	123
POBYT W MARSYLII	124
KLASZTOR W RENNEPONT	124
PROCES	125
PODRÓŻ DO AMIENS	128
GALATINA	129
POWRÓT DO CHÁLON	131
PROCES APELACYJNY W DIJON	131
PO PRZEGRANYM PROCESIE	133
KURACJA WODNA W GALLIPOLI	134
PODRÓŻ DO FRANCJI. PARYŻ	134
MESYNA	135
MONCALIERI	137
OSTATNIE LATA WE FRANCJI	140
ALTAMURA	144
DODATEK	147
WIDZENIE UBIORU, KTÓRY NOSIĆ BĘDĄ I DZIEŁ, KTÓRYM POŚWIĘCAĆ SIĘ BĘDĄ SYNOWIE I	
CÓRKI ZAKONU MATKI BOŻEJ	147
DWA OSTATNIE LISTY SALETYŃSKIEJ PASTERKI	151
DO KSIĘDZA COMBE, PROBOSZCZA W DIOU (ALLIER)	151
DO KSIĘDZA MESIÉRE, PROBOSZCZA W LABBÉVILLE	152





Biografia widzącej **Mélanie Calvat** z La Salette jest dziełem proboszcza **Paula Gouin w Avoise**, zmarłego 11 grudnia 1968. 50 lat intensywnej pracy i poszukiwań poświęcił autor na sporządzenie pełnej dokumentacji (składają się na nią maszynopisy i 800 listów saletyńskiej pasterki) dla jej zrehabilitowania.



WSTĘP

W ślad za trzema pierwszymi tomami kolekcji *Pour servir à l'histoire réelle de la Salette* (Dokumenty do historii la Salette), wydanej przez Nouvelles Editions Latines i za *Journal de l'abbé Combe* (Dziennik księdza Combe), Stowarzyszenie Dzieci Matki Bożej Saletyńskiej i św. Grigniona de Montfort daje czytelnikowi dziełko, stanowiące syntezę kwestii *la Salette* i biografię tej, która ją wzbudziła.

Biografia ta, dzieło księdza Gouin, proboszcza w Avoise (Sarthe), zmarłego w opinii świętości 11 grudnia 1968, rehabilituje w oczach historii jasnowidzącą z dnia 19 września 1846. Nie mniej niż 50 lat cierpliwych poszukiwań kosztowało autora sporządzenie tej dokumentacji, na którą składają się maszynopisy i osiemset własnoręcznych listów saletyńskiej pasterki. "Jestem skłonny mniemać, że Melania aż do swojej śmierci wywiązywała się z powierzanej sobie misji" – pisał mi ojciec Garrigou-Lagrange 1 września 1957.

Z lektury niniejszej książki wynika jasno, że przedmiotem tej misji było założenie dzieła Apostołów Ostatnich Czasów, zapowiedzianych przez św. Grigniona de Montfort. Jeszcze za życia saletyńskiej pasterki Kościół zatwierdził regułę zakonu Matki Bożej dla tego instytutu misyjnego, a ks. Zola, biskup diecezji Lecce (Włochy), udzielił *imprimatur* proroczej tajemnicy, której jeden paragraf brzmi: "Wzywam apostołów ostatnich czasów, wiernych uczniów Jezusa Chrystusa, którzy żyli w pogardzie świata i siebie samych, w ubóstwie, cierpieniu i pokorze, wśród wzgardy i w milczeniu, w modlitwie i umartwieniu, w czystości i zjednoczeniu z Bogiem, nieznani światu: czas, aby wyszli i oświecili ziemię...".

Stowarzyszenie Dzieci Matki Bożej Saletyńskiej składa hołd wdzięczności księdzu Gouin za to, że zostawił mu ważne świadectwo przemawiające za prawdziwością historii la Salette.

F. Corteville

Prezes Stowarzyszenia Dzieci Matki Bożej Saletyńskiej św. Grigniona de Montfort

Beaupréau, 19 marca 1969, w uroczystość św. Józefa.

CZĘŚĆ PIERWSZA

KRZYŻ OD DZIECIŃSTWA

SPOTKANIE Z MELANIĄ

Był cichy czerwcowy wieczór 1893 r. Pewna kobieta schodziła ze wzgórza Fourvière w Lyonie. Była to pora, kiedy - bez względu na pogodę - mgła się unosi z nabrzeży Rodanu i Saony, przyciemniając miasto, pora, kiedy zamyka się kościoły. Ta kobieta zapewne cały dzień spędziła w bazylice na modlitwie. Idąc, nie przestawała się modlić: można to było poznać po skupionym wyrazie jej twarzy, po rękach złożonych pod długim płaszczem, którym się otuliła. Nosi czarny strój.



Na głowie ma staromodny kapelusz albo raczej duży czepek, z którego spływa do tyłu welon. Jest wdową? Zakonnica? Ma może lat 60. Z powodu słabego wzroku idzie nieco pochylona. Mimo to dobrze się orientuje, idzie bez wahania krokiem regularnym i spokojnym. Doszedłszy do rogu ulicy Bombarde, między katedrą a sądem - tu, gdzie miłosierdzie Boże patrzy na sprawiedliwość ludzką, wchodzi spokojnie, jakby oczekiwana, do hotelu Joanny d'Arc." Przyjęcie, jakie ją spotkało, dopełnia pociechy i ukojenia, jakie doznała na modlitwie.

"Odpowiadając na pytanie Pana - pisze ona w liście z 30 listopada 1895 do redaktora Schmida oświadczam, że nigdy nie zapomnę 3 czerwca 1893 roku, dnia, w którym ks. Perraud, biskup diecezji Autun; powiadomił mię o pozbawieniu mnie sakramentów w swej diecezji. A nastąpiło to bez żadnego uzasadnienia. Jednakże ja się domyślam: ks. biskup Perraud chce koniecznie, abym na jego korzyść zrzekła się kaplicy, którą prawnie podarował mi ks. Ronjon dla Zakonu Apostołów Ostatnich Czasów. Ale czyż moje sumienie pozwalało mi dysponować dobrami należącymi do Matki Bożej? Oczywiście, że

nie; wolę cierpieć dla sprawiedliwości... Pozbawiona sakramentów, Komunii świętej, byłam głodna Boga, mej siły, mego światła, rady, drogi i już nie mogłam wytrzymać. Udałam się do Lyonu i tam w tej pięknej świątyni na Fourviere doznałam pociechy; wyspowiadałam się, otrzymałam swego ukochanego Jezusa i długo się modliłam za swych trzech prześladowców: ks. biskupa Perraud, księdza Dessus i księdza Gautheron. Było już późno, nie znałam Lyonu, opuściłam, więc bazylikę. Schodząc ze wzgórza, modliłam się w dalszym ciągu. Prowadziła mnie Joanna d'Arc - aż do hotelu swego imienia przy ulicy Bombarde nr 4-6, między katedrą a sądem. Tam spędziłam noc w dobrym towarzystwie. Właścicielka hotelu była bardzo dobra dla mnie i nie chciała zapłaty... Jakże ja się modliłam i modłę w intencji tej chrześcijańskiej rodziny...

W lipcu znów przybyłam do Fourvière, aby się wy- spowiadać i przyjąć Komunię świętą. Dnia 17 lipca wyjechałam z Châlon-sur-Saône do Włoch. Tam zakaz sakramentów nie istniał dla mnie..."

Co to, więc za kobieta? Domyślamy się, że to pasterka z la Salette. Ona zaś sama podpisuje się: **Siostra Maria od Krzyża - Melania Calvat**.

Tej starszej kobiecie, wówczas gdy miała lat czternaście i gdy pała krowy na halach górskich, objawiła się Najświętsza Maryja Panna i, rozmawiając z nią, poleciła jej przekazać swe słowa całemu ludowi. Działo się to 19 września 1846 r. Już pół wieku upływa od tego momentu, a wieśniacza pasterka, mimo ubóstwa, słabości i poczucia osamotnienia, nie przestaje pełnić swej misji. Jednakże bez rezultatów. Bez rezultatów - to mało: oto już po raz trzeci spada na nią potępienie ze strony wysokiej osobistości kościelnej, to klęska ostateczna.

Jeszcze w roku 1854 ks. Ginoulhiac, biskup diecezji Grenoble, oświadczył, że jest ona "pyszałkiem ulegającym złudzeniom", sprzeciwiał się złożeniu przez nią ślubów zakonnych u Sióstr Opatrzności w Corenc, gdzie kończyła nowicjat i wygnał ją do Anglii.

Później, zimą 1878-1879 roku w Rzymie, ks. Fava, również ordynariusz diecezji Grenoble, wbrew poleceniu wydanemu wcześniej przez papieża, odrzucił regułę, którą - jak twierdziła Melania - podyktowała jej Matka Boża dla misjonarzy apostołów ostatnich czasów oraz dla zakonnic mających obsługiwać sanktuarium w la Salette. Dalej, w kongregacjach rzymskich wzbudził co do niej podejrzenie. Jej broszurę, zawierającą zwykłe opowiadanie objawienia, a wydaną tego samego roku w Lecce (Włochy) z imprimatur miejscowego ordynariusza, zdyskredytowano i zakazano jej rozpowszechniania. Z powodu tej broszury biskup z Lecce otrzymał nagane, Melanii zaś radzono zachować milczenie.

Teraz wreszcie, przytłoczona ciężarem grózb, znów idzie na tułaczkę, niosąc w sobie grot godzący w samo jej życie duchowe i w podstawę jej powołania. Ośmieliła się, bowiem wytoczyć proces wykonawcom testamentu zmarłego księdza Ronjon, występującym z ramienia ordynariusza diecezji Autun; stawiała czoła sławnemu i czczonemu biskupowi; przełożonemu oratorianów we Francji, członkowi Akademii Francuskiej, który wkrótce został kardynałem. Dała się wciągnąć w wir interesów finansowych, w podejrzone dyskusje prawnicze i wyszła skompromitowana. Teraz jej nie pozostawało nic innego jak tylko oddalić się i milczeć. Wyjeżdża więc ukryć się we Włoszech.

Po dziesięciu latach podróży, szarych prac, znów powróci do ojczyzny, by tu zostawić swe kości. Pamięć o niej zaginie, jej pisma zostaną pogrzebane, a na całość faktów saletyńskich padnie mroczna zasłona rozterek i niepokojących sprzeczności.

Losy Melanii niejednemu narzucają wniosek: jasnowidzący źle kończyli. Ich opowiadania o objawieniu uznaje się za szczere, jednakże przesiewa się przez sito i podaje w wątpliwość wypowiedzi Najświętszej Panny, które oni przytaczają. Wypowiedzi te, jak wiemy; dzielą się na trzy części. Pierwsze orędzie, zwane zazwyczaj "mową publiczną", stanowi ostrzeżenie całego ludu chrześcijańskiego przed skutkami bluźnierstw oraz zapominania przykazań Bożych i kościelnych; to orędzie wyrecytowały dzieci natychmiast, dosłownie i zgodnie, mimo że pytano je oddzielnie. Druga część słów Najświętszej Panny składa się z dwóch przemówień skierowanych najpierw do Melanii, następnie do Maksymina, a nazywanych "sekretemi". Melania otrzymała polecenie odsłonięcia swego sekretu dopiero w roku 1858. Maksymin wyjawiał swój, i to na piśmie, tylko papieżowi Piusowi IX. Wreszcie trzecia część, to reguła zakonna, podyktowana Melanii przez Matkę Bożą. Melania przez całe swe życie będzie wiernie trwać przy zasadzie przyznawania tej reguły tylko osobom gotowym skrupulatnie jej przestrzegać.



Foto. Maksymin i Melania w roku 1850

Ta zwłoka w przekazywaniu poszczególnych części słów objawionych oraz różne sposoby tego przekazywania wywoływały już od początku zdziwienie, zastrzeżenia, zarzuty. Proroczy język i styl sekretu Melanii, jej patetyczny apel i bolesne wyrzuty skierowane do duchowieństwa, jej zapowiedzi srogich kar sprawiedliwości Bożej - wszystko to wydawało się dziwnie twarde.

Czyż Najświętsza Panna mogła być jednocześnie tak poufała, niemal przyziemna, mówiąc (gwarą w pierwszej części orędzia) o ziemniakach, o zniszczającym zbożu i tak straszna, tak tragiczna w drugim?

"Okazuje się - powie potem Melania w liście do p. Schmida z 25 VI 1897 r. - że są ludzie, którzy poczytują sobie za obowiązek czuwać nad tym, czy też wszechmocny Bóg nie mówi rzeczy zbyt twardych i skandalicznych, gdy zniża się do rozmowy ze swymi stworzeniami. Pozwalają Bogu skarżyć się, że wieśniacy bluźnią, pracują w niedzielę, nie uczestniczą we mszy świętej, ale... nie pozwalają Mu żalić się na to, że kapłani nazbyt lubią złoto...".

Ach, ta... Jakże zażarcie broni ona swego chłoszczącego sekretu! Co za impertynencja! Z jasnowidzącej przedzierzgnęła się w wizjonerkę... Można by jej powiedzieć to, co powiedział prorok Ezechiel fałszywym prorokom: "Biada wam, którzy idziecie za swymi zamysłami! Wasze widzenia są próżne, a wasze wyrocznie kłamliwe. Mówicie: 'Pan powiedział...'", podczas gdy Pan nic nie rzekł" (13,1-14).

Ujawnione po fakcie jej sekret i jej reguła zapewne są jej wymysłem. Ta kobieta jest egzaltowana, chorobliwa ambicja sprowadziła ją na bezdroża. Dzięki darowiźnie uzyskanej w Châlon od księdza Ronjon, staruszka powzięła projekt założenia instytutu zakonnego i przeciwstawiała się świętemu biskupowi z Autun. Zresztą przegrała proces. Teraz wiedzie na obczyźnie dziwne życie. Trzeba względem niej zachować jak największą roztropność i - ostatecznie - im mniej się mówi o objawieniu saletyńskim, tym lepiej.

Jednakże dużo o nim mówiono i - co gorsze - pisano. Niezadowoleni uznawali wyrzuty sekretu za własne, zgorzkniali egzegeci i egzaltowani wierzący wysilali się na komentarze; w których zmieszana była prawda i fałsz; umysły niespokojne, amatorzy prorostw, wymyślając awanturnicze prawdopodobieństwa, zaciemniali rzeczy; poszukiwacze utopii politycznych przeciągali na swoją stronę objawienia saletyńskie i, dodając mrzonki swego siewu, posługiwali się nimi, by zapewnić tryumf własnym ideom czy ambicjom.

Melania wszakże nie schlebiała ich manii i unikała kontaktu z nimi. "Nie powinniśmy tracić czasu na te sprawy" - pisała do ks. kanonika Brandta w styczniu 1883. Innemu księdzu, który przysłał jej do wglądu swój artykuł przemawiający na korzyść fałszywego pretendenta do tronu Naundorffa,

odpowiedziała: W tej chwili Francja nie chce króla... Gdy nadejdzie odpowiedni moment, Bóg znajdzie króla dla Francji, która jednak będzie upokorzona aż do środka ziemi..." A jeszcze innemu księdzu politykowi nie wahała się powiedzieć: "Diabeł bawi się z pewnymi osobami, aby ich nakłaniać do spędzania życia na błazeństwach". Zresztą, prawdę mówiąc, pisarze religijni bądź też marzyciele, czy polemiści, nie zwracali się do Melanii o radę.

Jej listy dowodzą przezorności, z jaką się wypowiadała o objawieniu i w ogóle troski o to, by publicyści czerpali wiadomości z wiarygodnego źródła i trzymali się czystej prawdy.

Nie trzeba - pisze ona w styczniu 1880 r. do ks. kanonika Brandta - fantastycznymi komentarzami i fikcjami odrywać umysłów od celu głównego, który polega na tym, aby wziąć do serca to, co się im mówi i aby się nawrócić". Kiedy indziej (dnia 17 marca 1897) odpowiadając na list redaktora Schmida, zawierający nagłą prośbę o objaśnienie do zwykłego opowiadania o objawieniu, Melania pyta się: "Na cóż to się zda? Skoro wzgardzono miłosiernymi ostrzeżeniami Matki Bożej, to tym bardziej by wzgardzono szczegółami, które ja dać mogę, ja zaś stałabym się przyczyną grzechu niewdzięczności, który popełnialiby niedowiarkowie". Później, 10 marca 1904 roku, w liście do księdza Combe, który usiłując wszystko wyjaśnić, snuł przypuszczenia co do dat zapowiedzianych wydarzeń, tak się zwierzała: "Ksiądz zadaje sobie wiele trudu... Mnie się wydaje, że ten komentarz nie jest konieczny... Proroctwa nie są jasne. Zdarzało się, że komentatorzy widzieli w teraźniejszości lub niedalekiej przyszłości wydarzenie bardzo, bardzo odległe. Napotykałam w Ewangelii różne szczegóły, których święci ojcowie nie mogli wyjaśnić. Zostaną one jednak wyjaśnione później". Temu samemu duchownemu, który czuwał nad drugim wydaniem jej broszury napisanej w Lécce, przypomina: "Przypuszczam, że jasno po francusku wyraziłam swe życzenie, aby przedruk mej broszury z Lecce był wolny od wszelkich dodatków, jakkolwiek święte i pożyteczne mogłyby one się wydawać". I aby uspokoić niecierpliwych egzegetów, których zapał szkodził sprawie, dodała: Odrzucanie wielkich prawd nadprzyrodzonych i odmowa podporządkowania się im jest oznaką, że pochodzą one z nieba. "Ludzie naszych czasów - tak pisze do ks. kanonika Brandta we wrześniu 1881 - nie są zdolni zrozumieć i ocenić tych prawd... i to właśnie skłaniałoby ich do sztychu z nich".

Ta rozumna rezerwa, której jasnowidząca z la Salette nigdy się nie wyzbywała, nie mogła z jednej strony zapobiec negacji cudu, a z drugiej uchronić jej samej od przeciwstawiania się - często gwałtownego i niezręcznego - produkcji literatury saletyńskiej, której miernota równała się na ogół obfitości.

Papierowa wojna o la Salette rozpoczęła się już w roku 1851 ofensywą dwu duchownych z diecezji Grenoble. Jeden z nich, nazwiskiem Déléon (lecz podpisujący się pretensjonalnie: Donnadiou), skandalicznym życiem ściągnął na siebie karę interdyktu, drugi, ks. Cartellier, był proboszczem w Grenoble. Kierując się duchem buntu i żądzą zemsty na swym biskupie, księdzu de Bruillard, odpowiedzieli protestem na jego pierwsze orzeczenie kanoniczne, uznające cudowny fakt saletyński za wiarygodny, i na położenie kamienia węgielnego pod kościół na świętej górze. Ale za mało im było trzech paszkwili wydanych kolejno. Obmyślili inny manewr, podstępny i szkodliwy. Wydali prospekt informujący o ukazaniu się tych perfidnych pamfletów w formie jednego tomu. Teraz ich pisma zapowiadały się zupełnie prawowiernie, gdyż bowiem w tytule ich książki nie ma słów: "la Salette wobec papieża", "memoriał do papieża"? Początkowo zjednują, więc sobie pewną sympatię, ale - potępieni przez biskupa - tracą posłuch, tracą czytelników. Lecz nowe kłamstwo pewnie ich uratuje... Dzieci widziały zwykłą kobietę. Oto niejaka panna de Lamerlière, stara i ekscentryczna, mimo swej otyłości, sama w przebraniu przebiegła długie kilometry górskich dróg, weszła na wierzchołek la Salette, przed oczyma naiwnych pastuszków gra rolę Matki Bożej.

Głęboko dotknięta w swej wierze i czci panna de Lamerlière wytoczyła potwarcom proces, który zakończył się ich ośmieszeniem. Mimo to artykuły i broszury nie przestawały się ukazywać, w krótszych lub dłuższych odstępach czasu, zależnie od okoliczności, a rzeczy się gmatwały, traciły na wyrazistości, by w końcu zatracić charakter indywidualności.

Pierwszym i zasadniczym błędem opozycjonistów było to, że nie zwracali się do źródła po informacje. Od kogo lud chrześcijański i Kościół dowiedział się o objawieniu w dniu 19 września 1846 r. na górze la Salette? Od samej jasnowidzącej, Melanii Calvat. Prócz Maksymina - tego chłopczyka; którego chyba sama Opatrzność skierowała tutaj, aby był świadkiem wydarzenia - nikt nie był z nią na górze 19 września o godzinie 3 po południu. "Kto się ośmielił zahamować spełnianie przez jasnowidzących ich misji?" - zapyta się ksiądz Combe w swym liście z 16 kwietnia 1898 r. Melania, która słuchała słodkiego głosu najmiłosiernej, przejasnej Dziewicy Maryi.

Głosząc wiarygodność cudownej rzeczywistości objawienia; kolejne orzeczenia doktrynalne biskupów z Grenoble oraz aprobaty papieskie uznały dobrą wiarę Melanii i jasną wierność jej pamięci. Przyjąć tylko jedną część jej orędzia, a resztę poddawać w wątpliwość to odmawiać jej zaufania, to właściwie stawiać pod znakiem zapytania całe orędzie, a nawet fakt saletyński.

Na czym się zasadza odróżnienie tego, co pochodziłoby od Boga, od tego, co byłoby ludzkim wymysłem cudu od oszukaństwa? Na ocenie, choćby tylko

ogólnej, osobowości pasterki. Jakaż ona jest? Czy ją znamy? Ją trzeba poznać: poznać jej mentalność, obyczaje; życie wewnętrzne, poznać to co w niej skłania nas do tego, by jej wybraństwo Boże uznać albo za nieprawdopodobne albo za uzasadnione. Trzeba sobie wyrobić pewność nie na podstawie ogólników, lecz na podstawie wiarygodnych dokumentów. Co więc one mówią? Jest ona symulantką, miewa halucynacje, czy też jest rzeczywiście predestynowana do spełnienia nadprzyrodzonej misji?

Dokumentów takich mamy niemało. Jest przede wszystkim wiele jej własnoręcznych listów, są trzy autobiografie jej dzieciństwa. Powiedziała o sobie wszystko, co uznała za stosowne wyjawić, a czyniąc to, by najmniej nie kierowała się pychą czy miłością własną, gdyż jak nie chełpi się łaskami otrzymanymi niezasłużenie, tak nie wstydzi się chropowatości swej natury. "Jestem nieco dzika - przyznaje się w listach do p. Schmida z 2 czerwca 1894 i 19 marca 1896 r. Trochę mi brak savoir-vivre... W ogóle nie jestem ani powabna, ani miła". Brak jej również kultury i nie lubi ostentacji. Jeśli pisze czy mówi, to tylko zmuszona okolicznościami lub poleceniem przełożonych i czyni to krótko, bez upodobania, niechętnie; czasem nawet z żalem. "Gdybym miała ten życiorys - pisze 7 czerwca 1899 r. do ks. Combe - rzuciłabym go na dno morza".

Jeśli pisze - trzykrotnie i w wersjach nieco odmiennych - opowiadania pierwszych lat swego życia, to jedynie na żądanie osób, którym przyznaje władzę nad sobą. Zresztą te trzy opowiadania urywają się przed objawieniem, a zredagowane są tylko po to, aby objaśnić jego sens. **W Melanii liczy się jedynie to, co ma związek z orędem saletyńskim i z misją jego rozpowszechniania. "Zawsze trzeba się trzymać prawdy" przypomina panu Schmidowi w liście z 28 października 1896 - i unikać fałszowania sumień. Wielka obiektywność tej nadzwyczajnej istoty, jest absolutną gwarancją jej prawdomówności. Pozwólmy, więc jej się prowadzić - i tylko jej - strona za stroną, krok za krokiem, a dojdziemy prawdy.**

POCAŁUNEK U KAPLICZKI ŚW. ROCHA

Wieczorem dnia objawienia, 19 września 1846 r., Melania i Maksymin, schodząc ze świętej góry, zabierają swe stada do swych gospodarzy. Melania jak zwykle jest milcząca, Maksymin podniecony. Dziesięcioletni chłopczyk ekspansywny i rozmowny, wrażliwy i roztrzepany, nie mógł się powstrzymać od opowiadania tego, co widział i słyszał. Zwierza się, że z razu bardzo się bał. Ujął wtedy mocno swój kij i usiłował rzucać kamieniami w stopy "Pani". Melania zaś już od pierwszych dźwięków słodkiego i najmiłosierniejszego głosu "poleciała do Niej". Stała tak blisko zjawy, że - według zwierzenia, które się jej potem

wyrwało, a które zanotowała siostra zakonna de Maximy – słuchając słów Najśw. Panny, byłaby mogła ucałować Jej rękę.

Obecnie jednak Melania milczy, a mówi Maksymin: Tego pamiętnego dnia paś on krowy Piotra Selme, który będąc przyjacielem jego ojca, wyprosił sobie u rodziców chłopczyka, aby mu go dali na parę dni do zastąpienia chorego pasterza. Teraz malec, gdy już wszystko wypaplał u swych gospodarzy, biegnie do chlebowodawcy Melanii. Tymczasem ona po przypędzeniu krów weszła za nimi do chlewa i, przywiązawszy starannie, porządkuje wszystko bez pośpiechu. A gdy gospodyni po wysłuchaniu relacji Maksymina przychodzi do niej i odzywa się z płaczem:, „Dlaczego, moje dziecko, nie przyjdiesz opowiedzieć mi, co wam się zdarzyło na górze?”, dziewczynka odpowiada: "Chciałam wam to opowiedzieć, ale chciałam wpierw skończyć swoją robotę".

Najpierw codzienny obowiązek... Dziwna, zdaje się nieco niepokojąca, postawa wobec takiego wydarzenia. Czyż jej ono nie zaskoczyło? Nie wywarło na niej głębokiego wrażenia? Jeszcze nie wiemy; w każdym razie ona wydaje się tak spokojna jak Maksymin wzruszony. Czyżby ta dziewczyna - która, mimo że skończyła już czternaście lat, jeszcze nie umie czytać i nie będzie w tym roku dopuszczona do pierwszej Komunii św. - nie pojmowała, co się jej zdarzyło i jaka misja przypada jej w udziale?

Tajemnica... Tak, to tajemnica, ale klucz do niej Melania sama zostawiła w swych autobiografiach dzieciństwa. Pewien zanotowany w nich epizod może wszystko wyjaśnić. Otóż od kilku miesięcy, od zeszłej wiosny, wzniosła się ona na jeden z najwyższych stopni kontemplacji wlanej. Żyje w zjednoczeniu z Bogiem. Oddycha i porusza się duchowo w atmosferze nadprzyrodzonej, gdzie cudowny fakt objawienia, aczkolwiek niezmiernie zdumiewający, wcale jej nie zadziwił. Jeśli przeto pozostaje niewzruszona, to dlatego, że już udzielała się jej sama Najwyższa Rzeczywistość.

Była jeszcze maleńka, gdy zaczęło ją pouczać i prowadzić przez piękne dziecię, które nazywało się jej bratem a zwracało się do niej: "siostró, siostró mego serca". Cokolwiek wie ona o Bogu, od niego się dowiedziała. Chłopczyk ten jest mistrzem swej przyjaciółki. Już pierwszego dnia, kiedy się jej ukazał, prosiła go, aby ją pocałował, lecz on odpowiedział, że jeszcze nie pora na to.

Pewnego wieczoru minionej wiosny nadeszła upragniona pora.

Melania była dawana na służbę, jako pastuszka już od siódmego roku życia. W tym jednak czasie, wskutek zmiany miejsca służby, była u swych rodziców w Corps, niewielkiej wsi, siedzibie władz kantonu Isère, na drodze z Grenoble do Gap. W pewnej odległości od Corps znajduje się wiejska kapliczka, która w cieplej porze roku jest przyjemnym celem przechadzki - kapliczka św. Rocha.

Mała rotunda o dwu wąskich oknach, zwieńczona niewysoką wieżyczką, z wierzchołka zielonego pagórka dominuje nad głębokim jeziorem o krystalicznie czystej wodzie. Stamtąd widać Corps, położone na skraju płaskowyżu u stóp wysokich gór, których fałsty łańcuch wznosi się aż do ośnieżonych szczytów.

Ten to uroczy zakątek stał się oprawą najdonioślejszego i rozstrzygającego epizodu tajemniczego dzieciństwa Melanii. Ale niechże ona sama go opowie.

"Razu pewnego moja matka, Julia, mówi do mnie i do mych sióstr i braciszków: Dzieci, idźcie na dwór się bawić; chcę pozostać sama w domu. Idźcie do św. Rocha". Poszłam więc ze swym rodzeństwem aż do kaplicy św. Rocha ciągnie dalej Melania. – W pewnej chwili siostrzyczki i braciszki mówią do mnie: «Chcesz się zabawić?» Odpowiedziałam, że nie umiem się bawić. Wtedy one zeszły na zbocze pagórka, na którym znajduje się kapliczka św. Rocha, aby się bawić, ja zaś pozostałam sama. Zabawiałam się patrzeniem przez okna na figurę św. Rocha i prosiłam tego dobrego świętego o wyjednanie u Boga uzdrowienia mej duszy, abym już nigdy nie wyrządzała przykrości swemu ukochanemu Jezusowi i Jego Matce... Widziałam, że Ona zawsze gniewa się na mnie i to sprawiało mi cierpienie. I odmówiłam pięć Chwała Ojcu, aby podziękować Bogu za łaski, jakimi obdarzył tego świętego.

Wtem nagle usłyszałam łagodny, słodki, ukojenie niosący głos mego ukochanego i dobrego małego Braciszka, który mię wołał: «Moja droga Siostró, Siostró mego serca, jestem Twój». Szybko odwróciłam się do niego; me serce skoczyło z radości. Był to istotnie mój upragniony Brat ze swym anielskim wyrazem twarzy i niebiańskimi oczyma. Natychmiast odezwał się on do mnie: Skoro tylko Najwyższy polecił mi przyjść porozmawiać z Tobą, po Twym zwycięstwie przychodzę do Ciebie, Siostró mego serca... Prosta i bez wykształcenia nie wiedziałam; co to za zwycięstwo było. Lecz mój Brat wyjaśnił mi, że odniosłam zwycięstwo w Saint-Michel i w Quet i że wobec tego teraz umiem walczyć. Zapowiedział mi inne przeciwności i walki o prawdę. Wtedy przypominałam mu, że według jego oświadczenia wolno mi będzie go pocałować, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Pora ta chyba już nadeszła.

Na to odpowiedział mi on ze słodkim uśmiechem; że to nie ja jego, lecz on mnie pocałuje. «Och, mój dobry Bracie - odrzekłam mu - szybko, spieszymy się dla miłości naszego ukochanego Jezusa Chrystusa». Wtedy złożył on pocałunek na moim czole, ustach i piersiach pobłogosławił mię i odszedł".

Jej siostry i bracia przyszedli do niej i razem powrócili do domu. Matka się gniewa, że Melania nie bawiła się z rodzeństwem. Ta dzikuska, ten milczek, zawsze z dala od innych - to stanowczo niemożliwe! Próżno ojciec chce ją zatrzymać w domu - trzeba ją znów oddać na służbę, skoro tylko nadarzy się okazja.

Okazja się nadarzyła: umieszczono ją w Ablandins, przysiółku należącym do gminy la Salette.

Na tym kończy się jedna z najobszerniejszych biografii Melanii, mianowicie ta z roku 1900. Dlaczego jednak opowiada ona tylko historię pierwszych czternastu lat życia? Życia? Czyż to jest życie? Tak, z nadprzyrodzonego punktu widzenia jest to pełne życie ten ostatni epizod jasno to przedstawia: Melania nie ma już nic do powiedzenia. Jeśli do tego - i tylko do tego - momentu ograniczyła relację swego dzieciństwa, to jedynie, dlatego, aby nas zachęcić do towarzyszenia jej na drogach Bożych, prowadzących aż do objawienia.

Nawet anegdoty, czasami zabawne, mają w niej miejsce i sens, ale tylko dlatego, że służą za stopnie nauk mistycznych i że, mieszając najbardziej przyziemny realizm z najwyższą rzeczywistością duchową, nakłaniają nas, byśmy brali pod uwagę oba składniki życia: materialny i duchowy. Na przykład pocałunek, który właśnie odebrała u kapliczki św. Rocha, nie jest początkiem; ale uwidocznieniem obcowania z Bogiem. Wprowadzona na drogę łaski od najwcześniejszego dzieciństwa, oświecona samą Prawdą, oczyszczona doświadczeniami ostatniego roku służby, tak ciężkiego i przepełnionego duchem Jezusa Chrystusa i to Chrystusa ukrzyżowanego, ofiarowana przez Niego i z Nim Ojcu Niebieskiemu, przystąpiła Melania do mistycznych zaślubin.

Ale posłuchajmy jeszcze, co mówią jej własne pisma: Otóż w owej włoskiej autobiografii zanotowała ona - na życzenie księdza kanonika Annibale di Francia - swe przeżycia wewnętrzne. Przeżycia wewnętrzne, mistyczne... A może ona je tylko odtwarza? Wiemy, że czytać nauczyła się dopiero później i że nawet później mało czytała; nie mogła więc kopiować lektury. "Nie czytałam o rzeczach mistycznych" przyznaje się ona ks. Combe w liście z 12 lutego 1900 r.

Nie czytała o nich, ale je przeżywała i to już od dawna. Już od chwili kiedy będąc małym dzieckiem przebudziła się w lesie po wtajemniczającym śnie i kiedy miała wrażenie, iż po jej osobie pozostał tylko płomyczek, którego jedynym pragnieniem było przypodobać się swemu Ukochanemu, już od tej tajemniczej chwili - po której zresztą pozostał tylko błysk wspomnienia - pozostawała na pustkowiu głębokiego skupienia. "I - tak się ona zwierza - żyłam w wyobraźni naszym Boskim Zbawicielem, który udzielał się mej duszy w sposób, którego nie umiem sobie wyobrazić.

Moje zmysły nie funkcjonowały w żaden sposób, wydaje mi się, że były więziami miłości... To udzielanie się Wszechmocnej duszy, dokonuje się bez słów i im bardziej rozżarzają duszę płomienne strzały miłości Bożej, tym bardziej zapalają w niej jednocześnie gorące umiłowanie cierpień, tak że nie wiedziałam, która z tych dwóch miłości jest mocniejsza...

To dopiero pierwsze muśnięcie łaski.

Nieco później - gdy po swej chorobie w dzieciństwie, ma długie godziny spokoju i ciszy, aby pozwolić opanować się tym stanom głębokiego skupienia, w których odsłaniają się jej tajemnice Boże - dostrzega inny, jeszcze wyższy sposób mistycznego jednoczenia.

"W jednej chwili zostałam całkowicie opanowana - pisze dalej ta wybranka Boża. - Umysł został jakby otwarty, przeniknięty, wzniesiony światłem Bożym, by trwać w nim na wieki".

"Nie umiem wyjaśnić tego sposobu przemawiania Boga do duszy - mówi z pokorą Melania. - Wiem jednak, że są trzy różne rodzaje lub sposoby tego przemawiania Pana Wszechmiłosierdzia do mnie, mimo głębi mych niewierności, i że różne są także skutki, jakie każdy z nich wywołuje". Następnie przerwawszy swe właściwe opowiadanie, opisuje ona, jeden po drugim, trzy sposoby mistycznych udziałów się Pana. Ale w tym względzie trzeba iść w ślad za jej relacją:

I. Ukazywanie zmarłego brata przyciąga Melanię do Jezusa

"Ukazywanie się mego Brata pociągało mnie do umiłowania Jezusa Chrystusa, cierpień, jednoczenia się z wolą Najwyższego Boga, wzbudzało we mnie ukochanie nieprzyjaciół; święty lęk obrażania Boga, chęć kierowania się dobrą intencją; pogłębiało poznanie swej nicości: oderwanie od siebie samej i od wszystkich rzeczy przemijających dla czystej miłości Boga błogosławionego. Muszę jeszcze powiedzieć, że ponieważ byłam wielką ignorantką we wszystkich rzeczach odnoszących się do Boga i wszechświata, mój miły Brat zechciał zostać moim mistrzem: uczył mnie, poprawiał, często strofował łagodnie, następnie zachęcał do ufności w wieczyste miłosierdzie Boga i w zasługi męki Jezusa Chrystusa, naszego słodkiego Zbawiciela. Objawienia mego bardzo kochającego Jezusa, szalonego z miłości do swych stworzeń, wywierały te same skutki. Miłość, jaką wlewał w me serce mój słodki Jezus, stale się potęgowała, ja zaś im bardziej się unicestwiałam, tym bardziej wzrastało we mnie także pragnienie cierpienia dla mego ukochanego Jezusa ukrzyżowanego: Wydaje mi się, że im bardziej kontemplowałam majestatyczne i królewskie piękno miłego Oblubieńca mojego serca, tym bardziej rozumiałam swą małość i czułam odrazę do siebie samej z powodu licznych plam, jakie odkrywałam na swej duszy.

Po objawieniach (mówię: po objawieniach - ponieważ oczyma ciała widziałam ukazujące mi się istoty, nie wiem, czy wszyscy chrześcijanie tak widzą), otóż po objawieniach czułam się pocieszona, wzmocniona, ufna i gotowa coraz bardziej kochać swego Stwórcę, Zbawcę i Stróża, coraz bardziej cierpieć oraz unikać nawet cienia grzechu.

II. Teraz mówić będę o drugim sposobie przemawiania Boga do mej duszy.

Zdarzało się, że podczas modlitwy - nagle i w jednej chwili, bez żadnego przewidywania niczego znajdowałam się w obecności mego Brata albo Najśw. Maryi Panny - tego Arcydzieła Trójcy Przenajświętszej - albo też Jezusa ukrzyżowanego i nie wiem, czy widziałam Ich oczyma otwartymi czy zamkniętymi. Wydaje mi się, że słowa wizji (wymawiane bez słów), Jak również słowa przekazu wyobrażeniowego, niejako wyciskały swe piętno na mej duszy i, oświecając ją, zapalały w niej ogień miłości Bożej, oczyszczały ją; całkowicie ogołacały i bez przemocy nakłaniały jej wolę do pełnienia woli Bożej. Ale mało tego: rzec by można, że nasza wola traciła swą zdolność chcenia czy niechcenia, że stawała się jak najściślej zjednoczona z wolą swego Najwyższego Dobra, stopiona z Nim, tak iż się wydaje, że od tego momentu dusza ma wolę samego Boga, że może chcieć tylko tego, czego chce Bóg błogosławiony, że kocha tę wolę Bożą, która jednakże pozostaje stała i niezmienna, podczas gdy łaska to nad łaskami - dusza jest podtrzymywana najmiłosierniejszą mocą Boga.

Wydaje mi się, że w tym stanie wiara bardzo pomaga duszy pragnąć gorącym pragnieniem utracić swą własną wolę, aby się całkowicie zjednoczyć z wolą Boga, którą uznaje za najlepszą i najmiłociwszą. Dusza w tym stanie jest jakby umocniona w Bogu, którego kocha żarliwą miłością i widzi (bez oczu cielesnych) wielkość, piękno, dobroć, potęgę tego Boga nie stworzonego, który - niezmienny w sobie - działa nieustannie i sprawuje rzeczy tak cudowne w duszach swych stworzeń. Nie umiem opisać finezji działań miłości Bożej w duszy. Wiem tylko, że gdy miłość ta staje się panem serca, doprowadza do zjednoczenia z Boskim Oblubieńcem, tak iż odtąd dusza nigdy się nie rozstaje ze swym kochającym Jezusem, zawsze się lękając, by Go nie obrazić, by nie zrobić najmniejszej rzeczy, która nie podobałaby się jej Ukochanemu. Jeśli zaś chodzi o nią samą, to zna ona swą słabość i przepaść swej nędzy, jest całkowicie przekonana, że z siebie samej byłaby absolutnie niezdolna uczynić jakiegoś dobra, które by mogło zjednać zasługi dla życia wiecznego. Wie, że jeśli robi akt miłości, jeśli pragnie miłości, cierpienia, pogardy, męczeństwa, śmierci męczenników itp., to wszystko to jest łaską i dziełem wielkiego miłosierdzia Jezusa ukrzyżowanego, którego kocha z całego serca, ze wszystkich sił. - Amen.

III. Stan trzeci. W tym stanie miłosierdzie naszego najmiłszego Jezusa udziela się duszy bez obrazów.

Wydaje mi się, że dokonuje się to za pośrednictwem umysłu - ale nie wiem i nie umiem tego wytłumaczyć. Oto jak ja rozumiem tę rzecz i jak jej doświadczyłam. Otóż słodki, harmonijny, łagodny, miłosny, potężny i przenikliwy głos mego kochającego Jezusa, Króla mego serca, mówił mi: «Siostró moja, czy mogę rozporządzać tobą swobodnie, tak jak mi się podoba?». Głos ten był istotnie

głosem, ale całkiem wewnętrznym. Był to głos, który wraża się w duszę, ale który pozostawia w umyśle żywe, mocne, nieodparte wrażenie, że jest głosem Boga błogosławionego. Wydaje mi się również, że głos mego Najwyższego i Ostatecznego Dobra jest głosem sprawczym, który, wypowiadając swe słowo, wykonuje łagodnie swą, podziwu godną, pracę w duszy, której wszystkie trzy moce zostają błyskawicznie oświecone, Różne są skutki wywierane na duszy przez to Boże udzielanie się, ale dusza, na którą padło wielkie światło Bożego Majestatu nie stworzonego, schodzi w otchłań nicości i widzi, że nie odpowiada łasce Bożej. Mimo to nie zniechęca się, ponieważ przepętniona jest ufnością w miłosierdzie swego Boga, którego kocha mocno i czule, ze wszystkich swych sił.

Zdawać by się mogło, że w tym stanie można by już nie wzbudzać aktów wiary. Ze mną jest jednak inaczej. Widząc się bezsilną odpowiedzieć na tyle dobrodziejstw, mawiałam częstokroć: «moje drogie Dobro, wierzę Ci, wierzę w Ciebie: Dobroci nieskończona, Boże mego serca, Kocham Cię!».

Można jeszcze wyrażać Bogu swój ból z powodu zniewag, wyrządzanych Jego Majestatowi oraz żywić nadzieję wyjednania - przez zasługi Jezusa Chrystusa - ich całkowitego przebaczenia. A akty pokory?... Wiemy, jakie upodobania ma Bóg Najwyższy w duszy pokornej.

Niejednokrotnie oddawałam całą swą wolę memu drogiemu Jezusowi, dlatego też kiedykolwiek przemawiał do mnie, zawsze na nowo żądał jej ode mnie, tak, że za każdym razem napawało mię to smutkiem. Zawsze więc na nowo oddawałam Mu całkowicie swą wolę tak, że już nie miałam innej aniżeli Jego droga wola. Wówczas widziałam, że przenikające mnie wielkie Światło poszerzało moją inteligencję, że Bóg wszelkiego miłosierdzia przywiązywał me serce do swego rozplomienionego Serca i że swymi słodyczami, nęcącymi a tajemnymi, przyciągał do siebie mą duszę swobodnie podporządkowywał jej wolną wolę swemu żądaniu. Wtedy rozumiałam, że powinnam oddać Mu swą wolę nie tylko w posłuszeństwie przykazaniom zewnętrznym: umysł mój powinien ugiąć się przed przekonaniem, że w nich się wyraża wola Boga błogosławionego. Oko wiary zawsze pokazuje Boga we wszystkich rzeczach, we wszystkich wydarzeniach i zmiennych kolejach ziemskiego losu.

W tym trzecim stanie miłosierdzie Boże jasno się ukazuje i, rozmawiając łaskawie z duszą, poucza ją, zachęca do miłowania doskonalszego, bardziej wspaniałomyślnego, jak przystało na prawdziwą, czystą miłość.

W tych intuicyjnych kontaktach dusza nawiązuje najściślejszą łączność ze swym ukochanym Najwyższym Dobrem i wydaje się, że nic nie może jej od Niego oderwać.

Rozumowanie nie jest w stanie dokonać czegokolwiek, gdy odbywa się ten kontakt. Samo tylko serce zdaje się chcieć wyrwać na swobodę - tak bije, skacze. Nie umiem powiedzieć, jak to się dzieje, ale skoro tylko mój niezmiennie kochający Jezus raz w pełni posiada duszę, wydaje się, że ulata ona w przestrzeń, że widzi aniołów, że słyszy ich śpiew, że widzi wydarzenia w dalekich krajach i poznaje myśli ludzkie.

W głębi serca czuje miłosny lęk przed wyrządzeniem swemu Bogu nieprzyjemności, choćby najmniejszej.

Nigdy nie odrywa od Niego oczu i wydaje się tak ściśle zjednoczona ze swym Bogiem, że już jest niezdolna myśleć, działać sama, że we wszystkim jest uzależniona od woli i upodobania tego Boga błogosławionego.

Tak więc zmysły urzeczzone tracą zdolność funkcjonowania, a dusza jest jakby w agonii upojenia miłością Bożą, w której znajduje swój jedyny spoczynek. Jednakże miłość, ta nienasycona, nie jest bezczynna: dochodząc coraz bardziej do głosu, wzywa duszę, aby mocniej kochała. Dusza zaś bez przymusu, bez zniewalania biegnie, biegnie i biegnie rzucić się na szyję swemu rozkochanemu i ukochanemu Jezusowi, nie przestając pragnąć i żądać wieczystego zjednoczenia, znając bowiem swą słabość, drży na myśl, że może obrazić i utracić swego Ukochanego.

Chciałabym, aby wszyscy ludzie znali miłość, jaką Bóg darzy swoje stworzenia, wszystkim chciałabym głosić miłość, jaką; Bóg żywi dla swych stworzeń, wszystkim chciałabym opisać głód zbawienia dusz odczuwany przez Boga, powiedzieć ile dla naszej miłości wycierpiał nasz tak bardzo nas kochający Jezus. Ale wszystko to, co mówię jest zbędne, wiemy bowiem, że dusza; którą Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu wprowadził do tego tajemnego mieszkania albo raczej do tego ogniska miłości, ma tylko jedno pragnienie: mówić tylko o tym skarbie, znalezionym po całkowitym wyzbyciu się siebie samej i po swym aktywnym oczyszczeniu.

Może się zdarzyć, że pewne osoby już nie potrzebują cierpieć w tym trzecim stanie nigdy nie nasyconego pragnienia coraz większego ukochania Boskiego Mistrza, ale nie mnie, ignorantce, mówić o różnych stopniach miłości Bożej ani o przedziwnych skutkach, jakie ona wywołuje w duszach. Powiem tylko to, że wszystko zależy od wiernego odpowiadania na apele działania Boga.

W tym trzecim stanie, który jest tylko stanem miłości, zjednoczenia i upodobania, pragnęłabym bardzo kochać mego Boga i wielkie było moje cierpienie, gdyż sądziłam, że jestem jedynym stworzeniem, które odmawiało należnej miłości mojemu kochającemu Jezusowi. I coraz goręcej pragnęłam, aby się zjednoczyć e swym Zbawcą, Jezusem ukrzyżowanym. Mimo tych baw

czułam w głębi serca, że kocham swego Jezusa, że On mnie kocha, ale ogarnęła mnie obawa, że mogąc być oszukiwana, mogę ulegać złudzeniu. Gdy pierwszym razem ujrzałam swego rozmiłowanego Jezusa w widzeniu intelektualnym, zrobiłam znak krzyża świętego i powiedziałam: «W imię Jezusa Chrystusa umarłego za rodzaj ludzki i zmartwychwstałego swą własną mocą, zejdź mi z oczu, gdyż jestem Jego własnością, składającą się tylko z miłości!». Mojemu Jezusowi podobał się mój pokorny lęk, odezwał się przeto do mnie: «Siostrze mego serca, nie bój się: ja jestem prawda i życie i nigdy nie pozwolę, aby piekielny nieprzyjaciel mógł ci szkodzić. Bądź pokornie wierna wezwaniom Bożym, pilnie zachowuj moje przykazania.... Tak więc kochałam i zdawało mi się, że Boska i wieczysta miłość była jedynym przedmiotem mego życia, mego bytu...

W tym stanie zjawiska nadprzyrodzone są jaśniejsze, bardziej przekonywujące, a drogi Boże niejako się pokazują i chociaż stary wąż, aby zwodzić, naśladuje i małpuje ukazywanie się świętych a nawet Jezusa Chrystusa, nie może oszukać duszy zjednoczonej z Jezusem, pokornej i bojaźliwej.

Gdy byłam sama, bez przewodnika ludzkiego, wśród zepsutego świata i w okolicznościach niebezpiecznych, mój Brat, pełen miłości i miłosierdzia, raczył mnie ustrzec od niebezpieczeństw i ofiarować mi, bez mojej zasługi, dar poznawania serc, odróżniania zła od dobra, oczywiście jeżeli Bóg na to pozwoli.

Wypowiedziałam się, jak mogłam i wydaje mi się, że tego dosyć".

Taki jest dosłownie przetłumaczony ten krótki brulion, który Melania nazwała tak lekceważąco i który chciała rzucić na dno morza. Czyż widok rzeczywistego życia duszy, jaki on odsłania, nie pozwala nam zrozumieć, co znaczy pocałunek u kapliczki św. Rocha?

Okrąg - jeśli można tak się wyrazić - jej wewnętrznego przeznaczenia został zamknięty. W tym okręgu mieszczą się wszystkie kielki jej przyszłej ofiary do Miłości ukrzyżowanej.

Widok ten umożliwia jasne rozszyfrowanie jej autobiografii oraz lekturę opowiadania o jej dzieciństwie, stanowi wprowadzenie do "poznania Melanii".

DZIECIŃSTWO

Zanim się zajmujemy tym rozdziałem, dobrze będzie przypomnieć to, co w liście z 20 października 1893 r. do księdza Roubaud mówi Melania o odpisie jej autobiografii z roku 1852, którą otrzymała w Corenc, nieco "uporządkowaną" przez zakonnice. "Nie rozumiem, jak mogłam pisać o pewnych faktach,

rumieniem się z tego powodu. Prawda, że byłam wtedy księgą otwartą i myślałam, że jestem jak wszyscy inni lub że wszyscy inni są tacy jak ja".

Melania Calvat (siostra Maria od Krzyża) przysła na świat 7 listopada 1831 r. w Corps, siedzibie władz kantonu Isère, położonej przy drodze z Grenoble do Gap. Została ochrzczona nazajutrz i otrzymała imiona Franciszki Melanii.

Przychodząc po trzech chłopcach, już dużych, została przyjęta z radością. Po niej miało się jeszcze urodzić dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Jej rodzina była biedna. Ojciec, Piotr Calvat, zwany potocznie Mateuszem (Mathieu), był murarzem. Najmował się wszędzie tam, gdzie był zarobek. Do domu powracał tylko w sobotę wieczorem, a czasami, jeśli miejsce pracy było odległe, pozostawał poza domem miesiąc albo nawet dłużej. Kochał swe dzieci i pragnął, aby były dobrymi chrześcijanami. Miał siostrę, która uchodziła za dewotkę. Jeśli jednak chodzi o niego samego, to jego zawód i wpływ towarzyszy pracy utrzymywały go często dala od sakramentów. Jego żona, Julia z domu Bariud, była beztroska i wesoła, i nie omijała żadnej okazji wyjścia: w zimie na wieczorki do jednych lub drugich, w ciepłej porze roku na zebrania, bale, pokazy jarmarczne itp. Dlatego też niezadługo powzięła niechęć do tej córeczki której tak pragnęła. Skoro tylko dziecko miało sześć miesięcy, brała je na widowiska, za którymi szalała; miała zaś, gdy tylko zobaczyła mnóstwo ludzi, zaczynała płakać i w końcu, kryjąc główkę ramionach matki, tak krzyczała, że trzeba było z nią odejść. Ten lęk przed ludźmi nie zmniejszał się, gdy dziecko wzrastało. W domu była milcząca i spokojna; siedziała sama gdzieś w kącie.

Gdy ojciec był w domu, kazał dzieciom odmawiać pacierz wieczorny i, wzięwszy Melanię na kolana, uczył robić znak krzyża świętego, potem włożywszy w jej ręce krucyfiks, wyjaśniał jak Pan Jezus cierpiał umarł, aby nam otworzyć bramy raj.

"To mi się bardzo podobało - pisze Melania w swej autobiografii włoskiej. - Kochałam tego Jezusa, mówiłam do Niego, ale On mi nic nie odpowiadał, myślałam więc w swej naiwności, że powinnam naśladować Jego milczenie". Dlatego była małomówna, ale płakała, krzyczała i szamotała się, gdy znalazła się tam, gdzie było dużo ludzi.

Była nieznośna. Gdy pozostawiono ją samą w domu i gdy przyszedł jakiś ubogi, bez zastanawiania dawała mu wszystko, cokolwiek miała pod ręką. Miała z tego powodu pewne niewyraźne poczucie winy, gdyż skoro tylko matka zaczęła na nią narzekać i wyrzucać jej, że lepiej by było, gdyby umarła, z całego serca przyzna - wała jej słusność i pragnęła naprawdę umrzeć, aby skończyła się udręka, którą mimowolnie zadawała matce.

Matka, gdy raz jeszcze z powodu niej musiała wyrzec się pięknego widowiska, postanowiła nie zwracać się do niej imieniem "Melania, lecz "Mutta Gaura, co w miejscowej gwarze znaczy "Niema Dzikuska". Zakazała swym synom nazywać ją siostrą, a jej zabroniła wołać na siebie: mamó; oświadczyła, że nie należy do rodziny i że jest stworzona na to, aby żyć z dzikimi zwierzętami w lesie jak mała wilczyca. Dziewczynka miała wówczas zaledwie lat trzy.

Ubogi dom jej rodziców stał na końcu wsi. Na sąsiednim zboczu, w niewielkiej odległości od wsi, znajdował się las. "Już wtedy - tak w odpowiedzi na pytanie księdza Combe notuje Melania w swej autobiografii z r. 1900 - już wtedy jakiś tajemniczy pociąg prowadził mnie do samotni tego lasu. Ponieważ moja matka nie mogła patrzeć na mnie siedzącą samotnie w kącie, by mi nie powiedzieć: «Idź precz: niech cię moje oczy nie widzą!», chciałam mieć dość siły, aby chodzić do tego lasu, ale padałam w pobliżu domu. Wtedy natychmiast zjawiał się przy mnie śliczny chłopczyk w moim wieku i podawał mi rękę, by mnie podnieść. Znałam go od dawna, widywałam go niemal codziennie, dokąd tylko sięga moja pamięć...". Ale jak "Mutta Gaura" chłopczyk ów nic nie mówił. Dopiero w lesie miał się odezwać po raz pierwszy.

LAS

Pewnego wieczoru, wypędzona z domu, skierowała się zatem Melania do lasu. Była bardzo zgnębiona i smutna, że nie ma już ni ojca ni matki, ani braci, ani siostr, ani nikogo, kto by chciał ją przygarnąć. Zaczęła myśleć o Chrystusie swego ojca, o tym Chrystusie z zamkniętymi oczyma. "Tak sobie myślałam - notuje w autobiografii włoskiej - Odkupiciel nie spojrzał na mnie, nie zna mnie, jakże tedy może wiedzieć, że jestem sama? Nigdy do mnie nie przemówił, a przecież umarł za mnie - wszak ma zamknięte oczy; dlatego i ja chcę Go kochać, chcę umrzeć dla Niego, oddaję Mu się cała i na zawsze... Chcę modlić się, ale nie głośno, jak mnie uczył ojciec; wszak Chrystus ma usta zamknięte, więc i ja będę się modlić z zamkniętymi ustami". Modli się zatem, ale - jak sama się zwierza - nie wiedząc jeszcze, że to, o co trzeba przede wszystkim prosić, to łaska, bez niej bowiem nie możemy nawet się modlić. Mówiła tedy (bez słów): Jezu, kocham Cię jak przyjaciela, kocham Cię jak ojca dobrego dobrocią samą, chcę Ci służyć jak Ojcu potężnemu a czułemu. Twoim tronem jest krzyż, ja także chcę krzyża". Miała na myśli krzyż drewniany: wyjaśnia - nie umiałam pójść dalej.

Słońce kładło się do snu, ptaki już nie śpiewały, wokół panowała cisza. Biedna sierotka usiadła na ściętym drzewie i znów poczęła płakać, przypominawszy sobie rodziców, których pewnie opuściła na zawsze. Potem wyobraziła sobie krucyfik i tak myślała: Chrystus nie płacze i nic nie mówi, bo ma oczy i usta zamknięte", chcę Go naśladować; więc już nie będę płakała". Zamknęła tedy

oczy i zasnęła ze smutku i znużenia. Obudziła ją dopiero pieszczota porannego słońca.

SEN

Tej nocy miała sen. Ten sen - to odpowiedź na modlitwę, dowód przyjęcia jej pragnienia: W przewijających się symbolach widziała obraz swego życia.

Był to, więc początek tych nadprzyrodzonych kontaktów, które będą urabiać jej duszę.

Śni się jej, że - znużona fizycznie, przygnębiona duchowo - szuka miejsca spoczynku. Daremnie. Wreszcie spostrzega wielkie drzewo, które ścięto, ponieważ grube korzenie, które wyrosły skrzyżowane jedno nad drugim, uniemożliwiały jego wykopanie. Wydawało się martwe, lecz z jego pnia wyrastał zielony pęd. Siedząc na starym pniu, oparta plecami o nowe drzewo; zasnęła ze znużenia i smutku. Wtedy to usłyszała wołanie: "Siostró..., moja droga siostró.. Jestem twoim bratem... Zbliź się do mnie...". Wygnanka wstaje, patrzy i widzi piękne dziecko, które już zna, ubrane w strój różowy, w białych bucikach. Ale teraz chłopczyk przemawia. Oczarowana dziewczynka chce go pocałować, lecz on mówi, że jeszcze nie pora na to. Tymczasem jej cierpienia ustąpiły, jej serce rozplomieniło się miłością, a w całą jej istotę wlało się jasne i głębokie poznanie Odwiecznej Mądrości i Dobroci Odwiecznej, które czuła w sobie wszędzie, aczkolwiek oczywiście nie zajmowały miejsca. Zrozumiała, że wszelka prawdziwa wiedza polega na poznaniu Stwórcy i umiłowaniu krzyża; że Boga należy kochać miłością czystą, nie za Jego dary, a nawet nie za szczęście niebios, którym Jego miłosierdzie obdarza tych, co Go naśladową, ale dla Niego samego.

Objawieniom tym towarzyszyło poczucie jej małości: przy czym im bardziej się umniejszała; tym bardziej rosta w niej miłość jej Odkupiciela; im bardziej "roztapiała się" w swej niskości, tym więcej jej umysł otrzymywał światła, ciepła, pociechy.

Ale czując, że jest bezsilna odpowiedzieć na tyle łask światła, jakimi ją tak hojnie obsypuje jej ukochany Brat, pragnie cierpieć. Wyjaśni to później, w liście z 22 listopada 1898 r., skierowanym do ks. Combe: "Gdy w głębi duszy żywo się odczuwa tę obecność Boga... cierpieć staje się prawdziwą koniecznością, głodem, potrzeba dowiedzenia Ukochanemu, że się Go kocha."

Wtedy jej Brat bierze ją za rękę i mówi: Dokąd chcesz pójść?" Ona zaś natychmiast mu odpowiada: "Na Kalwarię!" "Dobrze - mówi Braciszek - ale uważaj, żebyś mnie nie opuściła, bo upadniesz."

Wtedy las znika, oni zaś znajdują się u podnóża wysokiej góry i zaczyna się heroiczna wspinaczka. Droga prosta, w którą trzeba się zapaść, by na pewno dojść do szczytu, zawałona jest cierniem i głązami, a im wyżej wznoszą się wędrowcy, tym większe stają się głązy, tym grubsze ciernie i tym częściej tkwią w nich krzyże; z nieba również spadają krzyże, duże i małe: Jakby pogrzebana pod nimi pada dziecinka i woła pomocy. Jej Brat natychmiast powraca do niej i mówi: "Jeszcze nie doszliśmy do celu. Jeśli chcesz, możesz zawrócić, będziesz miała mniej cierpienia". "Nie, chcę iść dalej... Pójdę za Tobą i tam, gdzie Ty postawisz swoją stopę, ja postawię swoją" "Moja droga siostrze, domyślałaś się sekretu" - odrzekł chłopczyk i podał jej swą delikatną a mocną dłoń. Ale wspinanie jest mozolne, a krzyże niezliczone i ciężkie.

Wreszcie niebo zaciąga się ciemnymi chmurami, zapada mrok. Ale oto dziewczeczka traci odczuwanie dotyku, już nie czuje dłoni, która ją pociągała i podtrzymywała. Czyżby ta dłoń rzeczywiście ją puściła? Och, byłaby to niełaska nad niełaskami. Jej trwoga, jej cierpienie jest tak wielkie, że nie czuje nawet kamieni, cierni i krzyżów. Niezmierny niepokój przewyższa wszystko; jedyna rzecz, która w tym mrocznym labiryncie przynosi jej pociechę; to cierpienie, które odczuwa jako zasłużone.

Tymczasem inną, szerszą i łatwiejszą drogą przechodzą obok ludzie tłumnie, śmiejąc się i bawiąc, i widząc ją mozolną się, szydzą z niej, obelgami ją obrzucają, nazywają głupią, szaloną, fałszywą dewotką, obłudnicą. Jedni idą pieszo, inni jadą powozami. Ale wkrótce wszyscy zapadają w coś w rodzaju studni, z której zionie płomieniami i dymem. Przerażona pada na kolana i ofiaruje Zbawicielowi swą gotowość cierpienia codziennie przez całe życie, na wynagrodzenie zniewag wyrządzonych Jego majestatowi.

Po tym akcie gorącej miłości odzyskuje uczucie dotyku, znów czuje łagodne a silne ujęcie dłonią swego Brata. On jest przy niej, nie porzucił jej. Ona też nie oddaliła się od niego. Radość jej była tak wielka, że się obudziła i odnalazła się sama w lesie, w miejscu, gdzie zasnęła.

Słońko było już wysoko. Ale odtąd rzeka innego światła, bardziej przenikliwego i stałego, kąpie dla niej wszystkie rzeczy i ją samą.

OBJAWIENIE

Jak długo trwa to pierwsze i ostateczne wtajemniczenie w życie Boże? Ile dni mała Melania pozostaje porwana i zagubiona w tym zaczarowanym lesie? Nie wie tego. Wie tylko, że wtedy zostały jej objawione wszystkie wielkie prawdy wiary, tajemnice miłości nie stworzonej, z jej atrybutami i miłosierdziem. - Przedziwny to katechizm, choć bez szkolnych formułek.

W tym samym czasie rodzi się w niej gorące pragnienie zrozumienia i przekonania się, że Miłość Wieczysta jest nieskończona i że jej własna miłość zawsze jest jakby niczym.

Jak odpowiedzieć na tę nieskończoną miłość, jeśli nie cierpieniem i ukrzyżowaniem siebie samej na wzór Odkupiciela? Jej pierwsza modlitwa, na podziękowanie za tyle światła, jest jednocześnie modlitwą o uproszenie siły, która by jej pozwoliła zdobyć się na cierpienie tak wielkie, że zjednałoby jej łaskę ukochania Odkupiciela tak, jak On chce być kochanym: - To są jej własne słowa z autobiografii.

Jakby w odpowiedzi na swe błaganie otrzymuje objawienie tajemnicy Eucharystii. "Im bardziej dostrzegałam doskonałość Bożej Miłości, tym bardziej znikam sama w swych własnych oczach i gdyby Najwyższy zechciał pozostawić mnie mojej nicości; byłabym upadła jak zeschnięty liść; który unosi wiatr i którego już nie sposób odnaleźć...". Ale Najwyższy odrywa ją od niej samej: Ukazanie się Najwyższego przemienionego w chleb nie trwało dłużej jak minutę... Słodki; świetlany moment, moment rozkochania, w którym uniżone serce zostaje pokrzepione; odnowione, wzmocnione... Zrozumiałam, że z siebie samej nic nie mogę zrobić, aby nabyć tej ożywiającej miłości: miłość ta zakorzenia się w sercach osadzonych silnie w żywej wierze, z której się rodzi czysta miłość Boga i bliźniego, a wszystko to wyjednuje nam krew Zbawiciela... Podczas gdy zamierałam powiedzieć swemu rozkochanemu i Boskiemu Mistrzowi, że chciałabym, aby On modlił się ze mną, we mnie, błyskawicznie ujrzałam nie oczyma ciała, lecz ducha - jak ten mój słodki i drogi Odkupiciel przechodzi ukoronowany cierniem, niosąc wielki krzyż.

KRZYŻ

Było to jej pierwsze widzenie Chrystusa ukrzyżowanego. Gdy ono się zaciera, pozostaje tylko gorące pragnienie znoszenia cierpień samej męki Chrystusowej. Składając siebie swemu słodkiemu Jezusowi w całopalnym darze, błaga Go usilnie, aby ją przyjął jako współniczkę swych mąk. Jej Brat przychyła się do jej prośby i - każąc jej zjeść fioletowozielony kwiat, symbol bólu i żywej wiary - zadaje jej cierpienie, które może ona znieść w swym młodym wieku. I zaraz, natychmiast zapala w niej żywe pragnienie, aby wszyscy ludzie zostali oświeceni światłem odwiecznym i aby byli świadomi wszechobecności Boga. Jeśli zaś o nią chodzi, to ona ma wewnętrzną pewność, że gdziekolwiek znajdzie się na ziemi, choćby była w stanie najwyższego ogołocenia i ubóstwa, zawsze trwać będzie w obecności Boga, pod okiem Jego bezmiaru.

PIERWSZA KOMUNIA ŚWIĘTA

Żywiła się dzikimi owocami rosnącymi w lesie, ale zawsze... "Muszę powiedzieć - tak się zwierza w autobiografii włoskiej - że mój Brat kilka razy przyniósł mi wykwintne pożywienie, podtrzymujące siły przez kilka dni". Początkowo były to kwiaty zawierające rozkoszny sok. Później, gdy pewnego dnia pozostawała na klęczkach w obawie, że nie wydała całej swej duszy pożerającemu płomieniowi miłości Bożej, jej Brat ukazał się jej już dorosły, ubrany jak kapłan do celebry. Wtedy jeszcze nie wiedziała, co to znaczy: Dowiedziała się o wiele później, gdy pierwszy raz brała udział we mszy św: Brat jej miał na piersiach jakby serce otwarte, rozciągające świetliste promienie - ognie miłości i pokoju. W pewnej chwili sięgnął ręką do tej gorącej rany Serca, dwoma palcami wyjął z niej mały bielutki krążek, na którym widniał Jego portret, ale portret z żywego ciała, z ruchomymi oczyma i ze słowami na ustach. Wkładając jej ten krążek do buzi, rzekł: "Siostró mego serca, przyjmij wieczną miłość Boga mocnych". W tej chwili poczuła się ożywiona. Jej serce skakało w piersi, jakby chciało z niej się wyłamać, ale umysł zachował całą swą zdolność spostrzeżeń, bo zanotowała potem: "Uścisnęły się dwie skrajności: niezmierna, wieczna, nieskończona wielkość i najmniejsze nic".

OBDARZENIE STYGMATAMI

"Jakiej łaski pragnie to nędzne stworzenie? zapytał ją raz pewnego jej Brat. - "Jeśli to jest zgodne z wolą Wieczystego Światła - odrzekła Melania - chciałabym służyć jego chwale na drodze ukrzyżowania".

Wówczas jej Brat owiał jej wargi swym tchnieniem, położył swe ręce na jej głowie, następnie swą prawą dłoń na jej prawej dłoni i swą lewą dłoń na jej lewej, dotknął jej stóp i serca...

"Tego już nie mogę wyrazić - mówi Melania. O, prawdziwe upojenie bolesne, miłosne - być umarłą i żyć jednocześnie! O Jezu, spraw, aby wszyscy ludzie znali Cię i kochali, a ja abym kochała Cię, Ogniu, tak jak Ty kochasz; gdy to nastąpi, będę zadowolona".

Od tej godziny odczuwała wielkie bóle w częściach ciała, na których Jezus wycisnął stygmaty swej męki, a w pewnych momentach, zwłaszcza w piątki w czasie wielkiego postu, rany się w nich otwierały i krwawiły: Ale ta krew nie podobała się "Wilczycy" - przyznaje się sama - gdyż odślaniając jej stan mistyczny, uniemożliwiała zaspokojenie jej pokornego pragnienia pozostania w ukryciu, a nadto - dodaje naiwnie - utrudniało to zachowanie higieny. Niech więc jej pozostaną bóle nie zmniejszone, ale niech znikną ich zewnętrzne znaki - pokornie błaga o to Najśw. Maryję Pannę, swą prawdziwą Matkę. Jednakże tajemnicze te rany często się otwierały, jak później zobaczymy. Gdy przebywała

w samotności, daleka od wszelkich świadków, jej ręce musiały często krwawić; niektóre z jej ostatnich listów śladami krwi potwierdzały słuszność tego przypuszczenia.

PIERWSZE UKAZANIE SIĘ NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

Najświętsza Panna stała się Mamusią Melanii. "Nasza Mamusia" - tak się wyraził jej drogi Braciszek już w dniu jej pierwszej Komunii. Co za radość: mała wygnanka znów ma Mamusię; i to jaką! Ukazała się Ona - cała piękna jako Nowa Oblubienica, miła jak Miłość nad miłościami; pociągająca jak magnes; świeża jak rosa poranna (z autobiografii włoskiej). I powiedziała jej: "Córko moja; będę cię strzegła jako matka i mistrzyni". Następnie, przedstawiając zarys jej powołania, poleca jej ofiarować się przez zasługi Jezusa Chrystusa za Kościół Święty, a szczególnie za duchowieństwo.

Od razu małe dziecko wniknęło w tajemnicę współdziałania Maryi w dziele Odkupienia. Zrozumiało, że Ona doprowadza do pojednania ludzi z Bogiem. Została ukoronowana na Królowę w niebie i na ziemi. "Czym Jezus Chrystus jest z natury, Jego Przenajświętsza Matka jest przez łaskę" (list do ks. kanonika Brandta z 7 sierpnia 1886).

Tak więc Najśw. Maryja Panna została dana Melanii za Matkę na wieki. Ale czy to dziecko zdaje sobie z tego sprawę? Czy wie np., że jej mały Braciszek, Brat ukochany i Mistrz, jest jednocześnie Jezusem Chrystusem, jej Bogiem?

Powyższe pytanie - jak ona sama relacjonuje w swej autobiografii z roku 1900 - zadał jej ks. Combe, ona zaś odpowiedziała mu następującą notatką: "Pyta mnie Ksiądz, czy wiedziałam, że ten Chłopczyk, który przychodził do mnie, był Boskim Dzieciątkiem Jezus. Otóż muszę powiedzieć, że mój ukochany Brat pozostawiał mnie w niewiedzy co do Jego osoby, ja zaś wierzyłam szczerze i po prostu - na Jego słowo - że jestem Jego siostrą... Jego odwiedziny przyjmowałam bez rozumowania... Ku swemu zawstydzeniu muszę powiedzieć, że wielka to radość była dla mnie mieć tak dobrego Brata, do którego mogłam mówić o moim drogim Jezusie... Zresztą nie miałam zwyczaju zastanawiać się, a i czasu na to nie miałam, bo odkąd się dowiedziałam, że nasz dobry Bóg, który wiecznie się cieszy swoją chwałą i który wobec tego nie potrzebuje nikogo, zeszedł na świat i przyjął ciało i duszę ludzką, aby móc cierpieć, odtąd byłam nieustannie pogrążona w myślach o tej tajemnicy miłości i dlatego nie miałam czasu myśleć o tym, co nie jest konieczne do tego, aby móc kochać Boga".

O święta prostota miłości szczerzej i czystej! Nasze przyzwyczajenia ciasnej samoanalizy, nasze bardzo subiektywne poglądy wprawia ona w zdumienie. Ta dusza wolna od siebie samej idzie prosto do swego jedyne go przedmiotu: małego

ważne, przez kogo i jakim sposobem podoba się Bogu dać się poznać i pokochać, byle tylko był On znany i kochany.

POWRÓT DO DOMU

Nadeszła pewna sobota. "Wiedziałam o tym: ostrzegł mnie głos wewnętrzny, który podczas modlitwy polecił mi wrócić do domu, zanim moja nieobecność nie wywołałaby niepokoju w rodzinie".

Natychmiast wychodzi z lasu. Był już wielki czas. W drodze spotyka ojca, który jej szukał. Ojciec ją całuje i pyta, jak długo była poza domem. "Nic nie mogłam mu odpowiedzieć" - informuje nas pustelnica - bo naprawdę nie wiedziałam, ile dni czy tygodni przebywałam w lesie, ale mu powiedziałam, że byłam tam ze swym Bratem. Zapytał mnie, co jadłam. Odpowiedziałam, że mój Brat przynosił mi bardzo dobre rzeczy. Ojciec się uspokoił, pokój wrócił też do rodziny.

Jednakże dzień niedzielny bardzo jej ciąży, rozmowa ją nudzi: jakże można mówić, nie mówiąc o dobrym Bogu? Mimo napomnień, aby się nie odosobniała, ona kryje się po kątach i milczy, przemyśliwując nad tym, jaką by pokutę zadać sobie i jak się zabrać, by zgodnie z zachętą swego Brata - wykonać trzydzieści trzy przyklęknienia, następnie leżeć krzyżem albo modlić się stojąco z opuszczonymi ramionami jak skazaniec.

Po kilku dniach zachorowała. Długa, zagadkowa choroba. Wezwano lekarza. Dziewczynka jednak nigdy nie pozwoli się dotknąć. Jakaś niezmierna a przewlekła słabość nią owładnęła; nie może się utrzymać na nogach, gdy ją podniosą upada, często miewa torsje i zemdlenia. W pewnym momencie jej Mamusia, "Przenajświętsza Dziewica", przyszła dodać jej odwagi, natchnąć cierpliwością i męstwem. Wreszcie przychodzi do zdrowia. Ale jej skłonność do izolowania się i zamykania w sobie jeszcze się rozwinęła i utrwaliła. Nic nie może oswoić tej małej dzikuski. Milcząca, ale miła i uległa w domu, nie daje się jednak nakłonić do pójścia na bal, na widowisko.

Opór ten pociąga za sobą sceny, groźby, kary. I oto ta grzeczna i anielskiego serca dziewczynka poczuwa się do winy względem matki. Każdy z tych aktów nieposłuszeństwa budzi w niej piekący żal. Ale też ten żal, pogłębiając jej pokorę, staje się jakby odskocznią moralną, z której żarliwa jej dusza tym szybciej się wznosi ku wyższej doskonałości wewnętrznej i czystej miłości. Każdy przykry wypadek w życiu tej małej wieśniaczki znaczy się na jej mistycznej drodze osiągnięciem wyższego poziomu i wlaniem nowego światła.

Tak było ze sprawą lalki za parę groszy i jarmarcznego kuglarza.

LALKA

Aby ją oswoić z ludźmi, matka zabierała ją do sąsiadek. Pewnego dnia, gdy zgromadzone kobiety trudniły się szyciem, niektóre z nich stroiły lalki. Mała Melania, patrząc ze swego kącika, podziwiała te lalki, uważając je za maleńkie dzieci i zapragnęła gorąco mieć jedną z nich na własność, gdyż wyobrażała sobie, że będzie mogła opowiadać jej o dobrym Bogu i tym sposobem nauczyć ją kochać Go serdecznie. Ale jak to zrobić? Gdy się zdarzyło, że była sama w domu, wzięła z szuflady dwa miedziane pieniążki, biegnie szybko kupić lalkę i, powróciwszy do domu, natychmiast zaczyna ją pouczać o "rzeczach Bożych", każe jej wymawiać najświętsze imiona Jezusa i Maryi. Matka, otworzywszy drzwi, nie może się nadziwić, słysząc Niemą Dzikuskę rozmawiającą. Zbliży się więc do niej, by zobaczyć co ona robi. A mała skarży się matce: "Ta lalka nie chce nic powiedzieć... Nie mogę jej namówić, by wypowiedziała święte imię Jezus, ona mi się nie podoba...". Nie zwracając uwagi na świętą naiwność dziecka, matka pyta, kto jej dał tę lalkę. "Nikt mi jej nie dał - odpowiada z dziecięcą prostotą Melania. Kupiłam ją za dwa pieniążki; które wyjęłam z szuflady". Matka wybucha gniewem; wrywa dziecku lalkę, krzyczy na nie, mówiąc, że za wszystkie te swoje wady zginie w więzieniu. Do nieposłuszeństwa dodała kradzież: Bóg nie jest z niej zadowolony... Dziecko przeprosza matkę, przysięga zwrócić jej pieniążki, ojciec zapewne ich jej nie odmówi: Lecz jej sumienie jest niespokojne, bo zgrzeszyła. Chce odkupić winę. Pozwoli poprowadzić się do teatru bez słowa skargi: Przysięga to. Prosi Go jednak, aby pomógł jej dochować Mu wierności, wytrwać w pierwszym postanowieniu. Niech więc strzeże jej zmysłów, niech nie pozwoli, aby widziała; aby słyszała coś, co Mu się nie podoba. I została wysłuchana.

KUGLARZ JARMARCZNY

Zjawił się właśnie jakiś wędrowny sztukmistrz. Ludzie cisną się wokół niego. Zapowiada, że zetnie głowę człowiekowi, a następnie przyprawi ją, nie zadając mu żadnego bólu. Wszystkie oczy zwrócone są na scenę. Również matka Melanii cała pochłonięta jest widowiskiem i cieszy się, że jej córka zachowuje się spokojnie, ale w chwili, gdy głowa ma być ścięta i gdy matka woła do niej: "Patrz! patrz!; no; patrz!", dziecko wydaje głośny okrzyk: "Nie, to nieprawdziwe! Moje oczy nie mogą patrzeć na oszustwo!" i zaczyna płakać tak głośno, że trzeba ją odprowadzić do domu. Niepoprawna dzikuska... Matka ją wyrzuca z mieszkania.

W KOŚCIELE OTRZYMUJE ROZGRZESZENIE

Była już ciemna noc. Biedna dziewczynka nie mogła iść do lasu, ale przyszła jej myśl, żeby pobiec do kościoła; dokąd raz zaprowadził ją ojciec. Kościół był jeszcze otwarty. Właśnie dopiero, co skończono wieczorny pacierz. Pozostała tylko jedna osoba odprawiająca drogę krzyżową. Była to ciotka Melanii, siostra ojca; "Dewotka". Mała idzie prosto do ołtarza Matki Bożej: Po raz pierwszy modli się w kościele, przed statuą. Cała jest w nią wpatrzona. Wydaje się jej; że statua się ożywia. Skruszona do głębi, z powodu kradzieży matczynych grosików modli się z całego serca. Wtem nagle spostrzega, że klęczy nie przed kamiennym posągami, lecz przed żywą Osobą, Matką Wszechmiłosierdzia.

Matka Najświętsza na swej lewej ręce trzyma najdroższego Braciszka Melanii, On zaś ma w swych rączkach błyszczącą ramkę: Ale nie, to nie ramka, to zwierciadło srebrne. Braciszek się w nim przegląda, ale nie widzi się dobrze, bo jest poplamione. Dziewczynka zrozumiała, że zwierciadło Bóstwa - to jej dusza, a plamy na nim - to jej grzechy. Trzeba usunąć te plamy, aby Bóg znów widział w nim swoje odbicie i aby z upodobaniem w nie patrzył.

"Uklękałam - tak czytamy w jej autobiografii włoskiej - prosząc Maryję, Dziewicę-Matkę, aby przez zasługi męki i śmierć Jezusa Chrystusa, przez zasługi swego ubóstwa wyjednała przebaczenie mych win... Prosiłam też swego najśrodszego Jezusa, aby mi udzielił rozgrzeszenia. Jezus uczynił to prawą rączką. Wtedy Najświętsza Panna wskazującym palcem swej prawej ręki zrobiła znak krzyża świętego na zwierciadle, które natychmiast stało się jaśniejsze, a Jezus znów się w nie wpatrywał, ale tym razem z upodobaniem".

Jezus jeszcze udzielił jej błogosławieństwa i wszystko znikło, ona zaś spostrzegła, że klęczy przed ołtarzem w kościele.

Dobra ciocia ją zauważyła, zabrała do siebie i aby ją uchronić przed karami, czekającymi ze strony matki, zatrzymała ją w swym mieszkaniu. Melania przebywała tam dwa lub trzy miesiące. Ciocia codziennie odprawiała modły, a w niedzielę - wraz ze swymi przyjaciółkami - idzie, odmawiając po drodze różaniec, do Matki Boskiej w Gournier, do małej kapliczki, znajdującej się w wąwozie górskim, w odległości półtorej godziny od Corps, przy drodze do la Salette.

Ale matka Julia wścieka się widząc córeczkę wśród tuzina dewotek. Pewnej niedzieli, gdy mała pielgrzymka przechodzi obok jej drzwi, już nie może wytrzymać: wypada na drogę, zabiera Melanię i zamyka ją w domu.

PASTERKA

Nadeszła pora, kiedy górale przybywają do Corps, aby nająć pasterzy. Biorą ich mniej więcej na 6 miesięcy - czas, w którym się wypasa trzody na wysokich halach. Odsyłają ich po pierwszych jesiennych śniegach. Matka skwapliwie oddaje Melanię pewnej starszej kobiecie do pasienia jej owiec.

"Moi rodzice byli biedni - pisze Melania w swej autobiografii z r. 1900 - ale prawdą jest, że ja byłam bardziej zła aniżeli uboga, dlatego też zostałam tak wcześnie oddana na służbę swej drogiej Matki Niebieskiej".

Wówczas nie miała jeszcze siedmiu lat. Niskiego wzrostu na swój wiek, była od innych dzieci cichsza i poważniejsza. Tym, którzy ją pytali o imię, odpowiadała, że nazywa się "siostrą", dlatego też wkrótce wszyscy ją tak nazywali. Mówiła gwarą i rozumiała tylko gwarę. Do szkoły chodziła bardzo krótko (gdy była u ciotki) i nie nauczyła się nawet rozpoznawać liter. Przypomina sobie, że nigdy nie słyszała w niej wyrazu "śliczny". Nie lubiła jej, ponieważ było w niej dużo wrzawy, nadto chciałyby w niej robić tylko to, co by robiła w niebie wraz ze swą "Mamusią". Wszak Braciszek powiedział jej: "Zalecam ci, abyś dobrze zamknęła swe serce na wszelkie głosy świata; nie słuchaj tego, co mówi świat, nie czyń tego, co czyni świat, nie wierz temu, co świat pisze." Milczenie było jej drogą. Teraz będzie mogła je zachować całymi godzinami na pastwiskach. Oto więc idzie prowadzona za rękę, przez starą kobietę do domu stojącego w odosobnieniu na skraju osady, gdzie nie będzie widziała nikogo prócz swej gospodyni i owiec. Zaczyna się jej życie pasterki i służącej. Odtąd doskonalenie w niej dzieła łaski polegać będzie na ścisłym spełnianiu obowiązków stanu służącej, często bardzo przykrych, na cierpliwym i wiernym posłuszeństwie swym panom, nawet niedobrym. Nadszedł czas, że na dary udzielone jej bez żadnej zasługi ma odpowiedzieć cnotami nabytymi własnym wysiłkiem.

Alpejskie pustkowia sprzyjają skupieniu, przypadają więc do gustu Melanii. Uczy się tam podziwiać przyrodę, poznawać zwierzęta, poznawać rośliny, które wiosną i latem swym różnobarwnym kwieciami świadczą o wspaniałości dzieł Bożych. Ona, która nie umie bawić się z innymi i tak jak inni, bawi się czasem sama budując swój "raj" - domeczek z kamieni górskich. Wejście do niego jest szerokie, bo - bez okien i drzwi - ma on tylko trzy ścianki. Na te trzy ścianki położyła płaski kamień na kształt dachu. Dach przykryła kwieciami, a całość otoczyła wieńcami. Wnętrze lilipuciego domku ma być jej mieszkaniem; a ukwiecony dach - rajem.

Niekiedy jej "Braciszek" przychodzi do niej, aby z nią zrywać kwiaty, zdumiewa ją to, że On znajduje piękniejsze aniżeli ona, ale właśnie te kwiaty jej daje. Siostró moja - mówi jej - jeśli możemy je zrywać, to tylko dlatego; że jesteśmy mali. Wielcy nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Trzeba się zrównać z ziemią" (z

autobiografii włoskiej). Przestodkie wspomnienie, którego ona nigdy nie zapomni. W dzienniczku księdza Combe pod datą 8 lipca 1900 r. czytamy zapis: "Jest rzeczą interesującą śledzić ją wzrokiem, gdy wychodząc z plebanii przez kuchnię przechodzi obok klombu kwiatów. W sześćdziesiątym dziewiątym roku życia jest to jeszcze ta sama pasterka, która ongiś rozmawiała z kwiatami dobrego Boga; Zatrzymuje się jakby przyciągana magnesem klombu; uśmiecha się, kontemplując jakiś kwiat, dotyka go delikatnie, nie zrywając jednak; znać, że wielbi Stwórcę tego małego cudu; wysiłek, jaki ją kosztuje oderwanie wzroku od tych kwiatów, jest aż nadto widoczny".

Z uczuciem tęsknoty wspomina czasy tej ubogiej, ale sakralną idyllą owianej egzystencji na pustkowiach podniebnych hal. "Jakże ja byłam szczęśliwa - zwierza się panu Schmidowi w liście 23 czerwca 1896 r. gdy pasąc krowy nie wiedziałam, że stworzenie może obrażać dobrego Boga".

Ona jednak pilnie wystrzega się obrażania Go. On zaś nigdy nie pozostawia jej samej. Uczy ją wszystkiego, co powinna wiedzieć. Na początku swej służby Melania nie miała żadnego pojęcia o własnościowym podziale ziemi, nie wiedziała np., że obszary górskie należą do różnych właścicieli i pragnąc, by jej krówki miały lepszą trawę; chętnie byłaby im pozwoliła paść się na cudzych łąkach. Ale jej Brat udziela jej pouczeń o granicach rodzin, gmin, krajów; wszczepia w niej jasne i niewzruszone pojęcia sprawiedliwości; dzięki temu dziewczynka stopniowo się wznosi od rzeczy przyziemnych do pojęć najwyższych i najszerzych.

Działo się to w r. 1838. Od tego czasu przez trzy kolejne lata Melania jest już to w jednej rodzinie, by paść krowy czy owce, już to w drugiej, by opiekować się dzieckiem; nigdy jednak nie opuszcza swej rodzinnej wsi. Na zimę zawsze powraca do rodziców (wg listu do ks. Combe z 29 kwietnia 1899).

W SZKOLE

W zimie matka poleca jej zbierać opał, a o szkole i katechizmie ani myśli. Ojciec jednak wróciwszy pewnego dnia z pracy, domaga się, aby zapisać ją do szkoły. Najstarszy brat August, odprowadza ją tam rano, a przyprowadza do domu wieczorem.

Nauczycielka, osoba pobożna i dobra, zainteresowała się tą dziwną małą uczennicą i polubiła ją: Pewnego dnia zamierza ją uczesać. Udaje się to jej z wielkim trudem, gdyż Melania nie pozwala zbyt blisko zbliżyć się do siebie i odpycha każdego, kto się chce jej dotknąć. 'Włosy - jak sama pisze w swej autobiografii włoskiej - miała w nieładzie, gdyż były zlepione krwią (zapewne ze stygmatów, chociaż ona sama nie wspomina o tym). Trzeba byłoby je wymyć, ale w domu nie było wody. Nie mogąc tedy uporać się z tymi rozczochranymi

włosami, zaczesła je do góry i upięła na wierzchołku głowy. "Cóż to za nowość? - pyta matka, gdy córka tak uczesana wróciła do domu. Już kokieteria? Jeszcze tego ci brakowało. I już trzyma nożyczki i już włosy na podłodze. Nazajutrz nauczycielka jest jednak niezadowolona, bo myśli, że dziewczynka zbuntowała się i sama dobrowolnie dała obciąć sobie włosy. Ale ojciec, który akurat tego dnia wrócił z pracy, przyszedł do szkoły na wywiadówkę i zmusił córkę do wyjawienia prawdy.

W domu zaczynają się sceny między ojcem a matką, a ich przyczyną jest Melania. Bardzo się tym martwi, ale wszystkie jej wysiłki, aby umiejętniej postępować, jeszcze pogarszają sytuację.

GUZIK KOSZULI

Pewnej niedzieli ojciec biorąc czystą koszulę, spostrzega brak guzika u mankietu. Niezadowolony bierze inną: tej brakuje guzika na przodzie. Ojciec się unosi: "Bardzo mi jest przykro, ale pomyliłem się poślubiając kobietę, która myśli tylko o rozrywkach, wydaje pieniądze na zabawę, a nie myśli o domu". Melania w mig chwyciła pierwszą koszulę, przyszyła guzik i zadowolona, że wszystko zażegnała - podaje ją ojcu. Skutek przeciwny swemu zamiarowi. Ojciec obsypuje matkę wyrzutami: "Małe dziecko jest lepszą gospodynią, aniżeli stara matka. Gdy córeczka będzie miała lat dziesięć, jej powierzy dom, ona utrzyma w porządku bieliznę, nie będzie trwoniła czasu i pieniędzy na tańce, na teatr, będzie oszczędna, zatroskana o rodzinę...".

Po tej scysji ojciec wyjeżdża na miesiąc. Teraz matka, zazdrosna; daje swobodny upust złości. Melania jest fałszywa - to obłudnica, złośliwa bigotka; aby uchodzić za staranniejszą aniżeli matka, przyszyła guzik; chce matkę odepchnąć, skazać na śmierć ze wstydu i zmartwienia; to haniebna kreatura piekielna... Tymczasem Melania zachowuje swe drogie milczenie i - jak się zwierza w autobiografii włoskiej - całuje w duchu wszystkie słowa, które kierowała do niej matka. Wreszcie tak kończy ten epizod: "Była to dla mnie okazja do zgłębienia mej małości i nicości. Przyjęłam więc z radością wszystkie udręki. Spełniałam bez słowa skargi nakaz spania nie na łóżku, lecz pod łóżkiem" (z autobiografii włoskiej).

Wkrótce do tych prześladowań dołącza się doświadczenie moralne, o wiele boleśniesz. Chce trwać w skupieniu, a nie może. Gdy się ucieka do Boga, myśli obce ją prześladowają. Dręczą ją wątpliwości. Czy nie wkroczyła na błędną drogę? Gdzież jej modlitwy i pokuty? Czy one podobały się Bogu? Wbrew jej zamiarom nic jej się nie udało. Bóg ją opuścił... Opiera się tym podstępny myślom, ucieka się do swej najśłodszej Mamusi niebieskiej i mówi w duchu: "Zejdź z mej drogi, przeciwniku duszy, droga, którą szedł mój Boski Mistrz, droga wyrzeczeń i

upokorzeń, jest prawdziwą drogą życia, tą drogą i ja chcę iść... Z pomocą łaski Bożej przejdę cały świat i piekło, aby się zanurzyć w Bogu, ośrodku mej miłości" (z autobiografii włoskiej).

NA SŁUŻBIE

Nastała piękna wiosna roku 1841. Melanii szedł rok dziesiąty. Do Corps przybyła góralka szukać dziewczynki, która by opiekowała się dzieckiem, podczas gdy rodzice pracowaliby w polu. Gdy ojciec był w domu, chora Melania leżała w łóżku i życie w domu układało się spokojnie, ale skoro odszedł, matka skorzystała ze swobody i oddała córkę na służbę.

Mieszkanie nowej pani stoi na uboczu, w odległości dwu godzin marszu od Corps. Najbliższa wioska nazywa się Le Serre i należy do gminy Saint-Jean-des-Vertus (wg listu z 29 kwietnia 1899 do ks. Combe).

Rodzina składała się z tej kobiety, która zabrała Melanię, jej dwudziestopięcioletniej córki, z chłopca lat około dwunastu, no i małego dziecka, którego matką była wyżej wymieniona córka.

Gdy po upływie miesiąca ojciec Melanii wrócił do domu, zasmucił się, że córeczka jest tak daleko. Natychmiast poszedł ją odwiedzić. Ucałowali się serdecznie. Rozstanie było ciężkie, ale Melania, zawsze równa w obliczu Boga - jak sama notuje w swej biografii włoskiej - zachowała spokój.

I znów odważnie i całkowicie poświęca się swoim obowiązkom służącej. Jest jednak jeszcze tak dziecinna i tak naiwnie miłosierna, że popełnia błędy, które zresztą są dla niej źródłem nowych oświeceń.

ZŁODZIEJE

Pewnego dnia, gdy mała niania była sama w domu, pojawili się jacyś ludzie w maskach, żądając pieniędzy i pożywienia. Co do pieniędzy mała nie wie, gdzie one są, żywności zaś jest pod dostatkiem. Oto u sufitu wiszą półce wędzonki... Mała gosposia cieszy się, że panowie złodzieje się najedli, ale jeden z nich odchodząc; rzuca wiecheć zapalonej słomy na kołyskę dziecka: Melania ugasiła ogień. Tymczasem dym i swąd spalenizny alarmuje gospodarzy, którzy natychmiast przybiegają. Słyszac opowiadanie naiwnie szczerego dziecka, nie posiadają się z oburzenia; Co, pozostawiono ją, aby strzegła domu, ona zaś ułatwia robotę rozbójnikom, staje się ich współniczką! To straszny grzech!...

A więc obraziła ciężko Jezusa? Myśl ta rozdziera jej serce: Z siebie samej zdolna jest tylko do czynienia złego - sama dobrze wie o tym. Czyżby, więc Jezus pozostawił ją samą?

Ale oto nagle oczyma ducha spostrzega przed sobą tego, którego kocha. To naprawdę On, ale ona nie śmie spojrzeć na Niego... "Siostró mego serca - rzecze jej Jezus - pokój z tobą!". I w tej chwili zalewa ją niewymowny spokój... Bóg przebacza sercom skruszonym.

Nie, ona nie obrażała majestatu Bożego. Jej intencje były czyste, a przecież to, co ma znaczenie, to dobra wola, którą stale oświeca i kieruje umysł prawy. Kogo cechują te przymioty, ten jest zdolny kochać Boga. "Zrozumiałam - czytamy w jej autobiografii włoskiej - że czystość umysłu jest strażniczką czystości ciała, że tam, gdzie nie ma czystości umysłu, nie ma także prawdziwej cnoty czystości i że umysł nie jest czysty, jeśli ze wszystkimi zmysłami nie jest ukrzyżowany wraz z Chrystusem".

Biedne dziewczętko odzyskało ufność, odwagę, gorące pragnienie cierpienia, nieustannego wyzbywania się siebie samej, ściągania na siebie pogardy wszystkich. Zajęta tymi myślami i pragnieniami, pracuje nic nie mówiąc. Wydaje się nieczuła na wszystkie nagany i wyrzuty. W istocie jednak ta nieczułość to tylko pozór, ale uważając to karcenie za słuszne, nie pragnie go uniknąć, a nawet ma w nim upodobanie. Dlatego też modli się w milczeniu za swych chlebodawców.

WIZJA CZYŚĆCA

W tym to czasie miała widzenie czyśćca. "Pewnego dnia - tak notuje w autobiografii włoskiej - gdy pasąc krowy swej gospodyni, byłam zajęta myślami o nieskończonym miłosierdziu mego Najwyższego Dobra ogarnęło mnie gorące pożądanie zbawienia wszystkich dusz, pragnęłam cierpieć za wszystkich grzeszników, aby porzucili grzech, a stali się własnością Jezusa i kochali tylko Jego samego. Nie wiem, jak to się stało, dość, że gdy w postawie adoracji klęczałam z twarzą na ziemi; zostałam jakby uśpiona i jakby we śnie ujrzałam swego anioła stróża, który mi rzekł: Siostró; chodź ze mną, pokażę ci dusze przyjazne Bogu, które Go kochają, nie mogą jednak cieszyć się Jego widokiem, ponieważ będąc zbrukane grzechami muszą wpierw się oczyścić, ale jeśli zechcesz za nie ofiarować Ojcu Przedwiecznemu krew i mękę Jezusa Chrystusa; zostaną umyte z grzechów i pójdą połączyć się z Bogiem. Po tych słowach wyruszyliśmy nagle, jakby lotem, następnie zniżyliśmy się, ziemia się przed nami rozwarła; a my weszliśmy do ciemnego podziemia, które się wydawało wydrążone w niej. Trzecim lotem dotarliśmy do bramy - jeśli to bramą zwać można - przez którą widać było przerażającą scenę wszelkiego rodzaju cierpień i męczarni zadawanych żarem płynnego ognia oraz scenę tych okrutnych mąk, którymi torturują niezaspokojone pożądania, głód, pragnienie... W całym tym tłumie, wśród tego ubóstwa dusz pogrążonych w najstraszliwszych cierpieniach nie widziałam dwóch, których męka byłaby podobna; wszystkie te cierpienia

były różne, zależały od złośliwości, z jaką grzech był popełniony i od upodobania, jakie w nim znajdowano. Widok ten był dla mnie nie do zniesienia; modliłam i modliłam się za wszystkie te dusze święte i pogodzone z wolą Bożą, błagałam Boga przez śmierć i mękę Jezusa Chrystusa, aby raczył dać ulgę wszystkim tym duszom oraz wyzwolić siedemdziesiąt dwie nich przez miłość Maryi Dziewicy, która się przyczyniła do odkupienia rodzaju ludzkiego.

W tejże chwili ujrzałam przybywającego anioła Bożego trzymającego w ręku kielich bezcennej krwi Baranka, który gładzi grzechy świata. Wylał on kilka jej kropli na płomienie, które natychmiast zmniejszyły swą wysokość i natężenie, a następnie na dusze, które czekały na miłosierne modlitwy chrześcijan, aby odlecieć na łono Ojca Niebieskiego i które tym sposobem zostały wyzwolone.

Och! Gdyby grzesznicy, gdyby osoby poświęcone Bogu mogły wyobrazić sobie katusze i straszliwe płomienie pożerające, które zapaliła sprawiedliwość Boża... Każdy ze zmysłów nieokiełznanych w tym życiu - miał tutaj swą torturę. Tak więc widziałam wielką liczbę dusz, które piły ogień płynny... O, bluźniercy znieważający święte i uwielbienia godne imię Boga, Najświętszego Sakramentu, Najświętszej Dziewicy!... Nie wszystkie dusze oczyszczają się tym ogniem. Są tam wszystkie cierpienia, wszelkich rodzajów i form... Myślałam sobie: Bóg chce, żeby uwielbiony był przymiot Jego sprawiedliwości... Na pewno i mnie trzeba będzie przyjść do tego ciemnego miejsca, aby odpokutować za wszystkie swoje grzechy, będę więc pozbawiona kontemplacji i wielbienia mego ukochanego Jezusa za mych braci, a to cierpienie nie będzie mi zjednywało zasług...

Czy ja się obudziłam ze snu? Nie, tylko powróciłam do siebie i ujrzałam się w miejscu, gdzie ze swymi krowami byłam przed porwaniem...

Z całą jasnością umysłu przechowywałam żywy obraz, który widziałam i który mi wyjaśniono, aczkolwiek ja sama nie wypowiedziałam ani słowa:

Od tego czasu starałam się, jak mogłam, z pomocą Bożą nie sprawiać żadnej nieprzyjemności swoim pracodawcom, trzymać swe zmysły pod hamulcem obecności Boga Najwyższego, pragnęłam kochać, lecz prawdziwą, czystą miłością mego drogiego Jezusa - nie za Jego dary, nie aby mieć pociechę, nie aby być pobożną, nie..., ale dlatego, że Bóg sam jest godzien być kochanym, że sam zasługuje na całą naszą miłość i że chce być kochanym Jego własną miłością. Od tego też czasu szukałam wszelkich możliwych sposobów sprawienia ulgi duszom czyśćcowym i wyjednania ich uwolnienia... W tej wsi, gdzie przebywałam, nie znano narzędzi pokutnych... W swój skromny sposób postarałam się o kilka drobnych rzeczy do zadawania sobie pokuty cielesnej, jeśli zaś chodzi o cierpienia wewnętrzne, to już nasz miłosierny Jezus dostarcza ich."

"Drobne rzeczy" to ciernie tarniny i dzikiej róży, pędy jeżyn, które kładła sobie na poślanie. Podobne umartwienia zadawała sobie po powrocie do rodziców w zimie. Osobliwą pobudkę miała do tego. Oto matka oskarżyła ją o kradzież pierścionka. Gdy ojciec go znalazł, robił matce wyrzuty; że niesłusznie posądza córkę. Melania więc, aby zadawać sobie karę za winę, której się nie dopuściła, sporządziła sobie pas nabity od wewnątrz gwoźdźmi i nosiła go czterdzieści lat.

GOŁĄBKA

Mijały miesiące, swym pokornym i bezgranicznym oddaniem pasterka pokutowała za to, że powiedziała złodziejom, gdzie wisi wędzonka, gospodyni zaś opowiadała ludziom, którzy przychodzili w niedzielę ją odwiedzić: "Ta mała to święta - nie ma co gadać, nieustannie modli się i pracuje, ani myśli się bawić, nie ruszy niczego, jest bardzo posłuszna. Kilka razy prosiła mnie nawet, abym jej pozwoliła spać w chlewie, ale nigdy jej nie pozwoliłam". Melania słyszy te pochwały i to jej sprawia więcej cierpienia aniżeli nagana i pogarda.

Nie jest już ona na swej drodze. "Nie ma już we mnie życia ukrzyżowanego - skarży się w autobiografii włoskiej. Cóż pocznę? Pozbawiona skarbu swego drogiego cierpienia, nie będę miała racji życia. Ale nieco dalej dodaje: "Mówię tylko o przykrościach, którymi mój kochający Jezus darzył mnie przez mych pracodawców, ponieważ dzięki miłosierdziu Bożemu nigdy nie zostałam pozbawiona w duszy i ciele miłosnych cierpień Jezusa".

Jednakże dłuży się jej czas - wloką się dni smutne, bezbarwne. Lecz oto razu pewnego, gdy pasła na górze krowy, pogrążyła się w głębokim skupieniu i nagle ujrzała swego Brata, który uśmiechając się, patrzył na nią. Ale lepiej niech ona sama mówi o tym spotkaniu: "Był uśmiechnięty. Na Jego piersiach, pod ubraniem, coś się poruszało i wydawało jakby ciche jęki. Mój dobry Braciszek rzekł do mnie (nie wymawiając żadnego słowa): Miłosierdzie Boże niech będzie z Tobą, Sostro mego serca. - Amen!" odpowiedziałam. Mój Brat, cały zamieniony w miłość, powiedział jeszcze: Wielkie miłosierdzie Boga jest z tobą bez żadnej twej zasługi, po czym wyjął z zanadrza maleńką bielutką gołąbkę z otwartym dzióbkiem. Widząc to powiedziałam: "O mój Bracie, ona umiera z pragnienia, ratuj ją, póki jeszcze żyje!". On zaś odpowiedział: Dam jej pić i ubiorę ją jak oblubienicę". Potem tchnął trzykroć w dzióbek gołąbki, włożył na nią naszyjnik, wyrwał jej pięć piór i śliną wyleczył powstałe ranki, wreszcie wyjął z zanadrza pieczęć i przyłożywszy ją do jej serca, zapytał: Sostro mego serca, czy teraz jesteś zadowolona? - O tak, jestem zadowolona ze wszystkiego, co zrobiłeś. Ale nie widzę Krzyża. Krzyż umieściłem wewnątrz i na zewnątrz, teraz zaś włożę to jako zabezpieczenie. Mówiąc to, wyjął ze swej piersi pewną liczbę cierni i umieścił je jeden po drugim wokół gołąbki. Ja zaś zapytałam zdumiona: O, moja Miłości, co robisz? Czyż więc Twoją wolą jest, abym wydawała ciernie

nadające się tylko do spalenia? - Nie, Siostró moja, przyjrzyj się dobrze. I wyjaśnił mi, że ciernie nie tylko nie zapuszczały korzeni, ale nawet nie dotykały i nie urażały delikatnych piórek gołąbki... Te ciernie są dla zabezpieczenia gołąbki... To są pewne błędy i wady widoczne; które Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu zostawia osobom umiłowanym, by je ustrzec od pychy.

Podziękowałam swemu Bratu, On mnie pobłogosławił i przyszedł do siebie" (z autobiografii włoskiej).

Wieczorem, po tym jakby zachwyceniu, Melania czuła się umocniona, uzyskała bowiem pewność, że jej Najwyższe Dobro, Bóg, jest niezmienny w sobie samym i cieszyła się niewymownie, że jej drogi, kochający Jezus - ten szalony z miłości - jest tym, czym jest.

Nadszedł czas, w którym pasterka powinna była powrócić do rodziny na miesiące zimowe. Jednakże jej gospodyni chciała ją zatrzymać. Przyszła tedy do Corps, aby porozumieć się z rodzicami w tej sprawie. Ojciec był nieobecny, zajęty pracą, matka zaś bez trudności zgodziła się na pozostanie córki.

Melania jest przekonana i słusznie; że Pan udziela jej łaski znoszenia surowej zimy. Jakoż istotnie śnieg padał obficie, często wiał mroźny wiatr, drogi były zasypane, tymczasem po wodę musiała chodzić na odległość piętnastu minut drogi. Wtenczas na wsi nie znano jeszcze zapalek. Przykryty popiołem żar przechowywał się zwykle do rana, ale zdarzało się, że w bardzo mroźne noce wygasał. Wtedy trzeba było iść do wsi po głównię. Ale nierzadko mgła była tak gęsta, że niebożątka błądziło. Pewnego ranka wicher wiał tak gwałtownie, że łuczywo zgasło. Wtedy mała upadła na śniegu na kolana, wołając głośno miłosierdzie Boże o pomoc. Potem wstała i rada nie rada, puściła się w drogę do domu. Cóż bowiem miała robić w taki czas? Idąc była srodze strapiona, że z jej "winy" gospodyni będzie miała niedogodność, nie wiedziała, że jej wołanie usłyszał kruk, gdy bowiem była już blisko domu litościwy ptak, jak kometa przeleciał nad nią z płonąca pochodnią i usiadłszy na kamieniu podał ją dziewczątku. Ona zaś wielbiąc Boga błogosławionego, co sił pobiegła z nią do domu.

MAURYCY

Chociaż była bardzo posłuszna, to jednak mała służka oskarża się przed swą gospodynią, że jest "zazdrosna" o swą osobę, to jest, że kierując się skromnością i troską o zachowanie absolutnej czystości, nie pozwala, by ktokolwiek się jej dotykał, choćby tylko jej ręki czy twarzy.

Raz przyszedł do jej gospodarzy pewien człowiek: Był młody, nazywał się Maurycy. Przy stole Melania znalazła się obok niego. Patrzył na nią

sympatycznie i chciał ją wziąć na kolana, ona się broniła, następnie chciał ją pocałować, na to ona uderzyła go w twarz, wtedy puścił ją, mówiąc: "E, ta wasza święta nie jest tak spokojna, jak wam się wydaje!". Złajana poprosiła o przebaczenie, ale powiedziała Maurycemu: "Żebyś się nie ważył mnie całować!" i uciekła na odosobnienie.

Maurycy był ojcem dziecka córki gospodyni, ale oboje nie byli jeszcze połączeni związkiem małżeństwa. Odtąd młoda gospodyni stała się twarda dla Melanii.

ŚWIĘTE OBLICZE

Ale Melania myślała tylko o zniewagach wyrządzanych Zbawicielowi i o pokutach, które chce Mu ofiarować na zadośćuczynienie. W takich chwilach widzi Go, Boga-Człowieka, spoliczkowanego, wyśmianego, wzgardzonego, którego źli ludzie traktują, jako szaleńca, fałszywego proroka, człowieka o wygórowanych ambicjach. On zaś zachęca ją, aby szła za Nim.

"Patrząc na mego umiłowanego i miłującego Jezusa, moje Dobro Najwyższe, sprowadzone grzechami do tego stanu, nie mogłam znieść tego widoku i chciałam wytrzeć Jego piękne, słodkie i uwielbienia godne oblicze, pokryte plwocinami. Ale On, rozmiłowany Jezus, porywacz serc, powiedział mi: Nie, nie tak, Siostró mego serca... W tej chwili umysł mój został oświecony i zrozumiałam - jak zresztą rozumięją to, a może jeszcze lepiej, wszyscy chrześcijanie - że uwielbiony Jezus nie chce, by Jego oblicze materialnym płótnem ocierano z plam, którymi je okrywają nieprawości i niewdzięczność tylu dusz drogich Mu a nie znających Go. On chce, aby Mu dawano miłość za miłość. Dla otarcia Jego oblicza trzeba ekspiacji i wynagrodzenia, a więc miłości i pokuty" (autobiografia włoska).

Ale - dodaje ona nieco dalej - "pokuty, które przekładałam nad inne, były te, które mój Bóg zsyłał na mnie już to bezpośrednio; już to przez swoje stworzenia, często zaś nachodziła mnie obawa, że małe rzeczy, które czyniłam, nie podobają się memu kochającemu Jezusowi".

NAWRÓCENIE MAURYCEGO

Wiosna zwlekała z nadejściem: było już późno, a góry pokrywał śnieg, bydło nie mogło jeszcze wejść: Melania, jak zwykle, trudniła się pracą w domu i w chlewie.

Pewnego dnia gospodyni zawołała ją, by jej powiedzieć, że codziennie będzie zanosila posiłek człowiekowi; który pracuje w pobliżu w kamieniołomach. Ma jednak nie wchodzić na teren pracy: człowiek ów sam ją zobaczy nadchodzącą i przyjdzie zabrać koszyk. Przede wszystkim jednak gdyby ktoś ją pytał, od kogo jest posiłek, ma odpowiedzieć, że nie wie. Słyszac ten rozkaz i nie widząc

jeszcze jego podstępu, dziecko, zazwyczaj tak posłuszne, buntuje się. "Na to - tak dalej sama relacjonuje - odparłam natychmiast i, jak zwykle, bez zastanowienia: Nie, moja dobra gospodyni, nigdy język mój nie wypowie słów sprzecznych z prawdą i nie sprofanuje kłamstwem przybytku Ducha Świętego - raczej umrzeć! - Ach, moja mała odrzekła gospodyni - ty nie wiesz jeszcze, że jeśli chcesz żyć w pokoju z ludźmi, musisz kłamać w niejednej okoliczności. Małe kłamstwa nie są grzechem. Twoim obowiązkiem jest ukrywać przed ludźmi, co się dzieje w domu twych panów. Ja znam lepiej zasady wiary... Zanieś ten koszyk, jak ci poleciłam i wracaj szybko".

Idzie więc ścieżkami, których jeszcze nie zna, pytając napotkanych ludzi o drogę.

Wreszcie, po trzech kwadransach marszu pod górę; znalazła się pod kamieniołomami. Wychodzi z nich jakiś człowiek i zbliża się do niej... To Maurycy!

Dziewczynka jest przerażona. Wzywa na pomoc Najświętszą Dziewicę: "Mamo, moja Niepokalana, Mamusiu, przeczysta, cała piękna, ratuj mnie! Jestem cała Twoja, do Ciebie należę... Jezu, ratuj mnie, a zostanę uratowana. Przez zasługi swej najdroższej Krwi nawróć Maurycego i ratuj mą duszę!".

Maurycy zbliża się, zdejmuje kapelusz, pozdrawia z uszanowaniem, bierze koszyk i, nic nie mówiąc, oddala się.

Wieczorem kamieniarz powraca do domu. Za chwilę gospodyni woła Melanię i pyta się jej, co to za pani była przy niej, gdy Maurycy przyszedł po koszyk i w którym miejscu drogi przyłączyła się do niej. Czy Melania powiedziała jej coś wbrew zakazowi gospodyni? Melania szczerze odpowiedziała, że była sama i sama wracała, że nie widziała nikogo i nie zdradziła tajemnicy swych gospodyń...

Jeszcze czas jakiś codziennie zanosila posiłek Maurycemu. Codziennie też - tak dalej sama dosłownie zdaje sprawę - "wypowiadałam do niego kilka zdań, których znaczenia wcale nie znałam - jak papuga... a on płakał... Potem pewnego dnia powiedział mi, że postanowił zmienić życie i że poślubi córkę mej gospodyni. Tak też uczynił oraz uregulował swe życie z Bogiem i z bliźnimi".

Z WILKAMI

Nadeszła wreszcie ciepła pora. Na łąkach porośniętych zielenią i soczystą trawą pasły się stada krów i owiec. "Ja zaś znów - mówi ta dziwna pasterka - znajdowałam się poza obrębem stworzeń rozumnych". Ponieważ jednak wierzchołki górskie były jeszcze pokryte śniegiem, stworzenia dzikie, wilki i lisy stroniąc od nich, trzymały się niższych partii. Nigdy jednak nie atakowały jej

bydła. Ona zaś widząc, że cierpią głód i wiedząc, że nie jedzą trawy, dawała im z litości swój chleb. Najpierw zbliżył się jeden wilk, następnie przyszedł stary lis, ujął ją delikatnie za sukienkę i począł gdzieś ciągnąć. Gdy znaleźli się nad jego jamą, lisek czmychnął do niej i w mig wyniósł jedno ze swych szczeniąt, chore, a Melania pogłaskawszy je, natychmiast uzdrowiła. Gdy nadbiegły jeszcze inne zwierzęta, ona poczęła im mówić o Bogu. "Wiele razy - tak nam opowiada w autobiografii włoskiej - gdy ich się dużo zebrało, kazałam im urządzić procesję na uczczenie Boga, który je stworzył i głosiłam kazania, przypominając im ich szczęśliwe życie pierwotne przed winą Adama, pierwszego człowieka, gdy żyły w przyjaźni z człowiekiem bez lęku i w pokoju".

DRAMAT

Mówiono już o bliskim ślubie młodej gospodyni z Maurycem. Jednakże w domu nie panował idealny spokój.

Pewnego wieczoru, gdy Melania powróciła z bydłem, gospodyni rzuciła jej oskarżenie o kradzież wielkiej sumy pieniędzy, które stanowiły posag córki i groziła, że ją wtrąci do więzienia, jeżeli nie zwróci wszystkiego, co ukradła. Melania nic nie odpowiadała... "Nie wypytywano mnie" - wyjaśniała potem... Była świadoma, że nie ruszała tych pieniędzy, nie wiedziała nawet, gdzie się znajdują. W duszy składała dzięki Panu Jezusowi za fałszywe oskarżenie. Nie, ona nie okradła swej gospodyni, ale czyż nie kradła swemu Panu czasu, którego jej udzielił, aby Go chwaliła, wielbiła, wynagradzała za wyrządzone Mu zniewagi? A więc ta niesprawiedliwość chlebowczyni była sprawiedliwością Pana.

Następuje dramatyczna scena: wobec wszystkich krewnych zgromadzonych, a także Maurycego, wzywa się Melanię, aby zwróciła pieniądze. Ona zaś odpowiada z prostotą, że nigdy nie zabrała nic gospodyni. Podejmuje z wdzięcznością zmartwienia, które Ojciec Niebieski zsyła na nią, co zaś do więzienia, to będzie to dla niej wielką radością, jeśli zostanie do niego wtrącona, ponieważ dla uzyskania przebaczenia swych grzechów będzie mogła naśladować, przynajmniej niedoskonale, swego Boskiego Zbawiciela i towarzyszyć Mu na Jego drodze krzyżowej... "Och, tak! - rzekła rozgniewana narzeczona Maurycego - ty robisz sobie własną religię, czy sądzisz, że Bóg Ci przebaczy, jeśli nie zwrócisz rzeczy skradzionej? Jesteś obłudną nabożnisią, moja droga; a twoje cuda są fałszywe." Cuda, to znaczy?... Jedna z kobiet obecnych podczas tej sceny istotnie słyszała, że Melania miała zdziałać dwa cuda. Czy te pogłoski mają jakąś podstawę?

"Bynajmniej - odpowiada pracodawczyni - są to rzeczy całkiem naturalne. Raz nasze małe dziecko wpadło do ognia, na jego krzyki nadbiegła matka,

wyciągnęła je całe poparzone (a przynajmniej myślała, że jest poparzone), zawołała o pomoc i zemdląca. Melania natychmiast przybiegłszy, przeżegnała dziecko mówiąc: Nie bójcie się, to nic nie jest. Gdy ja z kolei nadeszłam, zastałam dziecko bez żadnych śladów oparzenia, nie było, bowiem w ogniu tak długo, aby wyrządzić sobie krzywdę... I oto cud... Innym razem posłałam Melanię do wsi po chleb. Musiała czekać, gdyż chleba nie wyjęto jeszcze z pieca. W tym czasie pewna mała dziewczynka wdrapała się na gruszę, aby zerwać owoc, ale! spadła i - gadają ludzie - złamała sobie stopę. Melania zbliżyła się do dziecka i rzekła do otaczających je ludzi: Nie płaczcie: tu nic nie jest - zdejmijcie jej obuwie! - Nie możemy - odparli ludzie, którzy nie śmieli dotknąć ofiary wypadku. - Ja zdejmę, nie bójcie się. Nie będzie ją bolało. To rzekłszy, Melania zdjęła dziecku buciki, otarła krew, która nie pozwalała widzieć uszkodzenia, złożyła złamane kości, uczyniła nad nóżką znak krzyża świętego i kazała podnieść dziewczynkę, która natychmiast zaczęła chodzić, a wszyscy głupcy zaraz zaczęli wołać, że cud. Niech mi ta święta zwróci pieniądze - to będzie dla mnie cud. Dosyć już tego! - wtrącił się zniecierpliwiony Maurycy. - Zajmijmy się swoimi sprawami, a ta biedna dziewczynka niech idzie do swej roboty. I odeszłam pełna radości i pociechy" - tak kończy Melania (w autobiografii włoskiej).

Gdy, słuchając opowiadania Melanii, ks. Combe dziwił się, że ona zdawała się podzielać stanowisko pracodawczyni, otrzymał odpowiedź: "Przyznawałam słuszność gospodyni, bo ona wiedziała, że tylko Bóg czyni cuda. Ja zaś do owego dnia byłam przekonana, że nawet święci Pańscy nie mogą ich działać własną mocą, choćby nie wiem jak wielka była ich cnota: Tylko Bóg, jedyna istota Wszechpotężna, czyni cuda, sam lub przez kogoś innego i dla tego celu chciał posłużyć się spaloną słomą, popiół ten nie mógł uzurpować sobie uprawnień Bożych mówiąc: zdziałałem cud". W dalszym ciągu swego listu do księdza Combe Melania wyjaśnia, że gasząc ogień i ratując dziecko rzeczywiście ciężko poparzone, jak też zestawiając złamaną stopę, modliła się i działała wzywając najświętszego imienia Jezusa i mocy Jego Krzyża (z autobiografii włoskiej).

Maurycy trafnie się domyślał oszustwa. Istotnie, po pewnym czasie pracodawczyni przeprosiła Melanię i wyjaśniła jej, że udawała kradzież pieniędzy, by doświadczyć Maurycego i przekonać się, czy poślubiłby jej córkę bez posagu. Melania z niesłabnącym męstwem i ze zwykłym spokojem znosiła to, co nazywała "czasem utrapienia i spustoszenia", nie przestając utrzymywać się w stanie kontemplacji. I znów pewnego dnia ujrzała swego ukochanego Brata, który wyjąwszy z zanadrza małą białą gołąbkę, przedstawiającą jej duszę, tchnął w oczy tego ptaka i powiedział Melanii: "Siostro mego serca, odtąd będziesz widziała moimi oczyma".

Odtąd Melania przywłaszczyła sobie Boży punkt widzenia wszystkiego.

Pod koniec listopada gospodyni odprowadziła pasterkę do Corps, tak jak umówiła się z jej ojcem wtedy, gdy przyszedł ją odwiedzić. Zgodnie z tą umową miała ją znowu zabrać w lutym (1843 r.). Ponieważ jednak ojciec był nieobecny, matka nie chciała nic przyrzec. Ale chociaż była przekonana, że za długo będzie utrzymywać córkę przez zimę bez zatrudnienia, to jednak nie chciała jej pozwolić na żadną pracę (zapewne dlatego, by w ojcu nie utrwaliło się przekonanie, że jest ona bardziej gospodarna aniżeli matka). Rada tedy, że może cierpieć, Melania "utkwiała wzrok swej duszy w Bogu" i, posłuszna wewnętrznemu natchnieniu, odprawiała nowennę za nowenną dla wyjednania wyzwolenia dusz z czyśćca (autobiografia włoska).

UWOLNIENIE KAPŁANA Z CZYŚĆCA

Skoro tylko mogła wyrwać się z domu, biegła do kościoła. "Pewnego dnia wszedłszy do kościoła - tak opowiada w autobiografii włoskiej - u stóp ołtarza głównego ujrzałam kapłana, który zdawał się być w pokornej postawie modlitewnej. Z szacunku nie zbliżałam się zbytnio do tego ołtarza... Ale nagle, sama nie wiedząc jak, znalazłam się tuż przed ołtarzem obok tego księdza i zobaczyłam, że jego sutanna była podarta a oblicze smutne, choć spokojne i zrezygnowane. Wtedy on odezwał się do mnie: Niech na wieki błogosławiony będzie Bóg sprawiedliwości i nieskończonego miłosierdzia! Już przeszło trzydzieści lat pokutuję, sprawiedliwie skazany na czyściec za to, że nie odprawiałem z wiarą Ofiary, która jest przedłużeniem tajemnicy Odkupienia i że nie troszczyłem się tak, jak powinienem o zbawienie dusz, które mi zostały powierzone. Przyrzeczono mi, że zostanę wybawiony w dniu, w którym będziesz za mnie uczestniczyła we mszy świętej - na wynagrodzenie za moją karygodną oziębłość. Teraz proszę cię, abyś zrobiła za mą duszę trzydzieści trzy, przyklęknięć, jakie zwykle czynisz, ofiarując Ojcu Przedwiecznemu zasługi życia Jezusa Chrystusa w imię tegoż Jego umiłowanego Syna. Można sobie wyobrazić - ciągnie dalej mała pastuszka - jak bardzo pragnęłam nazajutrz wziąć udział we mszy świętej, ale moje grzechy były zbyt wielkie, nie miałam szczęścia. Matka mi nie pozwoliła wyjść z domu w odpowiednim czasie. Co tedy było robić? Czyż mogłam pozostawić duszę tego świętego kapłana w okropnościach czyśćca? Czyż mogłam być przyczyną opóźnienia jego wejścia do miejsca doskonałej radości, w doskonałej miłości jego Boga? A jednak nie mogłam dopuścić się nieposłuszeństwa.

W ciągu tych trzech dni, w których nie było mi dane pójść na mszę świętą, czyniłam wszystko, co mogłam, dla wybawienia tej duszy, ofiarując się cierpieć za nią w zjednoczeniu z moim Jezusem, ponieważ ten święty kapłan cierpiał, ale nic nie zasługując. Wreszcie Pan Jezus pozwolił, że trzeciego dnia druga msza

św. rozpoczęła się nie o ósmej, jak zwykle, lecz o dziesiątej. Matka o tym nie wiedziała, uzyskałam więc pozwolenie wyjścia. Pobiegłam do kościoła i akurat trafiłam na tę mszę świętą i uczestniczyłam w niej, ofiarując ją za tą błagającą duszę.

Zbyteczne, chyba powtarzać, że nie umiałam się modlić. Zadowoliliam się tylko klęceniem u stóp Krzyża, na tej ponawiającej się Kalwarii, podczas niekrwawej Ofiary Boga-Człowieka i łączyłam się z zasługami Jego przenajdroższej Krwi, wylanej za rodzaj ludzki. Jako zepsuty przedmiot nie chciałam wdawać się w sprawy Boże. Dlatego, aby złożyć moją ofiarę Ojcu Przedwiecznemu, posługiwałam się głosem, ustami, miłością Jezusa Chrystusa. Ofiarowałam jedną po drugiej wszystkie cnoty, praktykowane przez mego bardzo kochającego Jezusa, na wynagrodzenie za stygnącą miłość, za spóźniony zapał, za chwiejną wiarę tej chłodnej duszy. Ofiarowałam zniewagi, jakich doznaje Przenajświętszy Sakrament, na wynagrodzenie za ubieganie się o zaszczyty świata i tak dalej i dalej przedstawiałam Bogu całe życie Boskiego Odkupiciela i Zbawcy świata.

Po mszy świętej ujrzałam tego świętego kapłana odzianego w szaty nowe, zdobne jaśniejącymi gwiazdami, jego dusza cudownie wypiękniała, cała promieniejąca chwałą uleciała do nieba".

RODZINNE KŁÓTNIE

W święto Bożego Narodzenia (1842 r.) ojciec Melanii wrócił do domu na dwa tygodnie, dwa tygodnie burz. Jakoż istotnie między ojcem a matką ciągle wybuchały przykre dyskusje z powodu Melanii. Matka zaczęła opowiadać, że gospodyni pozbyła się Melanii, bo dziewczyna była niezdolna i że wobec tego już jej nie chce. Ale oto ta gospodyni przychodzi do Corps akurat w tym czasie, kiedy ojciec jest u siebie, prostuje te wszystkie kłamliwe wypowiedzi i prosi o małą służkę na następny sezon. Ten incydent, tudzież opowiadania sąsiadów o tym, jak "droga matka" traktuje swą córkę, bardzo rozsierdziły ojca.

Melania nie przypomina sobie dobrze okoliczności, dość, że gdy w swym kąciку była cała zajęta wykonywaniem przyklęknęć i pozdrowień, które polecił jej Braciszek, nagle usłyszała brzęk patelni rzuconej o posadzkę. I nie wiadomo, jak by się sprawy dalej potoczyły, gdyby matka, chwyciwszy swe najmłodsze: dziecko, nie salwowała się ucieczką do swych rodziców. Wszystko, co mogła zrobić Melania, to ukryć pod fartuszkim i zanieść matce jej porcję rodzinnego posiłku.

Jedyną zapłatą ze strony matki był głośny policzek, od którego dziecko upadło na ziemię. Na szczęście przybiegli inni. W końcu zatarg załagodzony, matka wróciła do domu, ojciec poszedł do pracy, nastąpił miesiąc spokoju.

Melania jednak boleśnie, ale po swojemu przeżyła to smutne zajście. Zdjęta skrucą za tyle niepokoju, którego - jak sama twierdzi w autobiografii włoskiej - była przyczyną, zwróciła się do nieba z następującą modlitwą: "Miłości moja, Ty wiesz, że bez Ciebie nic nie mogę zrobić, zabierz więc wszystko, co Ci się we mnie nie podoba. Pozostaw mi tylko bo, co ma mnie ustrzec od zdrady prawdy i sprawiedliwości; spraw, żebym Cię kochała, a będę Cię kochać, uwielbij siebie samego na ruinach wszystkich rzeczy, które we mnie nie są Tobą...

Wówczas "w okamgnieniu znalazłam się przed odwiecznym tronem Boga, Jego wieczystej potęgi. Widziałam, jak Byt niestworzony reaguje, rządzi, zachowuje, wszystko stwarza swą nieskończoną mądrością, pozostaje jednak niezmienny. Im bardziej kontemplowałam i kochałam tego wielkiego Boga, tym bardziej czułam się pobudzana i pociągana, by kochać Go dla Niego samego jako początek i cel wszelkich moich emocji, wszelkich moich miłości... Bezmiar Boga był dla mnie pociechą za wszystko, a poznawanie tego bezmiaru zachwycało mnie. Tylko sam ten bezmiar jest niezależny od wszystkiego... Człowiek, stworzenie rozumne, jest obłąkańcem, po tysiącokroć obłąkańcem, jeśli nie kocha tego nieskończonego Najwyższego Dobra; nie podporządkowuje się całkowicie temu Dobru, które mu przyrzeka raj i radość z obecności jego swego Boskiego Majestatu".

ZNÓW W GÓRACH

Gdy ojciec po miesiącu nieobecności powrócił na kilka dni do domu, przyniósł Melanii płótna, aby uszyła dla siebie kilka koszul. Lecz ledwie tylko odszedł, matka zabrała jej wszystkie: płótna, igły, nici. "Niesłychana to rzecz, żeby chłop dawał dzieciom koszule do szycia! Ta mała wariatka zapewne swą bigoterią zawróciła mu głowę. Już ja dam sobie z nią radę". I wnet się jej wyzbyła oddawszy ją gospodarzom, którzy zobowiązali się ją ubrać. Nie czekała nawet na dawną gospodynię z Serre, która niezadługo miała przyjść po dziewczynkę.

Nowi gospodarze mieszkali we wsi Sainte-Luce, mieli do pasienia krowy i owce. Rodzina składała się z ojca, matki i dwóch dorosłych córek. Wszyscy wiedli życie chrześcijańskie, wieczorem codziennie wspólnie odmawiano pacierz. Z wyjątkiem trudu swych zajęć pasterka nie miała tam żadnych przykrości, dlatego mało mówi o dwu sezonach (1843 i 1844), które spędziła w Sainte-Luce.

Gdy tam przybyła, w lasach wyżej położonych zalegał jeszcze śnieg, wygłodniałe przez długą zimę wilki krążyły wokół owiec, dlatego pasterze grupowali swe stada razem, aby łatwiej je obronić i trzymali się niższych partii gór. Zachęcali również Melanię, by przyłączyła się do nich, ona jednak nie zdoławszy dobrze zapamiętać wyglądu swego dobytku bała się, żeby się nie zmieszał z obcymi

stadami. Trzymała się tedy na ustroniu, tym chętniej zresztą, że lubiła samotnie i góry. Prowadziła więc swe bydło aż do granicy śniegów, pod sam las. Stamtąd codziennie słyszała gwizdy, nawoływania i krzyki pasterzy, czasem dochodził do jej uszu nawet ich płacz i wtedy widziała wilka unoszącego owieczkę. Inne trzody były stale napastowane, ona zaś co wieczór przyprowadzała do domu swe stado w komplecie. Kupiła sobie jednak - za monetę znalezioną na łąkach - drewniany malowany gwizdek, z którym nigdy się nie rozstawała. Nawet jej Braciszek, aby ją rozweselić, gwizdał nim czasem.

Na tym kończy się autobiografia włoska, przerwana po wyjeździe z Mesyny. Jej napisania podjęła się na żądanie ks. kanonika Annibale di Francia, założyciela pożytecznego instytutu chrześcijańskiego, pasterza i opiekuna wielkiej liczby zakonnic i sierot. Jednakże na końcu Melania dodaje jeszcze: "Na łąkach wilk najpierw wypatruje pasterza, następnie nie spuszcza go z oczu, krąży wokół stada, by porwać owcę skoro tylko zauważy, że pasterz nie jest czujny".

DOBRY ROK

W roku 1845 Melania została najęta, jako pasterka najpierw w przysiółku Saint-Michel, potem w Quet-en-Beaumont. To ten rok (poprzedzający bezpośrednio rok objawień) nazwała sama rokiem łask albo "dobrym rokiem". Ta, która tak pilnie i tak wytrwale szukała krzyża, znalazła go w niedostatku i złym traktowaniu. Nie potrzeba więc wysilać się na pokutę, miłosierdzie Boże samo troszczy się o nią.

Gdy Melania przybyła do Saint-Michel, szedł jej rok czternasty. Rodzina, u której podjęła służbę składała się z męża, żony i małego dziecka lat dwu lub trzech. W domu było tylko jedno łóżko. Gospodarze liczyli, że Melania będzie spała z nimi. Na ich wezwanie odmówiłam i "znów uklęknęszy - tak sama opowiada - kontynuowałam pacierz. Gospodarze nalegali. Chwilami czułam się już zwyciężona ich prośbami, nie chciałam bowiem sprawiać im przykrości, byłam skłonna położyć się z nimi i chociaż to wydaje się niewiarygodne, jednocześnie trwałam mocno w postanowieniu, by raczej umrzeć aniżeli ich usłuchać...". Tak było następnego i jeszcze trzeciego wieczoru. Zachęcana, kuszona, padając ze znużenia, walczy jednak i w końcu zwycięża... Z opowiadań swego Brata wie, jak dla miłości Bożej święci pozbawiali się snu, stojąc kłuli się igłą, aby nie zdrzemnąć się i nie upaść ze znużenia. Ona także wytrwa. Jakoż istotnie czwartego wieczoru miała własne łóżko, ustawione w nogach łóżka gospodarzy, ale było to świńskie koryto, o wiele za krótkie na nią, wypełnione suchym ostem. Położyła się w nim zadowolona, rozebrawszy się częściowo.

Jeszcze inny pastuszek z Corps służył w tym samym przysiółku. Uzyskawszy krótki urlop, chłopczyk ten przyszedł wcześniej rano zapytać się, czy Melania nie

chciałaby z nim pójść, aby mogli wzajemnie odwiedzić swe rodziny. Gospodarze Melanii odmówili pozwolenia. Wszyscy jeszcze spali, chłopczyk ten widział więc postanie służącej... Po kilku dniach powiadomiono Melanię, że matka jest chora, że zatem powinna opuścić gospodarzy i wrócić do domu.

W domu zastała matkę w dobrym zdrowiu. Była to niedziela. W czwartek zawarto umowę o służbę w innej rodzinie, w Quet-en-Beaumont, a w następną niedzielę nowa gospodyni przyszła ją zabrać. "Chwała niech będzie Bogu miłosierdzia i miłości - mówi Melania - nic nie straciłam na zmianie".

Rodzina, nazwiskiem Le Moine, do której teraz przyszła Melania, składała się ze starego ojca, matki i dwojga dorosłych dzieci, chłopca i dziewczyny, z których każde miało lat około dwadzieścia pięć. Była to rodzina prawdziwych rozbójników, notowana w żandarmerii, utrzymująca się bardziej z grabieży aniżeli z pracy. Stary całymi dniami bluźnił Bogu, wygadywał przeciw religii przy każdej okazji i był równie szalony jak jego krowy. Te "szalone" krowy - jak je nazywa naiwnie Melania - były to dwa byki, a także krowa i kilka kóz. Rzeczą trudną i niebezpieczną było odwiązywać i przywiązywać byki. Pierwszym rankiem przyszła z pasterką córka gospodarzy, odwiązała zwierzęta, dała Melanii duży kij i kazała jej zaprowadzić je na gminną łąkę. Cały dzień biedna pasterka trapiła się, jak ona je uwiąże wieczorem. Ale przypomniawszy sobie, że - według pouczenia jej drogiego i ukochanego Braciszka - człowiek przed swym upadkiem rozkazywał wszystkim zwierzętom, że był królem wszelkiego stworzenia i że posłuszne mu były wszystkie zwierzęta, powiedziała sobie: "Skoro mój tak bardzo kochający Jezus przez chrzest święty uczynił mnie dzieckiem Bożym i skoro swą Krwią zmył wszystkie moje grzechy, wobec tego mogę w imię zasług tej Krwi nakazać swoim krowom, aby zachowywały się spokojnie, gdy będę je przywiązywać i odwiązywać". Wieczorem przywiązała je bez trudu (z autobiografii z r. 1900).

A więc nie ze zwierzętami miała toczyć boje, tutaj także musiała walczyć z ludźmi, aby móc spać samotnie.

Były tylko dwa łóżka: w jednym spali rodzice, w drugim syn z córką. W tym drugim robi się miejsce dla Melanii, łóżko jest duże, a ona mała. Dziewczynka odmawia. Nakazuje się jej - ona stawia opór, ale tym razem ma do czynienia z brutalami. Opętany wściekłością stary zbój ciągnie ją za włosy, uderza jej głową o płyty posadzki, wreszcie rycząc; woła o siekierę, by - jak mówi - uciąć jej głowę. Ona jednak zebrawszy całą swą odwagę, powtarza: "Nie; nie będę spała z waszymi dziećmi". Następnie spodziewając się śmierci, odmawia wyznanie wiary i w tej samej chwili wszystko się zaciera i zmienia wokół niej, po obelgach następuje rozkoszna muzyka. Dziewice ubrane w jaśniejsze szaty ofiarują jej, jedna po drugiej tajemnicze kwiaty. Ona zaś czuje się niegodna je otrzymać.

Wręcza je tedy Najświętszej Pannie, swej Królowej, opiekunce i skarbnicze, która je przyjmuje, uśmiechając się, i okrywa swym welonem tę wiązaną heroiczną cnót. Także Jezus jest tam i zwraca na nią swe przenikliwe a łagodne oczy. Jezus trzyma palmę. Po tym znaku Melania poznaje, że chociaż nie wycierpiała swej agonii do końca, to jednak jej ofiara została przyjęta. Wtem budzi się na podłodze obok złamanego krzesła. Jej gospodarze kłócą się i zachodzą w głowę, jak ona mogła wymknąć się z domu i powrócić, skoro drzwi były zamknięte na klucz. Stary woła, że ta dziewczyna doprowadzi go do szaleństwa. Tymczasem ona wstaje zmaltretowana - włosy częściowo powyrywane, powieki zaklejone zakrzepłą krwią. Wychodzi cichutko z mieszkania, aby się umyć. Ale gdzie woda? Głos wewnętrzny mówi jej, aby skręciła na prawo za domem, tam rynienka doprowadza świeżą źródlaną wodę do poidła. Umyła się tam i poszła na cały dzień z bydłem.

Gdy po kilku dniach chłopiec poszedł z domu, dziewczyna, na której zachowanie się Melanii wywarło niemałe wrażenie, przegrodziła łóżko deską i wtedy Melania zgodziła się w nim spać, aczkolwiek niechętnie. Gdy jednak nadeszły żniwa i gdy wszyscy sypiali bezładnie w szałasie w polu, ona wolała spać sama pod gołym niebem. Polecono jej zbierać kłosa. Gdy jednak wybierała je z pola gospodarzy, nakazali jej zbierać także z cudzego pola, a nawet wyjmować kłosa z cudzych snopów, odpowiedziała stanowczo, że nie może brać cudzego mienia. Obrzucona obelgami, których dokładnego znaczenia zresztą nie rozumiała, oddała się. Wtedy stary piekielnik rzuca w nią kamieniami. Jeden z nich trafił ją w usta, wybijając dwa zęby, inny w głowę - i zamroczył. Za całe pożywienie ma tylko trochę spleśniałego chleba. Miejscowi ludzie, którzy znają rodzinę Le Moine i którzy wiedzą, że pastuszki uciekają od nich już nazajutrz po przybyciu, litują się nad nią, pozwalają jej dożywiać się owocami ze swych sadów i starają się bronić ją przed znęcaniem się nad nią tych zdegenerowanych ludzi. Pewnego wieczoru Melania, powróciwszy z pastwiska, znajduje dom zamknięty. Sąsiadka wyjaśnia jej, że gospodarze poszli na rabunek, Tymczasem zaczął padać ulewny deszcz. Dziewczynka bojąc się byków, nie idzie spać do chlewa, lecz wszedłszy na najwyższy stopień zewnętrznych schodów, usiłuje tam się jakoś ulokować. Wkrótce jednak deszcz ją przemoczył. Szczęście, że litościwa sąsiadka zabrała ją i ułożyła w swym mieszkaniu. Te napady furii niehumanitarnych gospodarzy nieraz się powtarzały. Tymczasem nędza zaznacza się wrzodami na ciele Melanii. Gospodarze; bojąc się, że może to być oспа, zawiadomili rodziców. Wkrótce zabrano ją, a na jej miejsce przyszedł jej brat Henryk, o dwa lata młodszy od niej.

Ale życie bez tej ciężkiej służby staje się jej nieznośne. Po kilku dniach mówi matce, że czuje się lepiej i prosi, żeby jej pozwoliła powrócić do Quet. "Gospodarze są nieobecni, Henryk nie znając pastwisk, będzie miał kłopoty".

Matka chętnie udziela pozwolenia. "Wzięłam żywności, aby ją dać Henrykowi - mówi Melania. - Przez całą drogę nie szłam, lecz biegłam". Gospodarze zwlekali z powrotem. Melania cieszyła się wielką samotnością. Jej Braciszek już nie przychodzi do niej. Pewnie boi się tych szalonych krów - myśli sobie w swej naiwności pastuszka. W dalszym ciągu przymiera głodem. Pewnego dnia szuka orzechów na drodze, lecz z wycieńczenia upada na ziemię zemdlona. W tym czasie przechodził drogą jakiś nieznany mężczyzna - niby to do lasu, aby łączyć drzewa na opał. Zauważywszy ją, dał jej trzy małe krążki ze znakiem krzyża, dziwnie podobne do chleba ołtarzowego. Wzmocniona tym cudownym pożywieniem, składa dzięki Opatrzności, ale natychmiast odczuwa żal, że do końca nie wykorzystała okazji cierpienia. A oto co sama zanotowała w swej autobiografii z roku 1900: "Ach - pomyślałam sobie - minęła łaska. A przecież aby wynagrodzić za zniewagi i krzywdy wyrządzone mojemu najlepszemu i najmilszemu Jezusowi, całym sercem zgodziłam się na wszelkie te udręczenia. Chciałabym być unicestwiona, byle tylko Jego kochano, wielbiono, byle tylko Jemu służyli ludzie... Na to odpowiedział mi słodki a przenikliwy głos idący ze środka wielkiego Światła: "To co chciałaś zrobić, zostało w oczach Bytu nie stworzonego przyjęte jako rzeczywiście zrobione... Opróżniłaś swe serce z rzeczy niszczytelnych, a Bóg uczynił je zdolne do przyjęcia Jego samego." Po tych słowach chwytanych tylko umysłem, skoncentrowałam się na swej nicości i rozumiałam jeszcze więcej aniżeli te słowa mi powiedziały".

W niedzielę, która nastąpiła po tym wydarzeniu, powrócił jej ojciec i dowiedziawszy się od Henryka oraz od ludzi z Qúet, jak traktuje się jego córkę, kazał jej powiedzieć, że chce aby wróciła do domu; nie czekając Wszystkich Świętych, czyli dnia, w którym wygasa umowa o jej najem.

Gospodarze musieli jej pozwolić odejść. Gdy powróciła, ojciec wybierał się do pracy. Powiedział jej wtedy, że nie życzy sobie, aby tam powróciła, ani też aby dokądkolwiek indziej udała się na służbę.

Skończył się dobry rok.

NAUKA KATECHIZMU

Nieregularnie między okresami swej służby, Melania chodziła na katechizm, ale nie umiejąc czytać, nie mogła utrwalić sobie lekcji i nigdy nie odpowiadała na pytania ks. wikarego. Zdarzało się też, że z polecenia matki musiała zbierać chrust w czasie nauki katechizmu. Pewnego dnia ks. wikary, kontrolując obecność uczniów, powiedział do Henryka Calvat, który regularnie uczęszczał na religię: "Twoja siostra nie przychodzi - dlaczego? W tym roku nie zostanie dopuszczona do pierwszej Komunii św., a przecież skończyła już czternaście lat...".

Gdy dziewczynka dowiedziała się o tym, bardzo się zasmuciła, usłyszała jednak głos wewnętrznego światła: módl się i odpowiadaj wiernością na łaski Boże.

Modli się, więc zawsze, modli się za wszystkich i czy to zbierając suche gałązki wśród śniegu, czy też klęcząc na środku kościoła za spóźnienie się na katechizację - uważa się za całkiem małą, zupełnie zapomnianą w ręku Tego, który wszystko obraca na nasze dobro pod okiem Najwyższego.

Wówczas to, w pierwszych dniach wiosny 1846 r., miała miejsce ta już wcześniej wspomniana przechadzka do kapliczki św. Rocha, w czasie której - jak sobie przypominamy - Melania otrzymała od swego Brata mistyczny pocałunek jako znak i rękojmię zjednoczenia z Boskim Oblubieńcem.

Mimo tych łask Melania nadal pozostaje małą dziwną i dziką dziewczynką, której usposobienie jest nieznosne dla matki. Dlatego też gdy ludzie z Ablandins, przysiółka należącego do gminy La Salette-Fallavaux, a wcinającego się już głęboko w góry, przyszli do Corps szukać pasterki, ją właśnie rodzice oddali na jeden sezon. Jeszcze raz przeto opuszcza swój dom, rodzinną wieś. Opatrzność Boża prowadzi ją ku miejscu - bez wątpienia przeznaczonemu dla niej od wieków. Jak więc widziany, wszystko zmierza do cudownego posłannictwa, a posłanniczka jest gotowa.

CZĘŚĆ D R U G A

MISJA W OGNIU PRÓBY

ZJAWIENIE

Sama tylko jasnowidząca Melania z Maksyminem może je opowiedzieć. Dokonawszy tego ustnie, niezliczoną ilość razy, w roku 1878 postanowiła je opisać. Opis ten, zaopatrzony w imprimatur ks. biskupa Zoli, wydrukowano po raz pierwszy w Lecce (Włochy) 15 listopada 1879 r., a następnie (bez żadnych zmian) w Lyonie (Francja) w r. 1904, na kilka miesięcy przed śmiercią Melanii. Ta francuska broszurka jest już niemal niedostępna. Podajemy tutaj jej dokładne tłumaczenie.

"Dnia 18 września 1846 r., w przeddzień świętego ukazania się Najświętszej Dziewicy, pasąc krowy swych gospodarzy, byłam jak zwykle sama. Około godziny 11 przed południem zauważyłam zbliżającego się do mnie małego chłopca. Przestraszyłam się na ten widok, bo jak mi się wydawało - wszyscy powinni wiedzieć, że ja stronię od wszelkiego towarzystwa. Chłopczyk ten podszedł do mnie i rzekł: "Mała, zostanę z Tobą, ja też jestem z Corps." Na te słowa zaraz ujawniła się moja zła natura, bo cofając się kilka kroków,

powiedziałam mu: "Nie chcę nikogo; chcę pozostać sama." Ale chłopczyk idąc za mną, odparł: "No, pozwól mi pozostać z Tobą, mój gospodarz kazał mi paść moje krowy z twoimi, ja jestem z Corps." Oddalając się dałam mu znak, że nie chcę nikogo. Odszedłszy, usiadłam w pewnym oddaleniu na trawie i rozmawiałam z kwiatkami dobrego Boga.

W chwilę potem obejrzawszy się, widzę Maksymina siedzącego obok mnie, on zaś natychmiast odzywa się do mnie: "Pozwól mi pozostać - będę bardzo grzeczny." Ale moje złe usposobienie nie słuchało rozumu: Wstałam pospiesznie i uciekłam dalej nic nie mówiąc i znów poczęłam się bawić z kwiateczkami dobrego Boga. Za chwilę Maksymin znów znalazł się przy mnie mówiąc, że będzie bardzo grzeczny, że nic nie będzie mówił, że przykryło mu się samemu, że jego gospodarz przysłał go do mnie itd., itd. Tym razem ogarnęła mnie litość, dałam więc znak aby usiadł i w dalszym ciągu zajmowałam się kwiatkami dobrego Boga.

Maksymin nie omieszkął przerwać ciszę, zaczął się śmiać (przypuszczam, że ze mnie), a gdy spojrzałam na niego, rzekł mi: "Zabawmy się, zagrajmy w co." Nic mu nie odpowiedziałam, byłam bowiem taką ignorantką, że przebywając zawsze sama, nie znałam żadnej zabawy z inną osobą. Znów zajęłam się zabawą z kwiatami, gdy nagle Maksymin, zbliżywszy się do mnie, ciągle się śmiał, mówiąc, że kwiaty nie mają uszu, aby słyszeć i że powinniśmy bawić się razem. Ja jednak nie miałam żadnej skłonności do zabawy, którą mi proponował, ale zaczęłam z nim rozmawiać, on zaś mi powiedział, że dziesięć dni, które ma przebywać u gospodarza, wkrótce upłynie, a on powróci do swego ojca w Corps itd.

Gdy on mówił do mnie, dał się słyszeć dźwięk dzwonu w la Salette, wzywający na Anioł Pański, dałam mu znak, aby wzniósł swą duszę do Boga. Wtedy on zdjął kapelusz i przez pewien czas pozostał w milczeniu. Następnie zapytałam go: Chcesz jeść? - Tak, zjedzmy coś - odpowiedział mi. Gdyśmy usiedli, wyjęłam z torby zapasy, które dali mi gospodarze i przed ugryzieniem okrągłej bułki, którą trzymałam w ręku, czubkiem noża robiłam na niej - według swego zwyczaju - znak krzyża i mały otwór w środku, mówiąc:, Jeśli jest tu diabeł, niech wyjdzie, jeśli dobry Bóg, niech pozostanie i szybko zakryłam dziurkę. Maksymin wybuchnął głośnym śmiechem i kopnął w moją bułkę, która wypadła mi z rąk, potoczyła się z góry na dół i zniknęła. Miałam jeszcze inny kawałek chleba, który jedliśmy razem, po czym zabawiliśmy się. Następnie, zrozumiawszy, że Maksymin jest chyba głodny, pokazałam mu miejsce na górze pokryte małymi owocami. Zachęciłam go, by ich zjadł, co natychmiast zrobił. Najadł się sam i jeszcze przyniósł mi ich pełen kapelusz. Wieczorem zeszliśmy z

góry razem i umówiliśmy się, że również nazajutrz będziemy tam paść krowy razem.

Nazajutrz, 19 września, spotkałam się z Maksyminem na drodze. Weszliśmy na górę razem. Stwierdziłam, że Maksymin był bardzo dobry, bardzo prosty, że chętnie mówił o tym, o czym ja chciałam mówić. Był także bardzo giętki i nie obstawał przy swoim. Był tylko trochę ciekawy, bo gdy tylko oddaliłam się od niego i zatrzymałam, szybko przybiegał do mnie, aby widzieć, co robiłam i słyszeć, o czym rozmawiałam z kwiatkami dobrego Boga. Gdy zaś nie zdążył przybiec na czas, wypytywał mnie, co mówiłam.

Maksymin prosił mnie, aby go nauczyć, jakiej zabawy. Ranek już miał się ku końcowi. Kazałam mu zbierać kwiaty, aby zrobić raj. Oboje zabraliśmy się do dzieła, wkrótce mieliśmy mnóstwo różnobarwnego kwiecica. Niebo było jasne, bezchmurne. We wsi dzwoniono na Anioł Pański. Gdyśmy powiedzieli dobremu Bogu to, cośmy umieli, powiedziałam Maksyminowi, że trzeba zaprowadzić bydło na pastwiska nad wąwozem, gdzie jest dużo kamieni do zbudowania raj. Zapędziwszy tam bydło, zjedliśmy skromny posiłek, po czym zabraliśmy się do znoszenia kamieni i do budowy domku. Składał się on z parteru, który miał być naszym rzekomym mieszkaniem oraz piętra, które miało być rajem.

Całe to piętro były przybrane różnobarwnymi kwiatami poutykanymi tak, że ich korony zwisały do dołu. Raj przykryliśmy jednym płaskim głazem, na którym rozłożyliśmy kwiaty i wokół którego również zwisały kwiaty. Po ukończeniu pracy przypatrywaliśmy się swemu rajowi. Wkrótce zmorzyła nas senność i zasnęliśmy w trawie.

Obudziwszy się i nie widząc krów, zawołałam Maksymina i wybiegłam na mały pagórek. Zauważywszy, że krówki leżą sobie spokojnie, zaczęłam schodzić z pagórka a Maksymin wchodził. Nagle ujrzałam piękne światło jaśniejsze aniżeli słońce i ledwie wypowiedziałam słowa: "Maksymie, widzisz tam? Ach, mój Boże!", upuściłam kij, który miałam w ręce. W tej chwili działało się we mnie coś rozkosznego - nie umiem tego określić, ale czułam, że to światło mnie przyciąga do siebie, czułam wielki i miłością przepełniony religijny szacunek, me serce chciało biec szybciej aniżeli ja.

Patrzyłam z natężeniem na to światło, które początkowo było nieruchome, wkrótce jednak jakby się rozwarło i wtenczas ujrzałam inne światło, o wiele jaśniejsze i ruchome, a w tym świetle przepiękną Panią siedzącą na naszym raj. z twarzą ukrytą w dłoniach.

Piękna Pani wstała, lekko skrzyżowała ramiona i patrząc na nas rzekła: "Zbliźcie się, moje dzieci, nie bójcie się, jestem tu, aby zapowiedzieć wam wielką

nowinę". Te słodkie i łagodne słowa porwały mnie ku Niej, a serce moje chciałoby przywrzeć do Niej na zawsze.

Gdy stanęłam obok Niej, po Jej prawej stronie, Piękna Pani rozpoczęła mowę, ale też łzy zaczęły płynąć z Jej pięknych oczu:

Skoro mój lud nie chce okazać uległości, jestem zmuszona puścić rękę swego Syna. Ona jest tak ciężka, że już nie mogę jej utrzymać.

Od jak dawna już cierpię za was! Jeśli chcę, żeby mój Syn was nie opuścił, muszę Go nieustannie prosić. Wy zaś nic sobie z tego nie robicie. Zresztą daremnie byście się modlili, daremnie wysilali, nigdy nie moglibyście wynagrodzić trudu, jaki dla was podejmowałam.

Dałam wam sześć dni do pracy, a siódmy zarezerwowałam dla siebie, a ludzie nie chcą mi go dać. Z tej właśnie przyczyny ramię mego Syna staje się tak ciężkie.

Woźnice nie umieją mówić bez używania imienia mego Syna. Te dwie rzeczy najbardziej wpływają na to, że ramię mego Syna jest tak ciężkie. Gdy plody ziemi niszczą, to tylko z waszej winy. Udowodniłam wam to zeszłego roku, jeśli chodzi o ziemniaki, wyście jednak to zlekceważyli, więcej jeszcze, gdyście znajdowali ziemniaki zepsute, przeklinaliście, szargając imię mego Syna. W dalszym ciągu będą wam się psuły, na Boże Narodzenie już nic ich nie pozostanie".

Tutaj zastanawiałam się, co może znaczyć wyrażenie *pommes de terre*, myślałam, że ono znaczy jabłka. Odgadując moją myśl, Dobra Pani tak mówiła dalej :

Nie rozumiecie moje dzieci, będę więc mówiła do was inaczej. Jeśli macie zboże, nie trzeba go siać. Wszystko co zasiejecie, zwierzęta zjedzą, a to co wyrośnie, w pył się zamieni podczas młócenia. Przyjdzie wielki głód. Przed nadejściem głodu małe dzieci poniżej lat siedmiu zapadać będą na konwulsje i umierać w rękach osób, które będą je trzymały. Inni pokutować będą głodem. Orzechy staną się niedobre, winogrona będą się psuły".

Teraz przez chwilę nie słyszałam tej Pięknej Pani, która mnie zachwycała, widziałam jednak, że poruszała wdzięcznie swymi kształtnymi wargami i z tego wnioskowałam, że coś mówi: to właśnie Maksyminowi powierzała jego sekret. Potem zwracając się do mnie, Najświętsza Maryja Panna wypowiedziała mi mój sekret po francusku. Oto pełna i dokładna jego treść:

«Melanio, to co ci teraz powiem, nie będzie zawsze tajemnicą, w roku 1858 możesz to opublikować.

Kapłani służy mego Syna, przez całe swe złe życie, przez nieuszanowanie i lekceważenie, z jakim sprawują święte tajemnice, przez miłość pieniędzy, zaszczytów, przyjemności, stali się stekiem nieczystości.

Tak, kapłani żądają pomsty, a pomsta wisi nad ich głowami. Biada kapłanom i osobom poświęconym Bogu, którzy swą niewiernością i złym życiem na nowo krzyżują mego Syna. Grzechy poświęconych Bogu wołają o pomstę do nieba, a oto pomsta jest u ich drzwi, bo już nie ma nikogo, kto by błagał o miłosierdzie i przebaczenie dla ludu, nie ma już dusz wspaniałomyślnych, nie ma już osoby, która byłaby godna ofiarować Przedwiecznemu za świat Żertwę bez skazy.

Niezdługo uderzy Bóg w sposób bezprzykładowy. Biada mieszkańcom ziemi! Cierpliwość Boża wkrótce się wyczerpie, a wtedy nikt nie zdoła się schronić od tyłu klęsk nagromadzonych.

Szefowie i przywódcy ludu Bożego zaniedbali modlitwę i pokutę, a demon zaciemnił ich rozum, stali się tymi błędnymi gwiazdami, które stary diabeł pociągnie swym ogonem, by je zgubić. Bóg pozwoli staremu wężowi siać niezgodę między panującymi we wszystkich społeczeństwach i we wszystkich rodzinach. Ludzie znosić będą cierpienia fizyczne i moralne; Bóg zostawi ludzi ich własnemu losowi i ześle kary, które następować będą jedne po drugich, przez lat więcej niż trzydzieści pięć.

Niech namiestnik mego Syna, Najwyższy Kapłan Pius IX, nie wychodzi z Rzymu po roku 1859, ale niech będzie nieugięty i wspaniałomyślny, niech walczy bronią wiary i miłości: ja będę z nim. Niech nie ufa Napoleonowi, jego serce jest dwoiste; zechce jednocześnie być papieżem i cesarzem, wkrótce Bóg odwróci się od niego. Jest on tym orłem, który chcąc zawsze się wznosić, spadnie na miecz, którym chciał zmusić narody do wywyższenia siebie samego.

Włochy będą ukarane za ambicję, za chęć zrzucenia jarzma Pana panów, cały kraj zostanie uwikłany w wojnę, krew będzie się lała wszędzie, kościoły zostaną zamknięte lub sprofanowane, kapłani, zakonnicy będą wypędzeni, niektórzy z nich zginą, a zginą śmiercią okrutną. Niejeden porzuci wiarę, a liczba kapłanów i zakonników, którzy oderwą się od prawdziwej religii, będzie wielka, wśród tych osób znajdą się nawet biskupi.

Niech Papież ma się na baczności przed fałszywymi cudotwórcami, nadszedł; bowiem czas, kiedy najbardziej zdumiewające dziwki dzieć się będą na ziemi i w przestworzach.

W roku 1864 Lucyfer z wielką liczbą demonów zostanie wypuszczony z piekła, stopniowo wyrugują oni wiarę. Wygaszą ją nawet w osobach poświęconych Bogu, oślepią ich do tego stopnia, że jeśli nie będzie ich wspierać łaska

nadzwyczajna, przejmą się duchem tych złych aniołów, niejeden dom zakonny utraci wiarę i doprowadzi do zguby wiele dusz.

Wielkie mnóstwo złych ksiązek będzie na całej ziemi, a duchy ciemności doprowadzą do powszechnego rozluźnienia w tym, co dotyczy służby Bożej. Będą one miały wielki wpływ na przyrodę, powstaną kościoły, w których służyć się im będzie. Będą one przenosić z miejsca na miejsce różnych ludzi, a nawet kapłanów, ponieważ nie kierowali się dobrym duchem, duchem Ewangelii, który wymaga pokory, czystości i troski o chwałę Bożą. Będzie się wskrzeszać umarłych (odrzuconych) i sprawiedliwych.

(To znaczy, że ci umarli, aby lepiej zwodzić ludzi, przybierać sobie będą ciała ludzi sprawiedliwych, którzy żyli na ziemi. Ci rzekomi zmartwychwstali, którzy będą tylko demonami w ludzkiej postaci, głosić będą ewangelię inną aniżeli Ewangelia Jezusa Chrystusa i przeczyć istnieniu nieba; będą to również dusze potępionych. Wszystkie te dusze będą się po, zjawiać połączone ze swymi ciałami).

We wszystkich miejscach dzieć się będą nadzwyczajne dziwy, ponieważ prawdziwa wiara wygasła, a fałszywe światło oświeca świat. Biada książętom Kościoła, którzy będą tylko gromadzić bogactwa na bogactwach, strzec swej władzy i troszczyć się o dumne panowanie!

Namiestnik mojego Syna będzie musiał dużo cierpieć, gdyż przez pewien czas Kościół będzie znosił srogie prześladowania i przechodził głęboki kryzys, będzie to czas ciemności.

Ponieważ święta wiara w Boga zostanie zapomniana, każdy osobnik będzie chciał kierować się swymi własnymi zasadami i być wyższym od bliźnich. Władze świeckie i kościelne zostaną zniesione, deptać się będzie wszelki porządek i wszelką sprawiedliwość, panoszyć się będzie tylko mężobójstwo, zazdrość, nienawiść, kłamstwo, niezgoda, bez miłości ojczyzny i rodziny.

Ojciec święty dużo wycierpi, ale ja będę z Nim do końca, aby przyjąć jego ofiarę. Żli zasadzać się będą na jego życie wielokrotnie, nie mogąc jednak mu szkodzić. Ale ani on, ani jego następca nie ujrzy tryumfu Kościoła Bożego.

Wszyscy władcy świeccy żywić będą ten sam zamiar, mianowicie wyrwać i wyrugować wszelki pierwiastek religijny, aby zrobić miejsce materializmowi, ateizmowi, spirytyzmowi i wszelkiego rodzaju błędom.

W roku 1865 okropne rzeczy będą się działy w miejscach świętych, klasztorach zgniją kwiaty Kościoła, a demon stanie się jakby królem serc. Niech przełożeni wspólnot zakonnych odnoszą się krytycznie do osób, które mają przyjąć, gdyż demon używać będzie całej swej przebiegłości, aby wprowadzić do zakonów

osoby oddane grzechowi, a rozprężenie i zamiętanie do przyjemności zmysłowych rozpowszechnione będą po całej ziemi.

Francja, Włochy, Hiszpania i Anglia będą prowadziły wojnę; Francuz będzie się z bił z Francuzem, Włoch z Włochem, ulice spłyną krwią, potem nastąpi straszliwa wojna powszechna. Na pewien czas Bóg zapomni o Francji i o Włoszech, gdyż Ewangelia Jezusa Chrystusa jest już nieznana. Żli rozwijać będą całą swą przebiegłość, ludzie będą się wzajemnie mordować i masakrować nawet w domach.

Za pierwszym uderzeniem piorunami rażącego miecza gniewu Bożego góry i cała natura drżeć będą z przerażenia, albowiem rozprężenie i zbrodnie ludzkie przebijają sklepienia niebios. Paryż zostanie spalony, Marsylia się zapadnie; ziemia trzęsąc się zburzy i pochłonie niejedno wielkie miasto, zdawać się będzie, że wszystko stracone, widzieć się będzie tylko mężobójców a słyszeć tylko bluźnierstwa i szczęk broni.

Sprawiedliwi dużo wycierpią, ich modlitwy, pokuty i łzy do nieba się wzniosą, a wszystek lud Boży prosić będzie przebaczenia i miłosierdzia i prosić będzie mej pomocy i wstawiennictwa. Wówczas Jezus Chrystus - aktem swej sprawiedliwości i wielkiego miłosierdzia dla sprawiedliwych - rozkaże swym aniołom, aby wszyscy Jego nieprzyjaciele zostali skazani na śmierć. Nagle prześladowcy Kościoła Jezusa Chrystusa i wszyscy ludzie oddani grzechowi zginą, a ziemia stanie się jakby pustynią. Wtedy nastąpi pokój i pojednanie Boga z ludźmi. Wtedy ludzie będą służyć Jezusowi Chrystusowi oraz wielbić Go i chwalić, a miłość wszędzie kwitnąć będzie. Nowi królowie będą prawą ręką Kościoła, który będzie mocny, pokorny, pobożny, ubogi, gorliwy i naśladowający cnoty Jezusa Chrystusa. Ewangelia wszędzie będzie głoszona, a ludzie czynić będą wielkie postępy w wierze, ponieważ jedność panować będzie wśród pracowników Jezusa Chrystusa, a ludzie żyć będą w bojaźni Bożej.

Ten pokój między ludźmi nie będzie długotrwały. Wskutek dwudziestu pięciu lat obfitych zbiorów rolnych ludzie zapomną, że ich grzechy są przyczyną wszystkich kar, które spotykają ziemię.

Zwiastun Antychrysta, ze swymi międzynarodowymi wojskami, walczyć będzie przeciw prawdziwemu Chrystusowi, jednemu Zbawcy świata, wyleje dużo krwi i będzie chciał wyrugować kult religijny, aby jego samego uważano za Boga.

Oprócz dżumy i głodu, które będą powszechne, ziemię nękać będą wszelkiego rodzaju plagi, srożyć się będą wojny aż do ostatniej wojny prowadzonej przez dziesięciu królów Antychrysta, którzy będą mieli jeden cel i będą jedynymi władcami świata. Zanim to nastąpi, będzie pewien rodzaj fałszywego pokoju na świecie. Ludzie myśleć będą tylko o rozrywkach, żli oddawać się będą

wszelkiego rodzaju grzechom, ale dzieci Kościoła świętego, dzieci wiary, prawdziwi naśladowcy, wrastać będą w miłości Bożej i w cnotach, które są mi najdroższe. Szczęśliwe dusze pokorne, prowadzone przez Ducha Świętego! Będę walczyła łącznie z nimi, dopóki nie dojdą do pełni wieku.

Nawet natura woła o pomstę do nieba i drży z przerażenia w oczekiwaniu tego, co ma przyjść na ziemię splamioną zbrodnią. Drżysz, ziemio! i wy, których zawodem jest służyć Jezusowi Chrystusowi, a którzy wewnątrz adorujecie samych siebie, drżycie! Bóg wyda was swemu nieprzyjacielowi, ponieważ miejsca święte są w zgniliznie, klasztory nie są domami Boga, lecz Asmodeusza i jego popleczników. **W tym to czasie urodzi się Antychryst z zakonnic hebrajskiej, fałszywej dziewicy, która będzie miała łączność ze starym wężem, mistrzem nieczystości; rodząc się, będzie on miotał przekleństwa, będzie miał zęby niby diabeł wcielony, będzie wydawał przerażające krzyki, czynił dziwy i żywił się nieczystościami. Jego ojcem będzie B..... Będzie miał braci, którzy, nie będąc wprowadzeni demonami wcielonymi jak on, będą dziećmi zła.** W dwunastym roku życia wyróżnią się oni walnymi zwycięstwami, wkrótce każdy z nich stanie na czele zastępów wspieranych przez legiony piekła.

Zmieniają się pory roku, ziemia wydawać będzie złe plony, zakłóceniu ulegnie regularny ruch gwiazd, księżyc odbijać będzie tylko słabe czerwone światło, woda i ogień wprawia kulę ziemską w konwulsyjne ruchy i straszliwe trzęsienia, które pochłoną góry, miasta itp.

Rzym zatraci wiarę i zostanie stolicą Antychrysta. Demoni powietrzni wraz z Antychrystem czynić będą wielkie dziwy na ziemi i w przestworzach, a ludzie coraz przewrotniejsi stawać się będą. Wszakże Bóg troszczył się będzie o swe wierne sługi i o ludzi dobrej woli, Ewangelia będzie wszędzie głoszona, wszystkie narody i ludy znać będą prawdę.

Zwracam się z nagłym apelem do ziemi, wzywam prawdziwych uczniów Boga żyjącego i królującego w niebie, wzywam prawdziwych naśladowców Chrystusa, który stał się człowiekiem, jedyne prawdziwego Zbawiciela ludzi, wzywam swe dzieci, ludzi prawdziwie mi oddanych, którzy mi się oddali, abym ich prowadziła do swego Boskiego Syna, których niejako noszę na swych rękach, którzy moim duchem żyli, wzywam wreszcie apostołów ostatnich czasów wiernych uczniów Jezusa Chrystusa, którzy żyli w pogardzie świata i siebie samych, w ubóstwie, cierpieniu i pokorze, wśród wzgardy i w milczeniu, w modlitwie i umartwieniu, w czystości i w zjednoczeniu z Bogiem, nieznani światu, czas, aby wyszli i oświecili ziemię. Idźcie i okażcie się, jako me umiłowane dzieci, jestem z wami i w was, aby tylko wasza wiara była światłem, które was oświecać będzie w dniach nieszczęść. Niech wasz zapal uczyni was

jakby spragnionymi chwały i czci Jezusa Chrystusa. Walczcie dzieci światła! Wy nieliczni, którzy widziecie, bo oto czas czasów i koniec końców.

Kościół zostanie zaciemniony, a świat będzie w przerażeniu. Ale Enoch i Elias, napełnieni Duchem Bożym, nauczać będą z mocą Bożą, a ludzie dobrej woli uwierzą w Boga i wiele dusz dozna pociechy, mocą Ducha Świętego robić będą wielkie postępy i potępią diabelskie błędy Antychrysta. Biada mieszkańcom ziemi! Będą bowiem krwawe wojny i głód, dżuma i inne zaraźliwe choroby, będzie padał przerażający grad zwierząt, grzmoty i pioruny wstrząsną miastami, a ziemia dygocąc pochłonie niektóre kraje; w przestworzach głosy słyszeć się dadzą, ludzie bić będą głową o ścianę, wzywając śmierci, a śmierć będzie ich kaźnią, krew płynąć będzie ze wszech stron. Któż zwyciężyć zdoła, jeśli Bóg nie skróci czasu próby? Ale krwią, łzami i modłami sprawiedliwych Bóg da się przejednać. Enoch i Elias zostaną zabici, pogański Rzym zniknie, ogień z nieba spadnie i pożre trzy miasta, świat cały osłupieje z przerażenia, a wielu da się uwieść, bo nie wielbili prawdziwego Chrystusa żyjącego wśród nich. Nadszedł czas, słońce się zaćmiło, jedynie wiara będzie żyła.

Nadszedł czas - otchłań się otwiera. Oto bestia ze swymi poddanymi, zwąca się zbawicielem świata, oto król królów ciemności. Uniesiony pychą wzbija się on w przestworza, by nieba dosięgnąć, ale zmieciony zostaje tchnieniem świętego Michała Archanioła. Spada zatem, a ziemia, która już od trzech dni była nieustanną igraszką chaotycznych wirów, otwiera swe ogniste łono, a wtedy on i wszyscy jego zwolennicy na zawsze pochłonięci zostają w wiekuistych czeluściach piekła. Kiedy to się stanie, woda i ogień oczyszczą ziemię i strawią wszystkie dzieła pychy ludzkiej i wszystko zostanie odnowione, wówczas ludzie będą Bogu służyć i chwałę oddawać.

Następnie Najświętsza Dziewica podyktowała mi, także po francusku, regułę nowego zakonu.

Podyktowawszy mi regułę tego nowego zakonu, Najświętsza Maryja Panna tak dalej zaczęła mówić (gwarą):

Jeżeli ludzie się nawrócą, kamienie i skały zamienią się w zboże, a ziemniaki zasadzone będą na każdym polu.

Moje dzieci, czy dobrze odmawiacie pacierz?"

Na to odpowiedzieliśmy oboje: O! nie, proszę Pani, nie za bardzo.

Ach, moje dzieci, trzeba go dobrze odmawiać rano i wieczorem. Jeśli nie będziecie mogli więcej, odmówcie tylko Ojcze nasz i Zdrowaś Maryjo, a gdy będziecie mieli czas i możliwość, odmówcie więcej.

Na mszę św. przychodzi tylko kilka starszych kobiet, inni całe lato pracują w niedzielę, zimą zaś, gdy nie wiedzą, co robić, przychodzą do kościoła, ale tylko po to, aby szydzić z religii. W wielki post idą do wędliniarni jak psy.

Nie widziałyście dzieci moje, zepsutego zboża.

Oboje odpowiedzieliśmy: Nie, proszę Pani. Wtedy Najświętsza Panna, zwróciwszy się do Maksymina, rzekła: Ależ ty, moje dziecko, powinieś je widzieć, gdy razu pewnego przechodziłeś z ojcem w pobliżu Coin. Właściciel pola zwrócił się wtedy do twego ojca, aby zobaczył, jak psuje się pszenica. Wtedy ojciec wziął parę kłosów, roztarł je na dłoni i wszystko rozpadło się w pył. Następnie, gdy wracając do domu, mieliście do Corps tylko pół godziny marszu ojciec dał ci kawałek chleba mówiąc:

- Masz, moje dziecko, jedz tego roku, bo nie wiem, kto będzie jadł na przyszły rok, skoro pszenica tak się psuje. Maksymin odpowiedział, że tak było istotnie, tylko on zapomniał o tym epizodzie.

Najświętsza Maryja Panna zakończyła swe przemówienie słowami: No, moje dzieci, przekazcie te słowa całemu mojemu ludowi.

Odchodząc, Piękna Pani przeszła potok, my zaś podążaliśmy za Nią oczyma, bo Ona przyciągała nas ku sobie swym blaskiem a jeszcze bardziej swą dobrocią, która mnie upajała. Gdy oddaliła się o dwa kroki od potoku, nie odwracając się do nas, powtórzyła: No, moje dzieci, przekazcie te słowa całemu mojemu ludowi. Następnie szła dalej aż do miejsca, gdzie niedawno ja weszłam, aby zobaczyć, gdzie są moje krowy. Jej stopy dotykały tylko wierzchołka traw wcale ich nie uginając. Wszedłszy na to wzniesienie, zatrzymała się, ja zaś w mig znalazłam się przed Nią, aby móc Ją dobrze; dobrze widzieć i aby zobaczyć, którą drogą zamierza iść. Co się ze mną działo, trudno mi opowiedzieć. W każdym razie zapominałam o swoich krowach, o gospodarzach, u których byłam na służbie. Przywiązałam się zawsze i bezwarunkowo do swej Pani. O, chciałam żeby już nigdy, nigdy z Nią się nie rozstawać, szłam za Nią bez zastanawiania się, jedynie z postanowieniem słuchania Jej po wszystkie dni swego życia.

Zapominałam nawet o swym raju. Ożywiało mnie tylko jedno pragnienie: służyć Jej we wszystkich wydawało mi się, że zdołam wszystko zrobić, co mi poleci, byłam, bowiem przekonana, że Ona ma wielką władzę. Patrzyła na mnie z czułą dobrocią, która mnie przyciągała do Niej, chciałam z zamkniętymi oczyma rzucić się w Jej objęcia. Nie miałam jednak na: to dość czasu. Uniósłszy się powoli od ziemi na wysokość więcej niż jednego metra i pozostając tak chwileczkę w powietrzu, moja Piękna Pani popatrzyła w niebo, następnie na ziemię - na prawo, na lewo, potem na mnie, ale wzrokiem tak słodkim, tak

miłym i tak dobrym, iż zdawało mi się, że przyciąga mnie Ona do swego wnętrza i że moje serce otwierało się do Jej Serca.

I podczas gdy serce moje tajało w słodkim uczuciu, piękna postać dobrej Pani powoli znikąca, zdawało mi się, że światło w ruchu skupiało się i zagęszczało: wokół Niej, abym nie mogła długo Jej widzieć.

Tak więc światło zajmowało miejsce części ciała, które zniknęły z mych oczu, albo raczej wydawało mi się, że ciało mej Pani, roztopiając się; stawało się światłem. Kula tego światła wznosiła się łagodnym ruchem na prawo ode mnie. Nie mogę powiedzieć, czy masa światła zmniejszała się w miarę wznoszenia Pani, czy też oddalanie sprawiało, że widziałam zmniejszanie światła wraz z jej oddalaniem, wiem tylko to, że długo pozostawałam z podniesioną głową i oczyma utkwionymi w światło, nawet wtenczas gdy stale się oddalając i zmniejszając swą objętość, zniknęło wreszcie. Wówczas oderwawszy wzrok od firmamentu, rozglądałam się wokół i widząc Maksymina patrzącego na mnie, mówię mu: Maksiu, to musi być dobry Bóg mojego ojca albo Matka Boska, albo jakaś wielka święta". A Maksymin, wznosząc rękę do nieba, odpowie: Ach, gdybym wiedział o tym!

Tego dnia wieczorem opuściliśmy pastwisko nieco wcześniej aniżeli zwykle. Przybywszy do zagrody, zajęłam się przywiązywaniem krów i porządkowaniem wszystkiego w chlewie. Jeszcze tego nie dokończyłam, gdy gospodyni przychodzi do mnie i płacząc mówi: "Dlaczego, moje dziecko, nie przyjdiesz opowiedzieć mi, co wam się zdarzyło na górze?" Okazało się, że Maksymin, nie zastawszy swych gospodarzy, którzy jeszcze nie powrócili z pola, przybiegł do moich i opowiedział wszystko, co widział i słyszał. Odpowiedziałam jej: Chciałam wam to opowiedzieć, ale chciałam wpierw skończyć swoją robotę. W chwilę potem znalazłam się w mieszkaniu, a gospodyni odezwała się do mnie, mówiąc: "Opowiedz, coście widzieli; Maksuś, pastuszek Piotra Selme, wszystko mi opowiedział."

Opowiadam; ale oto w połowie sprawozdania przyszli z pola inni członkowie rodziny, a gospodyni, która płakała słysząc skargi naszej tkliwej Matki, rzecze:

"Ach, chcieliście jutro, w niedzielę zbierać z pola pszenicę; nie róbcie tego. Chodźcie posłuchać, co się dzisiaj zdarzyło temu dziecku i chłopakowi Piotra Selme: Następnie zwracając się do mnie, mówi: "Powtórz to; coś powiedziała. Zaczęłam, a gdy skończyłam, gospodarz powiedział: To Matka Boska albo może jakaś wielka święta przyszła z polecenia dobrego Boga, ale to tak wygląda, jak by sam dobry Bóg przyszedł. Trzeba robić to, co ta święta powiedziała. Jak ty to zrobisz, aby wszystko to powiedzieć Jej ludowi? Odpowiedziałam: "Powiedźcie mi, jak mam robić, a ja będę tak robić". On zaś, spojrzawszy na swą matkę, żonę

i brata, dodał: "Trzeba o tym pomyśleć", następnie każdy zajął się swoimi sprawami.

Było już po kolacji. Gospodarze Maksymina przyszli do moich, aby im opowiedzieć, co usłyszeli od swego pastuszka, i aby się razem naradzić, co trzeba robić. Pastuszek też był z nimi. "Wydaje się nam - oświadczyli - że to Najświętszą Maryję Pannę przysłał Bóg; domyślamy się tego z Jej słów. Ona im poleciła, żeby te słowa przekazali całemu Jej ludowi. Trzeba więc chyba, żeby dzieci poszły w świat i opowiadały wszystkim, że muszą zachowywać przykazania dobrego Boga, inaczej wielkie nieszczęścia nas spotkają."

Po chwili milczenia mój gospodarz, zwracając się do mnie i do Maksymina, zapytał: "Czy wiecie, moje dzieci, co macie robić? Jutro wstańcie wcześnie, idźcie oboje do ks. proboszcza i opowiedzcie mu wszystko coście widzieli i słyszeli, powiecie mu dokładnie, jak się rzeczy miały, a on wam powie, co macie robić."

Na drugi dzień po objawieniu, 20 września, poszłam wcześnie rano z Maksyminem. Przybywszy na plebanie, pukam do drzwi. Pokojówka księdza proboszcza przyszła otworzyć i pyta, czego chcemy, odpowiadam jej (po francusku, mimo że nigdy nie posługiwałam się tym językiem): Chcieliśmy porozmawiać z ks. proboszczem. - A co chcecie mu powiedzieć? - zapytała - Proszę Pani - ciągnę dalej - chcemy mu powiedzieć, że wczoraj, gdyśmy paśli krowy na górze Baisses, po naszym obiedzie przyszła do nas jakaś piękna Pani... I tak dalej snując opowiadanie, doszliśmy do połowy przemówienia Najśw. Maryi Panny. Wtem z kościoła doszedł dźwięk dzwonka: było to ostatnie uderzenie przed mszą św. Wtedy ks. Perrin, proboszcz la Salette, który nas słyszał otworzył z hałasem drzwi i bijąc się w piersi, rzekł do nas przez łyż: «Moje dzieci, jesteście zgubieni, Bóg nas ukarze. Ach! mój Boże, to Matka Najświętsza wam się objawiła.» I wyszedł ze Mszą św. Popatrzyliśmy na siebie z Maksyminem i pokojówką; następnie Maksymin powiedział mi: Odchodzę do swego ojca w Corps. I tak rozstaliśmy się.

Ponieważ gospodarze nie polecieli mi wrócić natychmiast po rozmowie z ks. proboszczem; sądziłam, że uczestnicząc we mszy św. nie postąpię źle. Poszłam więc do kościoła. Rozpoczęła się msza św. Po pierwszej Ewangelii ksiądz proboszcz odwraca się do ludu i usiłuje opowiedzieć swym parafianom objawienie; które wczoraj miało miejsce na jednej z ich gór, i napomina ich, by nie pracowali w niedzielę jego głos był przerywany szlochem i cały lud był bardzo, bardzo wzruszony. Po mszy świętej powróciłam do swych gospodarzy. Tegoż dnia przyszedł p. Peytard, który jeszcze dziś jest mérem la Salette, aby mnie wypytać co do objawienia i przekonawszy się o prawdzie tego, co mu opowiedziałam, odszedł przekonany.

Pozostawałam u swych gospodarzy na służbie aż do Wszystkich Świętych. Następnie umieszczono mnie jako pensjonarkę u Sióstr Opatrzności Bożej w Corps, mojej rodzinnej wsi.

Najświętsza Maryja Panna była wysoka i zbudowana proporcjonalnie. Była tak lekka, że - jak mi się wydawało - najłżejsze tchnienie wiatru mogłoby Ją poruszyć, a jednak stała mocno i nieruchomo. Jej postawa budziła pełen szacunku lęk. Z jej oblicza bił majestat, lecz nie taki, jakim imponują wielcy tego świata. Majestat ten narzucał szacunek zmieszany z miłością, ale też przyciągał do Niej: Wzrok miała łagodny a przenikliwy. Jej, oczy zdawały się mówić do moich, ale moje odpowiedzi wypływały z głębokiego i żywego uczucia miłości do tego porywającego piękna, na którego widok rozpływało się serce.

Słodycz Jej spojrzenia, wyraz Jej niepojętej dobroci pozwalały zrozumieć i odczuć, że Ona przyciąga do siebie i że chce się dawać, był to wyraz miłości której nie da się opisać językiem ciała ani literami alfabetu.

Odzież Najświętszej Dziewicy była srebrnobiała i jaśniejąca. Jednakże nie było w niej nic materialnego: mieniąca się i opalizująca, składała się ze światła, dla jej opisu nie ma na ziemi ani wyrazów, ani porównań.

Najświętsza Dziewica była cała piękna i cała ukształtowana z miłości. Patrząc na Nią, tęskniłam do stopienia się z Nią. W Jej stroju jak w całej Jej osobie wszystko tchnęło majestatem; splendorem, wspaniałością niezrównanej Królowej. Wyglądała biała, niepokalana, krystaliczna, olśniewająca, niebiańska, świeża, nowa jak dziewica. Wydawało się, że słowo miłość stale wymykało się z Jej różanych, przezczystych ust. Pokazywała mi się jako Matka pełna dobroci, łaskawości, miłości do nas, współczucia, miłosierdzia.

Korona z róż, jaką miała na głowie, była tak piękna, tak promienna, że nie sposób jej sobie wyobrazić: wielobarwne róże nie były z ziemskich ogrodów. Był to zbiór kwiatów okalających głowę Najświętszej Panny w formie korony, ale róże zmieniały się i przemieszczały, przy czym ze środka każdej róży wypływało tak piękne światło, że zachwycało i nadawało różom olśniewającej piękności. Z różanej korony wznosiły się jakby złote gałązki, a wśród nich było mnóstwo drobniejszego kwiecia i brylantów. Całość tworzyła przepiękny diadem, który sam bardziej świecił aniżeli nasze ziemskie słońce.

Najświętsza Panna miała bardzo śliczny krzyż zawieszony na szyi. Krzyż ten wydawał się nie platerowany, lecz pozłacany, widywałam bowiem czasami przedmioty pozłacane z różnymi odcieniami złota, co dla moich oczu robiło o wiele przyjemniejsze wrażenie aniżeli zwykła złota blaszka. Na tym pięknym krzyżu, który cały promieniował światłem, był Chrystus, Pan nasz, z ramionami wyciągniętymi. Na obu krańcach poprzecznej belki krzyża znajdowały się: z

jednej strony obcegi, z drugiej młotek: Chrystus był naturalnego koloru ciała, ale jaśniał wielkim blaskiem, a światło bijące z całego Jego ciała wydawało się snopem bardzo jaśniejących grotów, które przeszywały mi serce, wzniecając w nim pragnienie stopienia się z Nim. Niekiedy Chrystus wydał się martwy, Jego głowa była pochylona, ciało jakby obwisało, tak iżby upadło, gdyby go nie przytrzymywały gwoździe, którymi było przybite do krzyża.

Miałam dla Jezusa gorące współczucie i chciałabym światu całemu przedstawić Jego nieznaną miłość, wlać w dusze śmiertelników najczulszą miłość i wdzięczność najwyższą dla Boga, który bynajmniej nie potrzebował nas, aby być tym, czym jest, czym był i czym będzie zawsze; a jednak, niepojęta miłości do człowieka! - stał się człowiekiem i zechciał umrzeć - tak, umrzeć - aby lepiej wyryc w naszej duszy i w naszej pamięci wyobrażenie szalonej miłości, którą żywi dla nas. Och, jakże ja nieszczęśliwa, że nie mogę wyrazić miłości, jaką nasz dobry Zbawiciel żywi dla nas! Ale z drugiej strony jakże my szczęśliwi, że możemy lepiej czuć to, czego nie możemy wyrazić!

Innymi znów razy Chrystus wydawał się żyjący; głowę trzymał prosto, oczy miał otwarte i zdawał się wisieć na krzyżu własnowolnie. Czasem także zdawał się mówić, dowodzić, że wisi na krzyżu dla nas, z miłości do nas, aby nas przyciągnąć do swej miłości; dowodzić, że zawsze ma nową miłość do nas, że Jego miłość od żłóbka do krzyża i aż do dzisiaj i na wieki jest zawsze ta sama.

Najświętsza Maryja Panna płakała niemal nieustannie, gdy do mnie mówiła, łzy Jej spływały powoli, jedna po drugiej, aż do kolan, następnie znikwały jak iskry światła. Były one jaśniejące, nabrzmiałe miłością. Chciałam ją pocieszyć, aby już nie płakała. Wydawało mi się jednak, że Ona odczuwała potrzebę pokazania swych łez, aby lepiej pokazać swą miłość, o której ludzie zapominają. Chciałabym rzucić się w Jej ramiona i powiedzieć: "Moja dobra Matko, nie płacz! Ja chcę Cię kochać za wszystkich ludzi na całej ziemi". Ale Ona zdawała się mówić do mnie: Ach, tylu ich jest, którzy mnie nie znają!

Byłam między śmiercią a życiem, widząc z jednej strony tyle miłości, tyle pragnienia być kochana z drugiej tyle zimna i obojętności... O moja Matko, Matko Najświętsza, najmiłsza, moja miłości, serce mego serca!

Łzy naszej tkliwej Matki bynajmniej nie umniejszały Jej majestatu Królowej i Pani, lecz - przeciwnie - podnosiły go; czyniły Ją piękniejszą, potężniejszą, pełniejszą miłości, bardziej macierzyńską i zachwycającą. Chciałabym pić te łzy, na których widok współczucie i miłość rozsadały mi serce. Widzieć płacz Matki i to takiej! Matki, a nie przedsięwziąć wszelkich możliwych środków, aby Ją pocieszyć, przemienić Jej ból w radość - czyż to da się wyobrazić? O Matko bardziej aniżeli dobra, jesteś utworzona ze wszystkich przywilejów, których Bóg zdolny jest udzielić. Tyś niejako wyczerpała wszechmoc Boga, jesteś dobra, a

dobra dobrocią samego Boga. Bóg w tobie stał się większym, tworząc swoje największe arcydzieło na ziemi i niebie.

Najświętsza Dziewica miała żółty fartuszek. Żółty... cóż ja mówię? - jaśniejszy aniżeli połączony blask wielu słońc. Nie była to tkanina materialna, ale upostaciowanie chwały, a chwała ta była promienna i porywającej piękności. Wszystko w Najświętszej Pannie sprawiało, że usilnie i jakby z niepokohamowaną mocą poślizgu dążyłam do mego Jezusa, aby Go adorować i kochać we wszystkich stanach Jego ziemskiego życia.

Dwa łańcuszki miała Najświętsza Dziewica: jeden dłuższy, drugi krótszy. Na krótszym wisiał krzyżyk, o którym już mówiłam. Łańcuszki te - gdyż ostatecznie trzeba te przedmioty jakoś nazwać - to raczej promienie chwały wielkiej jasności, mieniające się wszystkimi blaskami brylantu. Buciki - jakąż inną nadać im nazwę? - były srebrzystej promieniującej bieli, a wokół nich róże, róże zachwycająco piękne, rzucające promienie, które przykuwały wzrok: Na każdym buciku sprzączka ze złota, ale nie ziemskiego, lecz rajskego.

Widok Dziewicy sam stanowił doskonały raj: Miała: Ona w sobie wszystko, co może zadowolić człowieka, zapomniałam bowiem o ziemi. Otaczały ją dwa światła. Pierwsze bliższe Niej; jaśniejące przepięknym i bardzo migotliwym blaskiem; docierało aż do nas.

Drugie, nieruchomo, to znaczy nie iskrzące się, ale o wiele jaśniejsze aniżeli nasze biedne ziemskie słońce, rozprzestrzeniało się wokół Pięknej Pani nieco dalej i również nas obejmowało swą sferą. Wszystkie te światła nie raziły w oczy i wcale nie nużyły wzroku.

Oprócz tych wszystkich światel, tego przepychu blasków, smugi bądź też promienie światła wypływały z ciała Dziewicy, z Jej odzieży, zewsząd.

Jej słodki głos czarował; zachwycił, uspokajał, łagodził, usuwał wszystkie trudności, koił i karmit serce. Zdawało mi się, że chciałabym zawsze upajać się jego melodią, a serce moje tańczyło z radości i wyrывało się, by w nim się rozpuścić. Oczu Przeczystej Dziewicy, naszej najczulszej Matki, niepodobna opisać ludzkim językiem. Aby o nich mówić, trzeba by być serafinem, trzeba by posługiwać się językiem Boga samego, tego Boga, z którego rąk wyszła jako niepokalana, jako arcydzieło Jego wszechmocy; Oczy przedostojnej Maryi Panny były tysiące i tysiące razy piękniejsze niż brylanty i wszystkie najbardziej wyszukane klejnoty, błyszcząły jak dwa słońca; były łagodne łagodnością samą, czyste jak zwierciadła. W oczach tych widziało się raj. One przyciągały do Niej, świadczyły, że Ona chce dawać siebie i przyciągać innych do siebie.

Im dłużej na Nią patrzyłam, tym dłużej chciałam Ją widzieć; im dłużej Ją widziałam, tym bardziej Ją kochałam, a kochałam ze wszystkich sił.

Ach, te oczy!... Oczy pięknej Niepokalanej były jak brama Boża, brama z której widzi się wszystko to, co może upoić duszę. Gdy me oczy spotkały się z oczyma Matki Boga i mojej Matki, uczułam w sobie szczęśliwy przewrót miłości, a zapewnienie miłowania Jej i roztopienia się w Niej z miłości - samorzutnie zrodziło się we mnie. Gdyśmy patrzyły na siebie, nasze oczy rozmawiały z sobą na swój sposób, ja zaś tak Ją kochałam, że chciałabym ucałować Ją w te oczy, które rozczulały mą duszę i zdawały się ją przyciągać, aby ją stopić z Jej duszą. Jej oczy wprawiały całą mą istotę w słodkie drżenie i bałam się zrobić jakikolwiek ruch, który mógłby choć trochę być Jej nieprzyjemny.

Sam widok oczu Najczystszej z dziewic wystarczyłby za niebo dla błogosławionego, wystarczyłby, aby wprowadzić duszę w pełnię zamiarów Najwyższego wśród wydarzeń zachodzących w ciągu ziemskiego życia. Wystarczyłby, aby dusza ta nie ustawała w aktach czci, dziękczynienia, wynagrodzenia i prześlągnięcia. Sam ten widok wprowadza duszę w Boga i sprawia, że staje się jakby umarłą za życia, że na wszystkie rzeczy tego świata - nawet na te, które się wydają najważniejsze - patrzy jak na dziecinne zabawki, że pragnie rozmów tylko o Bogu i o tym, co dotyczy Jego chwały.

Grzech jest jedynym złem, które ona widzi na ziemi. Umarłaby na skutek tego z bólu, gdyby Bóg jej nie podtrzymał. Amen".

Castellamare, 21 listopada 1878 r.

Maria od Krzyża, ofiara Jezusowa, z domu Melania Calvat, pasterka z la Salette.

PO OBJAWIENIU

Dwie cechy charakteryzujące umysłowość Melanii piszącej zaznaczają się bardzo silnie w powyższym opowiadaniu. Pierwsza - to drobiazgowość, a nawet realistyczna prawdomówność w przytaczaniu faktów, gdzie niczego się nie lekceważy, gdzie wszystko ma swą wartość i w widzeniu czy kontemplacji Najświętszej Bogarodzicy, gdzie góruje jej serce; druga - to wzlot mistyczny zdradzający jej duszę.

Tak więc doszliśmy do tej daty 19 września 1846 r., która stanowi przełom w jej życiu. Przeminięło dzieciństwo, przeminął okres pierwszych tajemniczych inicjacji. Przewrócono jedną kartę. Wszystko zostało potwierdzone, ale i wszystko odnowione - w niej i dla niej. To, co poznała, co widziała, trzeba będzie teraz przeżyć.

"Niemniej" polecono zabrać głos, a ona czyni to otwarcie, nie dając się prosić, co więcej, mówi po francusku - ona, która nigdy nie używała tego języka. Ona, bojaźliwa "dzikuska" zapuka bez wahania do drzwi proboszcza la Salette.

Śledząc stopniowo bieg wydarzeń od wieczoru 19 września i poranka 20 września, dostrzegamy ich rytmiczną progresję. Pierwszą wiadomość o objawieniu podaje mały Maksymian - Maksuś, jak go nazywają - najmłodszy, najbardziej naiwny i najmniej przygotowany z dwojga jasnowidzących. Po nim Melania składa dokładniejsze sprawozdanie. Maksymian wywołał zaniepokojenie, wyciska łzy, Melania budzi wiarę. Jan Chrzyciel Pra, jej gospodarz, mówi: "To Matka Boska albo może jakaś wielka święta przyszła z polecenia dobrego Boga, ale to tak wygląda, jak by sam dobry Bóg przyszedł... Trzeba robić to, co ta święta powiedziała".

I już ci poczciwi ludzie z Ablandins wyobrażają sobie dwoje dzieci przebiegających cały świat, aby wszystkim przekazać otrzymane orędzie. Przez nich więc daje się słyszeć głos ludu chrześcijańskiego. A głos ten, spontanicznie prawowierny, odwołuje się do autorytetu Kościoła: "Idźcie do księdza proboszcza...".

Nazajutrz rano proboszcz, mąż poświęcony Bogu, piastujący na wieki godność kapłańską, mówi: "To Matka Najświętsza wam się objawiła!"

Melania, która dotychczas prawie nie chodziła do kościoła, wchodzi za kapłanem i bierze udział we mszy św. Znajduje się na końcu nawy, ukryta za wszystkimi. "Bardzo się wstydziłam - powie potem - bałam się, że ludzie będą się oglądać i patrzeć na mnie".

Uczestniczy we mszy św., bo - myśli sobie gospodarze nie polecili jej wracać natychmiast po widzeniu z ks. proboszczem. Już dnia poprzedniego, gdy gospodarz zapytał ją, jak będzie przekazywała światu słowa Pani, odrzekła: Powiecie mi, jak mam robić, a ja będę tak robić. Zdanie typowe, zdanie charakteryzujące całe jej życie. Jeśli podejmie jakąś inicjatywę: i to jedynie dwa lub trzy razy w ciągu swego długiego życia - to tylko w tym celu, aby wywiązać się z powierzzonej sobie misji i bronić tajemnicy swego mistycznego życia; wtedy będzie umiała walczyć lub uciekać. Ale zawsze i wszędzie okazywać będzie najzupełniejszą i bezwarunkową uległość tym, których Opatrzność da jej na przełożonych. Tutaj jest nim jej gospodarz, któremu umowa o najem dała władzę nad nią. Gdzie indziej i później będzie miała innych zwierzchników w osobie swych spowiedników lub innych kapłanów. Będzie im podlegała w wydarzeniach, które kierować będą jej przeznaczeniem i zaważą na jej wolności, a to wyzbycie się przez nią swej wolności wyjaśni wiele zagadek jej egzystencji tudzież jej ciągłe pielgrzymowanie. Ci, co dawać jej będą rozkazy i lub udzielać rady, nie zawsze będą mieli dość światła. Mniejsza o to, słuchać, a słuchać skoro, bez szemrania, to wyzbyć się siebie samego, złożyć się Bogu w ofierze i - kochać. Dobremu wszystko na dobre wychodzi.

ŚLEDZTWO

Proboszcz la Salette, ks. Perrin, potwierdził cudowną rzeczywistość objawienia i oświadczył, że to naprawdę Matka Najświętsza objawiła się dzieciom. Nie powiedział jednak, co dzieci mają robić, życie zaś toczyło się zwyczajnym trybem: Maksymin powrócił do swego ojca w Corps, Melania również powróciła do rodziny, kiedy na Wszystkich Świętych skończył się okres jej pasterskiej służby w Ablandins. Losem obojga jasnowidzących dysponować będzie biskup diecezji Grenoble, na terenie której znajduje się parafia la Salette. Najpierw polecił on przeprowadzić badania kanoniczne dotyczące wydarzenia saletyńskiego. Badania te trwać będą pięć lat.

W tym czasie okazało się rzeczą konieczną mieć dzieci zawsze do dyspozycji duchownych prowadzących śledztwo i roztoczyć nad nimi dyskretny, ale baczny nadzór, który by umożliwił poznanie ich moralności. Trzeba było także je kształcić. Pensjonat, który Siostry Opatrzności Bożej z Corenc (koło Grenoble) założyły w samym Corps, stwarzał najlepsze warunki w tym względzie. Za staraniem i na osobisty koszt biskupa umieszczono tam Melanię i Maksymina 2 grudnia 1846 r.

Biskupem Grenoble był wówczas ks. Filibert de Bruillard. Diecezją zarządzał on od r. 1826 i był już po osiemdziesiątce, ale jego siły fizyczne i energia moralna były tak wielkie, że podeszły wiek nie hamował jego działalności pasterskiej.

Biskup de Bruillard był jedną z najpiękniejszych postaci duchowieństwa francuskiego i jednym z najwspanialszych wyjątków wśród episkopatu uznającego konkordat. Jego arystokratyczną postawę miarkowała tak wielka przystępność i miła wspaniałomyślność; że lubili go ubodzy. Dzięki gruntownej wiedzy teologicznej był naprawdę nauczycielem swego duchowieństwa, a znajomość dusz, jaką się odznaczał, opierała się na długotrwałym i wielorakim doświadczeniu.

Mówiono, że był synem naturalnym króla Ludwika XV i istotnie był do niego podobny. Miejsce i data jego urodzenia nie były ustalone. Pierwsze wykształcenie uzyskał w Dijon, a święcenia kapłańskie w Paryżu, w kaplicy arcybiskupiej, we wrześniu 1789 r. Gruntowne studia, jakie odbył w Collège de Navarre a następnie w Seminarium św. Sulpicjusza, zdawały się zapowiadać mu profesurę.

Tymczasem Wielka Rewolucja Francuska, która wybuchła w następnym miesiącu, zamknęła wiele instytucji kościelnych i zmieniła przeznaczenie młodego kapłana. Mógł on złożyć przysięgę wierności nowej konstytucji, mógł też emigrować. Pozostał w Paryżu niezależny, wierny. Żył w ukryciu i przebraniu, zawsze poszukiwany i zagrożony aresztowaniem, nigdy nie ujęty.

Był jednym z tych bohaterskich kapelanów, którzy - zmieniając się codziennie po kolei - mieszczeni z tłumem, zawsze towarzyszyli potajemnie skazańcom wieszonym na gilotyny; tylko czyhając na ukazanie się w ich oczach czy na ustach wołania duszy, by na to wołanie odpowiedzieć modlitwą i ostatnim rozgrzeszeniem.

Dniem księdza Filiberta była środa. Jemu więc właśnie wypadało być przy śmierci Ludwika XVI, on również - jak mówią - udzielił absencji królowej Marii Antoninie wieszanej na miejsce stracenia. Wcielono go do gwardii narodowej, co go ratowało. Przebrany tedy za gwardzistę, przebiegał Paryż i jego przedmieścia, niosąc posługę samarytańską chorym, kapłańską umierającym. Potajemnie kierował rozproszonymi zakonnikami, a gdy przeminięcie terroru pozwalało im stopniowo otwierać tu i ówdzie szkoły, został ich prefektem - że użyjemy dzisiejszego języka. Tak więc poznał Zofię Barat, był jej przewodnikiem duchowym i miał wielki wpływ na ukierunkowanie tej wybranej duszy oraz na założenie przez nią Zgromadzenia Pań Sacre-Coeur, zajmującego się nauczaniem i wychowaniem.

W r. 1803 został kanonikiem katedry Najśw. Maryi Panny w Paryżu; w 1810 - proboszczem parafii św. Mikołaja na Chardonnet; w 1821 - proboszczem parafii św. Stefana na Mont; gdzie zgromadziła się młodzież niemal wszystkich wyższych uczelni. Stąd właśnie Ministerstwo Wyznań skierowało go do Grenoble, by administrował tą wielką diecezją. Oto więc już od dwudziestu lat przebywa on tam, wykazując zarówno wielką roztropność jak stałość. Przystępny dla wszystkich, cierpliwy i łagodny, miał żywą świadomość swej władzy i głębokie poczucie ciężącej na nim odpowiedzialności. Często ucieka się do modlitwy, wiodąc życie ubogie i umartwione, szczodłą ręką czerpie ze swego prywatnego trzosa dla dobra swych owieczek. Gdy tedy poinformowano go o fakcie saletyńskim i o położeniu dzieci, zajął się ich wychowaniem, a nawet przyznał niewielką pensję rodzicom Melanii.

Postanowił wypowiedzieć swój sąd o objawieniu dopiero po poddaniu faktów najsurowszej i bezwzględnej krytyce: Ustanowił tedy, już w grudniu 1846; dwie komisje: jedną złożoną z księży kanoników, drugą z profesorów, wydając polecenie; aby każda z nich oddzielnie zbadała wszystkie akta procesu i aby na ich podstawie sporządziła raport absolutnie nie porozumiewając się z drugą komisją.

Badanie protokołów zeznań dzieci oraz okoliczności towarzyszących objawieniu trwały siedem miesięcy. Potem ukonstytuowała się jedna komisja złożona z szesnastu członków i odbyła osiem posiedzeń pod przewodnictwem biskupa. Teraz właśnie zaczęła ujawniać się głucha opozycja przeciw uznaniu cudu. Jej głównym rzecznikiem był ks. Cartellier, proboszcz parafii św. Józefa w Grenoble.

Ks. biskup, daleki był od przeciwstawiania się jego pozycji negatywnej; poprosił tylko, by ją uzasadnił. Oto, co pisze do niego 8 stycznia 1848 r.: "Spodziewam się, że Ksiądz przyśle mi, możliwie najprędzej, pisemne wyszczególnienie rzeczy, o których Ksiądz się dowiedział o dzieciach, a które rzucają cień na ich zeznania i czynią je podejrzanymi...".

Nie znajdując dowodów dla swych insynuacji, wymyślił ks. Cartellier proceder, który powtarzało po nim wielu innych, który polegał na usiłowaniu zdyskredytowania jasnowidzących.

Przede wszystkim Melania, mniej sympatyczna niżeli Maksymin i bardziej zagadkowa, stała się przedmiotem aluzji, niesprecyzowanych, ale jadowitych, które kolportowane plotką, wkrótce miały nieomal osiągnąć zamierzony skutek, tj. zniekształcić jej świadectwo i oczernić jej osobę.

Mimo wszystko badania zakończyły się wydaniem listu pasterskiego, w którym ks. biskup de Bruillard orzeka, że objawienie w la Salette było cudowne i upoważnia do urządzania pielgrzymek do tego miejsca.

Podpisany 19 września 1851r. list został odczytany na wszystkich ambonach diecezji 16 listopada 1851r. W maju 1852 sędziwy książę Kościoła wjechał konno na świętą górę, by położyć tam pierwszy kamień pod budowę sanktuarium poświęconego Matce Bożej Saletyńskiej. Do jego obsługi zorganizował specjalne ugrupowanie misjonarzy. Aprobatę Rzymu, wyrażoną listem kardynała Lambruschini; prefekta Świętej Kongregacji Obrzędów, otrzymał biskup Grenoble 7 października 1851 r. Reskrypt papieski z 4 sierpnia 1852 przyznaje świątyni prerogatywę ołtarza uprzywilejowanego. W lutym 1879 nadano jej miano bazyliki.

PRZESŁUCHIWANIE

Tymczasem Melania i Maksymin byli codziennie molestowani i to nie tylko przez osoby prowadzące oficjalne śledztwo, ale także przez ludzi prywatnych, kapłanów i świeckich, których już to pobożność, już to zwykła ciekawość sprawiała coraz więcej.

Siostry Opatrzności Bożej natychmiast polubiły tych dwoje wyjątkowych uczniów. Chętnie przyjmowały pielgrzymów i towarzyszyły rozmowom, jakie prowadzili oni z dziećmi.

Do najwierniejszych - jedna z pierwszych uzdrowionych cudownie pielgrzymów - należała panna des Brulais, pobożna i wykształcona nauczycielka z Nantes, która siedem razy z kolei doznała gościnnego przyjęcia w domu sióstr, mianowicie w latach: 1847, 1849, 1851, 1852, 1853, 1854 i 1855. Od przełożonej, a także od s. Tekli, która się szczególnie opiekowała dziećmi, dużo

o nich się dowiedziała; zresztą sama je widziała, wypytywała je, była obecna podczas ich przesłuchiwań, które prowadzili duchowni. Jej notatki, jej listy, dużo mówią o ich zachowaniu się, o ich wyglądzie zewnętrznym.

Ogólnie i od pierwszego spotkania Maksymin bardziej się podoba. Jego nadzwyczajna żywość, naiwność, przymilność, jego psoty - wszystko to bawi, ale też kontrastuje z jego powagą, gdy mówi o objawieniu. W swej prostocie często odwołuje się do Melanii: ona widziała oblicze Pięknej Pani, skrzyżowała swe oczy z Jej niebiańskim wzrokiem, on natomiast między korpusem a nakryciem głowy widział tylko jasność, która go olśniewała.

Melania, wezwana do rozmównicy, zachowuje się tam z rezerwą, daje odpowiedzi ściśle, lecz zwięzłe; jest zamyślona, czasem melancholijna. Zdarza się, że okazuje minę nadąsaną, rzuca ciętym dowcipem, a gdy jakieś zdanie wydaje się jej absurdalne; odpowiada wzruszeniem ramion. Dopiero zaczyna poznawać język francuski i mówi nim jak zwykli wieśniacy. Pod pensjonarskim mundurkiem kryje się jeszcze alpejska pasterka. Ale jak do tego doszło, że ta dzikuska uciekająca od ludzi, ta "wilczyca leśna" odważyła się znaleźć wśród mnóstwa istot kipiących młodzieńczym życiem; że ta, której się wydawało, iż wszyscy ludzie są podobni do niej, zmuszona została upodobnić się do wszystkich innych? Odpowiedź jest zbędna. Dość, że Melania nagięła się do regulaminu i zwyczajów pensjonatu: uczy się w klasie, bierze udział w rekreacjach i - co może jest dla niej najtrudniejsze - zamiast bawić się sama z kwiatuskami dobrego Boga, łączy się grzecznie z towarzyszkami, bawi się i rozmawia z nimi, odpowiada na pytania siostr i na "wywiady" odwiedzających.

Przełożona informuje pannę des Brulais, że "mimo braków pierwszego wychowania, charakter Melanii ulega szczęśliwej przemianie, że robi w tym względzie wielkie postępy, staje się mniej zadąsana a bardziej towarzyska". Teraz toczy ona walki innego rodzaju aniżeli w Saint Michel i w Quet-en-Beaumont. Ileż wysiłku, jakiegoż potencjału wewnętrznej mocy; jakiego samoopanowania, czujnego i nieustannego; wymagać musiało to skryte zmaganie się z sobą! Pokorne posłuszeństwo, którym się odznaczała, bez wątpienia zjednywało jej potrzebne łaski, a jej Braciszek zapewne mówił jej - bez słów - co ma robić i mówić. Większość z tego, co mówiła, zanotowała nauczycielka des Brulais. Wiele osób, chcąc lepiej sprawdzić jej prawdomówność, zadawało jej pytania kłopotliwe. Nic wszakże nie zbijało jej z tropu. Nigdy nie zmieniała ani słowa w opowiadaniu objawienia, mimo że ludzie ciągle o nie proszą, a ona ciągle na nowo je powtarza z niewzruszoną cierpliwością. A oto niektóre z pytań i odpowiedzi:

- "Matka Boska poleciła panience opowiadać to wszystko swojemu ludowi. Czy panienka nie czyni tego, dlatego tylko, że jest tutaj?

- Opowiadam to każdemu, kto mnie o to pyta.
- Dlaczego panienka nie idzie głosić tego po wszystkich miastach?
- Zakonnice nie pozwalają mi pójść.
- Gdyby Matka Boska poleciła pójść, poszłaby panienka?
- Poszłabym.
- Czy panienka lubi mówić o tym wszystkim?
- To mi nie robi trudności.
- Czy wolałaby panienka nic o tym nie mówić?
- Wolałabym, byle tylko ludzie o tym wiedzieli.
- Czy panienka chodziła to opowiedzieć merowi?
- Nie, on sam przyszedł żądać tego.
- Wydaje mi się, że chciał on dać panience pieniądze. Dlaczego?
- Abyśmy tego nie opowiadali... a ja nie chciałam pieniędzy.
- Ile chciał dać panience?
- A czy ja wiem? Odrzuciłam je.
- Czy ktoś uczył panienkę tego?
- O, tak, proszę pana, gdyby nikt mnie tego nie nauczył, ja bym nie umiała.
- A kto panienkę tego nauczył?
- Pewna osoba, proszę pana.
- Co to za osoba?
- Ta, co mówiłam".

"Jakże panienka mogła zapamiętać całą tę historię, skoro - jak panienka sama twierdzi - raz tylko była panience opowiedziana. Oto już po raz trzeci słyszę, jak panienka mi ją opowiada, a nie mógłbym jej powtórzyć". - "Proszę pana, gdyby Najświętsza Dziewica opowiedziała ją panu, umiałby pan".

Podczas pielgrzymki w dniu 19 września 1847 panna d'és Brulais jest obok Melanii. "Skoro tylko zasygnalizowano obecność dziewczynki Matki Boskiej relacjonuje nauczycielka - tłum natychmiast nas otoczył, jeśli jednak o nią chodzi, można było poznać po jej zachowaniu się, po nieczułości jej wyrazu twarzy, że była obojętna na ten napływ ludzi. Ktoś był na tyle niezręczny, że powiedział jej: Proszę popatrzeć na te tłumy, to przecież panienka jest sprawczynią tego wszystkiego! Melania zaś tylko wzruszyła ramionami, nic nie mówiąc i odtąd cały swój wysiłek skupiła tylko w tym celu, aby się trzymać w

ukryciu. W końcu jednak; przekonawszy się, że niepodobna uniknąć napływu ludzi wszędzie tam, dokąd ona przejdzie, postanowiła po prostu uciec ze swym ojcem. Jakoż istotnie w pewnym momencie zapuścili się w ścieżki górskie wiodące na dół i wkrótce zniknęli mi z oczu. A przecież kilkakrotnie zadowalała pobożną ciekawość tych pielgrzymów, powtarzając słowa, które Pani poleciła jej przekazywać swemu ludowi, czyniła to nawet z upodobaniem, jeżeli uznawała to za pożyteczne. W tym dniu napływ ludzi był tak wielki, że była mowa nawet o wezwaniu żandarmerii dla utrzymania porządku. Melania jednak powiedziała tonem niezadowolenia, "Nie chcę; jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie się mówić, że to oni są tego przyczyną".

Nieco później, gdy przeciwnicy cudu zaczęli rozsiewać plotki, powie jej ktoś: "Ta pani, którą panienka nazywa Matką Boską, siedzi w więzieniu w Gap", Melania zaś odpowie mu: "Tę Panią tylko Bóg może umieścić w więzieniu, a w tym więzieniu i ja chciałabym być".

Dnia 18 września 1849, w obecności około trzydziestu osób, księża podstępnie a zawzięcie manipulują jej odpowiedziami, usiłując uszczknąć coś z jej sekretu.

- Czy treść sekretu została wypowiedziana po francusku?

- Tak, proszę księdza:

- Ale przecież panienka nie zna francuskiego?

- Tak, nie znam.

- Jakże tedy panienka rozumiała tę tajemnicę?

- Nie wiem, proszę księdza. Jeśli Matka: Boska chciała, to zrozumiałam.

- Gospodarze panienki w Albandins również znali tylko gwarę, dlaczego więc wieczorem po objawieniu mówiła panienka do nich po francusku?

- Mówiłam tak, jak słyszałam.

- Więc panienka mówiła, nie rozumiejąc?

- Tak.

W sprawozdaniu z rozmowy z 18 września 1854 panna des Brulais notuje bardzo ciekawy fakt, mianowicie, że Melania nie mogła powiedzieć gwarą tego, co Najświętsza Maryja Panna wypowiedziała po francusku i na odwrót, ale gdy ona przekłada dane wypowiedzi Melania je rozumie i uznaje za dokładne.

W toku pewnej rozmowy pada pytanie:

- Tak więc powtarzała panienka jak papuga część francuską mowy, Pani?

- Tak.

- Panienka rozumiała dopiero później?

- Tak, gdy nauczyłam się francuskiego.

Inny rozmówca pyta ją:

- Czy panienkę nie nudzi tak częste powtarzanie tej samej rzeczy?

- Nie, proszę pana.

- To jednak powinno panienkę nudzić, zwłaszcza gdy zadaje się panience pytania kłopotliwe.

- Nigdy mi nie stawiano pytań kłopotliwych. W roku 1849 Melania ma już lat osiemnaście. Chociaż jej postać się rozwinęła, to jednak wygląda dopiero na lat piętnaście. Jest w dalszym ciągu nieśmiała, małomówna, ale nabrała ogłady, nie jest ładna, ale ma dużo uroku. Panna des Brulais coraz bardziej nią się interesuje. 18 września 1849 r., w przeddzień dorocznej pielgrzymki, mogła sama z nią porozmawiać gdy młoda dziewczynka przyniosła świecznik, aby go umieścić w jej pokoju. Panna des Brulais prosi ją, aby jej wyjednała u Matki Najświętszej pewną łaskę, Melania zaś odpowiada, że robi to, lecz dodaje: "Ale Najśw. Dziewica nie chce jednak wyjednać łaski, o którą ja proszę".

- Po czym panienka poznaje, że Ona nie chce panience wyjednać łaski?

- Po tym, że mi jej nie udziela.

- A czy panienka wie, że Ona nie udziela tej łaski?

- Tak wiem, bo nie umieram.

- Więc panienka prosi o śmierć? Dlaczego?

- Dlatego, że nie chcę pozostawać tutaj na ziemi... To za brzydkie...

Panna des Brulais pyta ją, czy nie odczuwa w sobie pragnienia wybrania stanu życia.

- Jakiego stanu?

- Zakonnego... a zatem...

I odchodzi, zamyślona.

Największą ciekawość stale budzi sekret, do którego jednak Melania nie pozwala się wdrzeć. Na wspomnienie o prorocत्वach albo raczej o ostrzeżeniach zawartych w mowie Najświętszej Panny drwiący uśmiech wykrzywia usta. Nic z tego się nie sprawdziło - zarzuca pewien sceptyk. "Tak się panu spieszy? - odpowiada Melania. Bóg nie jest taki jak ludzie, nie karze natychmiast" (19 września 1849 r.).

A gdy ktoś mnoży sprzeczności, Melania, nie broniąc się uporczywie, odpowiada: "Powiedziałam, co słyszałam. Jeśli nie chcecie wierzyć, zostawcie to... - Co panienka myślała, podczas gdy Ona mówiła? pada następne pytanie. -

Nic nie myślałam... Słuchałam". Gdy jednak pozyska się jej zaufanie i gdy np. panna des Brulais, pragnąc zamówić jak najdokładniejszy obraz objawienia, poprosi ją o opisanie Pięknej Pani, Melania, wzruszając się, woła: "Och, co za widok, gdy moje oczy, wznosząc się, spotkały Jej oczy!" I płacze.

SIOSTRA MARIA OD KRZYŻA

Między drugą a trzecią pielgrzymką panny des Brulais, Melania Calvat przeszła do domu macierzystego Sióstr Opatrzności Bożej w Corenc, tuż koło Grenoble; tam rozpoczęła postulanturę (10 października 1850) i tam otrzymała habit (9 października 1851). Na pytanie, jakie imię zakonne chciałaby nosić, odpowiedziała, że chciałaby się nazywać siostrą Ofiarą Jezusa. Zwrócono jej uwagę, że imię to jest stosowne dla karmelitanki, a nie dla zakonnicy mającej prowadzić czynne życie nauczycielki. Wtedy ona wybrała imię siostra Maria od Krzyża. Odtąd tym imieniem będzie ją określać panna des Brulais.

Postanowienie wstąpienia do klasztoru naraziło Melanię na trudności, a nawet na niebezpieczeństwo. "Skoro zdradziła się w domu ze swym zamiarem - zapisuje w swym notatniku matka Teresa de Maximy, która w Corenc była jej mistrzynią nowicjatu - jej ojciec przyszedł po nią do klasztoru (w Corps) i siłą zabrał do domu. Chciał ją odwieść od jej postanowienia, ale ona trwała przy swoim. Przez cztery dni pozostawała bez pożywienia i snu. W nocy czyhała na dogodną chwilę, aby móc uciec, ale daremnie: ojciec, z fuzją w ręku, nie spuszczał oczu z drzwi. Pewnego razu zebrala swych braci i siostry na wspólną modlitwę i następnie rzekła im: Wszelkie usiłowania zatrzymania mnie nie powiodą się, ucieknę i zamknę się gdzieś w klasztorze... Chcę zostać zakonnicą i wolę raczej umrzeć aniżeli żyć w tym oceanie zbrodni, którym zalana jest ziemia... Dzieci nie omieszkały powtórzyć wszystkiego ojcu, który wpadł wtedy w tak straszny gniew, że naładował fuzję, wyszedł z mieszkania, ustawił córkę przed sobą i wystrzelił... Bóg zrządził, że kula przeszła jej pod pachą. Nadto, w tych dniach Jego Opatrzność przysłała do Corps pewnego pana z Paryża, który bardzo lubił Melanię. Skoro tylko dowiedział się on o tym, co zaszło, przybył do ojca Melanii, który winien mu był sześćset franków. Wierzyciel oświadczył dłużnikowi, że jeżeli zechce sprzedać mu Melanię, daruje mu dług. Ojciec zgodził się na tę sprzedaż, a dokonała się ona w pierwszy piątek miesiąca o trzeciej po południu. Melania była bardzo szczęśliwa, że chociaż tym drobnym epizodem upodobniła się do Pana Jezusa. Od tej chwili miała więcej swobody. Zaraz nazajutrz wyjechała do Grenoble, by prosić o błogosławieństwo czcigodnego arcypasterza, on zaś po rozmowie odesłał ją do Corenc".

Szczegóły te potwierdza ksiądz Combe notatką w swym dzienniczku. Dnia 11 września 1901 r. był on z Melanią na pielgrzymce w la Salette. I wtedy zanotował: "Widziałem Drac i dom, w którym ojciec Melanii, strażnik mostowy;

trzymał ją pod kluczem w piwnicy po nieudanym zamachu na jej życie, a także kopczyk, gdzie - po przejściu pod jej pachą - utkwiała kula niedoszłego dzieciobójcy".

Opuściwszy swych rodziców, którzy wreszcie dają jej wolność, Melania udaje się - jak już wspomniano wyżej - do swego biskupa, trwa bowiem w posłuszeństwie, a ponieważ obrała stan zakonny, dlatego - kierując się wielkim szacunkiem dla czcigodnego męża Bożego jak też zmysłem Kościoła - spontanicznym pędem biegnie do swego Arcypasterza, aby dać dowód swej zależności względem niego. Ks. biskup de Bruillard przyjął ją z wielką dobrocią i udzieliwszy jej błogosławieństwa, skierował ją do Corénc. Następnie stale poświęcał jej dużo uwagi. Pannie des Brulais, która, wracając z Corenc zbudowana zachowaniem się siostry Marii od Krzyża, wpadła do Grenoble; czcigodny arcypasterz powiedział, mając na myśli Melanię, "To prawda, że ona jest nieprzeciętna."

Panna des Brulais trzy razy odwiedziła Melanię w konwencie Opatrzności w Corenc: we wrześniu 1851; w maju 1852 i we wrześniu 1853. Podczas pierwszej z tych wizyt (21 września 1851) Melania jest jeszcze postulanką, odwiedzająca widzi się z nią tylko przez chwilę, ale taką opinię o niej przekazuje swej przyjaciółce: "Młoda dziewczyna jest aniołem; który zdaje się tylko ciałem trzymać ziemi, lecz którego dech i serce są u stóp Tej, która ją zachwycała".

Po drugiej wizycie notuje: "S. Maria od Krzyża jest czarująca w swym habicie nowicjuszeki, który doskonale- harmonizuje z jej skromnym i na wskroś dziewiczym zachowaniem się. Pytałam się jej, czy jest zadowolona, że ks. biskup założył Zgromadzenie Misjonarzy Matki Bożej Saletyńskiej, "O tak, jestem bardzo z tego zadowolona - odpowiedziała mi - a gdy będą siostry saletynki, radość moja będzie jeszcze większa". Nadto powiedziała komuś: "Gdybym była kapłanem, jakże głosiłabym pokutę!".

Podczas trzeciej wizyty (1 października 1853) panna des Brulais zapisuje: "Odpowiadając wymaganiom swego imienia zakonnego, s. Maria ad Krzyża w dalszym ciągu daje dowody wielkiego umiłowania cierpień i gorącego pragnienia śmierci... Wydawała mi się smutna." Przełożeni chlubią się jej pobożnością oraz przestrzeganiem przepisów reguły. Wszystkie głosy całej wspólnoty klasztornej były za dopuszczeniem jej do złożenia ślubów podczas ogólnych rekolekcji, które właśnie się odbyły w Corenc. Jednakże jej przełożeni uznali za stosowne odłożyć ten szczęśliwy dzień, którego wyczekiwała z takim utęsknieniem. Przyczyną zwłoki, tak przykryj dla niej, jest - jak mówią to, że zbyt częste wizyty podczas pierwszego roku odwodziły s. Marię od Krzyża od jej nowicjatu i dlatego rok ten uznano za nie wystarczający; jej nowicjat musi, zatem trwać dwa lata".

Jest jakaś sprzeczność nieco zdumiewająca, między jednomyślną przychylnością wspólnoty a decyzją przełożonych. Co się stało? Biskup Filibert de Bruillard zrzekł się diecezji, jego następcą został ks. bp Ginoulhiac. To on podsuwa - by nie powiedzieć - narzuca decyzję przełożonych. Melania przyjmuje krzyż w cichości, lecz nie może ukryć smutku. Dłgie lata później, 3 lipca 1894, napisze w liście do panny Vernet: "Pensja, którą zawsze płacił siostron za mnie ks: bp Bruillard, została zawieszona natychmiast po przybyciu biskupa Ginoulhiaca. Wszystko się zmieniło: stałam się istotą zbędną. Błogosławie miłosierdzie Boże, które mnie utrzymywało w poczuciu nicości. Jak dobroczynny deszcz strąca pyły wzniesione wiatrem tak upokorzenia, prześladowania i niedostatek sprawiają, że dusza poznaje swą nicość".

SPRAWA SEKRETU

Nowy biskup Grenoble założył weto przeciw profesji Melanii nie tylko z powodu pensji - kwestii zresztą błahej.

Przypominamy sobie, że u kapliczki św. Rocha Braciszek przed obdarzeniem Melanii mistycznym pocałunkiem zapowiedział jej "sprzeczności i walki o prawdę". Otóż sprzeczność nadeszła, walka się rozpoczyna. Podczas widzenia gołąbki czyż Melania nie powiedziała: "Nie widzę krzyża?". A czyż jej Brat nie odpowiedział: "Krzyż umieściłem wewnątrz i na zewnątrz"? A mała gołąbka, "Ofiara Jezusa", będzie teraz odczuwać ten krzyż.

Od już od początku przesłuchiwań, jakim się poddaje dwoje jasnowidzących, najbardziej intryguje odwiedzających a wśród nich przede wszystkim duchownych, to są te sekrety, które - według ich oświadczeń - każdemu z nich powierzyła kolejno Najświętsza Panna, a których oni zazdrośnie strzegą.

Na Maksyminie, młodszym i bardziej uczuciowym, usiłuje się wypróbować różne środki nacisku: pochlebstwa, kuszenie blaskiem złota, usiłowanie podchwycenia i doprowadzenia do zdrady. Podróż do Ars, do której - wbrew zakazom biskupa de Bruillarda w roku 1850 politycy legitymiści nakłonili Maksymina, podyktowana była nadzieją, że może święty proboszcz odkryje tajemnicę pastuszka, Jakże sensacyjne środki propagandy miałyby partia, gdyby tak Najświętsza Panna oświadczyła, że Francji potrzeba króla! Ale wszystko spełzło na niczym. Maksymin jest niezadowolony; nie rozumie, co mu w konfesjonale mówi bezzębny starzec. Proboszcz też nie rozumie dziecka: wydaje mu się, że Maksymin zaprzeczył, jakoby widział Najświętszą Pannę. O sekrecie ani słowa. Wieść krąży, że Maksymin wszystko odwołał. Doniesiono o tym co prędzej Melanii, ona jednak wątpi, w końcu okazuje smutek i woła: "Nieszczęśnik!...", ale pozostaje niezachwianie wierna sobie samej, swej Pani i przyrzeczeniu dochowania tajemnicy.

Legitymiści byli lionczykami. Arcybiskup Lyonu, kardynał de Bonald, niepokoi się incydem w Ars. Pod koniec marca 1851 r. powiadomił biskupa Grenoble, że papież wyraził życzenie poznania tajemnicy jasnowidzących.

Gdy Melania, przebywająca w nowicjacie w Corenc, dowiedziała się o tym z ust księdza Auvergne, wysłańca biskupa de Bruillarda, powiedziała: "To nie papież żąda ode mnie wyjawienia sekretu. Inni nakłonili go do tego".

Jest rzeczą delikatną i wręcz niemożliwą dowiedzenia się czy - i w jakiej mierze - życzenie papieża było spontaniczne, czy też podsunął je kardynał lionski. Wydaje się, że skoro już od pięciu lat Rzym był informowany o fakcie saletyńskim i skoro porozumiewał się w tej sprawie z biskupem Grenoble, to dla przekazania mu odpowiedniego polecenia nie potrzebował pośrednictwa kardynała Bonalda. Ostatecznie biskup de Bruillard postanowił wysłać Ojcu świętemu sekrety bezpośrednio, jak tego wymagała konstytucja *Supremae maiestatis* z 19 grudnia 1516 r.

Ale trzeba było najpierw je uzyskać od obojga jasnowidzących. Biskup de Bruillard zamierzał uszanować wolność, ale jeżeli sobie papież życzy, to czyż nie trzeba posłuchać? Przedstawiono im sprawę otwarcie. Postawa, jaką zajęli - bez żadnego porozumiewania się (Maksymin jest obecnie w niższym seminarium w Grenoble, a Melania w Corenc) - była podobna: Jeśli Ojciec święty rozkaże, wydadzą tajemnicę, ale tylko jemu samemu.

Maksymin decyduje się dość szybko i jak się wydaje, z pewnym zadowoleniem, Melania z trudnością. Ks. Auvergne, a następnie ks. kanonik Rousselot przybywają do Corenc, aby ją przekonać o konieczności posłuszeństwa, jakie winna Ojcu świętemu. Ona jednak opiera się, jest silnie zaniepokojona, płacze. Najświętsza Panna zakazała jej mówić. Mała "jest wzburzona do najwyższego stopnia - informuje księdza kanonika Rousselota przełożona klasztoru w Corenc nocy śniła się jej o tym, co było przedmiotem rozmowy jej z księdzem Auvergne, a jej towarzyska z sypialni słyszała jej wołanie: "żąda się ode mnie wydania sekretu... Trzeba albo wyjawić sekret papieżowi, albo zastać wyłączonej z Kościoła (ks. Auvergne nie wspominał jej o wyłączeniu z Kościoła ani o ekskomunice, to ona sama wyciągnęła ten wniosek). Te słowa "być wyłączonej z Kościoła!", powtórzyła więcej niż czterdzieści razy";

Będzie więc posłuszna, ale oświadczyła księdzu Rousselotowi: "Chcę powiedzieć samemu papieżowi i na jego polecenie... Powiem to ustnie tutaj lub napiszę i pošlę w kopercie zaklejonej".

"A komu siostra wręczy ten list zapieczętowany, aby go przekazać papieżowi? - pyta ks. Rousselot. Księdzu Biskupowi - odpowiada Melania. Nie przekaże go siostra przez kardynała arcybiskupa Lyonu? - Nie, proszę księdza. - A dlaczego? -

Dlatego, że w Lyonie nie bardzo wierzy się w la Salette; a następnie nie chcę, żeby otwierano list ...Ale gdy papież pozna sekret siostry, czy siostra nie będzie się gniewać, jeżeli go opublikuje? Nie, proszę księdza, to tylko jego będzie dotyczyło, to będzie jego sprawa...". Melania spuszcza głowę, uśmiechając się, i pyta z kolei księdza Rousselota: "A gdyby tajemnica dotyczyła jego samego? W tym wypadku papież postąpiłby tak, jak by uważał za stosowne".

Po powrocie z Rzymu delegaci, którzy jeździli z listem, oświadczają Melanii, że jego czytanie wywarło wrażenie na papieżu. "Wydaje się, że treść listu nie była schlebająca - mówi jeden z nich. - Schlebająca? - pyta się ze zdziwieniem Melania: Tak, Czy siostra wie, co znaczy ten wyraz? - Tak; wiem, to znaczy sprawiająca przyjemność. Ale to powinno sprawiać przyjemność papieżowi, papieżowi, który powinien lubić cierpieć...". Panna des Brulais; która przytacza te zdania w swym liście pisanym 21 września 1851 r. w Corps, dodaje: "Wszyscy świadkowie tej rozmowy byli uderzeni tymi ostatnimi słowami i niebiańskim uśmiechem, który im towarzyszył".

Pierwszy raz sekret swój wyraziła Melania na piśmie 3 lipca 1851 w klasztorze Opatrzności w Curenc w obecności dwóch świadków: ks. kanonika de Taxis i pana Dausse, inżyniera budowy dróg i mostów. Nie odrywając ręki, zapisała trzy strony; umieściła swój podpis, nie czytając ponownie, włożyła kartki do koperty i zaadresowała: "Do Jego Świątobliwości Piusa IX w Rzymie". Nazajutrz wpadła do pałacu biskupiego, "aby umieścić datę, której nie umieściła obok czegoś", jak powie pannie des Brulais we wrześniu. Otwiera więc kopertę i przepisuje swą tajemnicę; pytając obecnych o znaczenie wyrazów *infailliblement* (nieomylnie) i *souillée* (zbrukany; miasto zbrukane) oraz o pisownię wyrazu "antychryst". Wreszcie zakleja kopertę i odchodzi spokojna.

Z listem Melanii i listem Maksymina pojechali do Rzymu ks. kanonik Rousselot oraz ks. Gérin proboszcz katedry w Grenoble, i wręczyli je papieżowi podczas audiencji prywatnej. Biskup de Bruillard nie robił żadnych starań, by poznać sekrety. Postępował z największą uczciwością i względem dzieci, i względem Ojca świętego, wiedział bowiem, że sam papież może wydać sąd o proroczych tajemnicach, które są częścią składową objawienia: Czcigodny arcypasterz miał wtedy 87 lat. Położywszy kamień węgielny pod budowę sanktuarium na górze uświęconej objawieniem i ustanowiwszy Zgromadzenie Misjonarzy do jego obsługi, zostawiając sprawy swej diecezji uporządkowane, złożył w Stolicy Świętej i w Ministerstwie Wyznań rezygnację z zajmowanego stanowiska oraz pożegnał się ze swym duchowieństwem i z wiernymi listem pasterskim z 21 grudnia 1852 r. Ostatnie swe lata chciał spędzić w ciszy i na modlitwie: Zamknął się więc w Sacré-Coeur w Montfleury powyżej Grenoble. Chciał jednak jeszcze dać wyraz swej wierze w objawienie saletyńskie oraz nabożeństwu do Matki

Bożej, przybył tedy do la Salette na trzydziestą rocznicę swej sakry biskupiej i przebywał tam wśród pielgrzymów trzy dni od 4 do 7 sierpnia 1856 - urządzając nabożeństwa i głosząc nauki. Miał wtenczas 92 lata. Odszedł do Pana po wieczystą nagrodę dnia 15 grudnia 1860 r.

SPRZECZNOŚCI

Melania straciła w nim swego kościelnego opiekuna. Znał ją od dzieciństwa, niemal od dnia objawienia baczenie ją obserwował, wspierał, pomógł wstąpić do klasztoru, wierzył jej, a ona darzyła go czcią i zaufaniem.

Ks. biskup Ginoulhiac miał opinię pasterza odznaczającego się wiarą oświeconą oraz świetnego administratora. Do grona episkopatu przyjęty został w chwili, kiedy po rewolucji 1848 roku i po zaburzeniach, które były jej następstwem, Napoleon III przywrócił cesarstwo, które zdawało się zapowiadać pokój. O twarzy wydłużonej i ostrych rysach, temperamencie południowca, z zapatrywań bonapartysta, nowy biskup będzie - jak sądzono - mile widziany przez reżim.

Sekrety dwojga pasterzy przysparzały mu trosk. Chciałby je poznać i nimi rozporządzać. Jeśli legitymiści usiłowali skłonić Maksymina do mówienia, to czyż to nie dowód, że tajemnice saletyńskie popierają dążenia rojalistów i że mogą wywołać, zwłaszcza wśród katolików, ruch opozycji przeciw rządowi cesarskiemu? Biskup czuł się obowiązany przeciwdziałać temu. Ale odznacza się on większą przenikliwością aniżeli tamci wszyscy politycy. Czyż nie wie on, że sekret Melanii jest znacznie dłuższy od sekretu Maksymina i że bardziej zwrócił na siebie uwagę papieża? A więc Melania sama przechowuje wszystkie rewelacje i co więcej, lada dzień może je ogłosić. Jej obecność zagraża tedy porządkowi w diecezji, a nawet w całym kraju.

W liście z 3 lipca 1894 r. do panny Vernet Melania odpowiada na pewne pytania. Niektórych słów w nim brakuje, przytoczmy więc z niego jedną wypowiedź w takiej postaci, jaka pozostała: "1) że jego miłość własna została urażona odmową pasterzy odstąpienia tajemnic i że był zdecydowany zemścić się za tę obrazę; 2) że chciał zjednać sobie życzliwość Napoleona i że wygnał pasterkę, aby uzyskać od cesarza nominację na arcybiskupa lub kardynała".

Mała nowicjuszka z Corenc może nie zawsze panowała nad swymi prorockimi odruchami, które były zaskoczeniem dla niej samej. Czy nie wypsnęła się jej kiedyś jakaś aluzja do "dwoistego serca" Napoleona? Czyżby już ujawniła przeczucie załamania się cesarstwa oraz inwazji niemieckiej?

W liście do p. Schmida z 28 października 1896 pisze ona: "Bardzo dobrze przypominam sobie, że raz w domu macierzystym sióstr Opatrzności Bożej w Corenc, podczas przerwy napisałam na tablicy w klasie: Prusacy w roku 1870 (we Francji). I to cała prawda w tym względzie".

Szczególna obiektywność tego świadectwa dowodzi bezwiednych natchnień jasnowidzącej. Ale było jeszcze, co innego.

Notatka, którą wręczyła księdzu Combe - na jego własną prośbę - a którą wpisał on do swego dzienniczka pod datą 8 listopada 1902 r., odsłania nowe okoliczności; które miały wpływ na wydarzenia roku 1852: "Ledwie się dowiedziałam od ojca Sibillata - pisze ona - że kilku księży z diecezji Grenoble postanowiło utworzyć Zgromadzenie Misjonarzy Matki Boskiej Saletyńskiej i że pracowano nad zredagowaniem dla nich reguły, natychmiast powiedziałam ojcu Sibillatowi, że Najświętsza Panna dała wszystko, co jest potrzebne tym zakonnikom i że, gdyby zechciał zaczekać chwilę, natychmiast napisałabym coś z tej reguły. Gdy napisałam kilka artykułów, o. Sibillat zabrał je i odszedł. Po kilku dniach powrócił i powiedział, że biskup Giboulhiac uważa mnie za pyszną wariatkę oddającą się złudzeniom i że powinno się spalić te papiery...

Ojciec Sibillat powiedział mi jeszcze, że artykuły reguły, które napisałam, polecono zbadać w Grande Chartreuse, aby się dowiedzieć, czy te słowa: «to reguła, którą należy zachowywać» - odnoszą się do mnie samej, a po otrzymaniu odpowiedzi, że istotnie dotyczą one tylko pasterki, odłożono regułę w cień i już nie było o niej mowy. Od tego czasu zdwojono wysiłki zmierzające do wydalenia mnie z Francji przynajmniej z diecezji".

Ponieważ reguły tradycyjne, od wieków obowiązujące w Kościele dostosowują się do niemal wszystkich zgromadzeń i zakonów, Kościół w zasadzie zakazuje innowacji w materii życia zakonnego. Odrzucając tedy z góry artykuły, które napisała Melania, biskup Grenoble trzymał się przepisów prawa kanonicznego i jego pierwszy odruch jest całkiem usprawiedliwiony. Aby jednak lepiej naświetlić zagadnienie, mógłby prawdopodobnie zażądać całego tekstu, którego Melania dała wszakże tylko fragmenty. Corenc jest zaledwie w odległości czterech kilometrów od Grenoble, mógłby więc chyba biskup wezwać Melanię, aby się z jej ust dowiedzieć, co słyszała i widziała w chwili dyktowania sobie reguły, aby poznać sposób, w jaki ona sama rozumiała słowa przekazane, kartuzom do zbadania; i aby w rezultacie zdać sobie sprawę, że ta reguła saletyńska, daleka jest od znoszenia i wywracania ustaw kościelnych, dąży raczej do ich wzmocnienia, odradzając ducha Ewangelii i dziecięctwa duchowego w połączeniu z duchem ofiary.

Jednakże jeden szczegół - jeden jedyny, jak się wydaje - przykuł całą uwagę i wzbudził oburzenia biskupa: oto niewykształcona wieśniaczka przepisała (a może zredagowała - któż to może wiedzieć) zarys reguły, którą chce narzucić innym. Ta biedna siostrzyczka gra rolę założycielki: ambicja to bezsensowna, a nawet niebezpieczna! Żadną miarą nie wolno jej tolerować!

Teraz Melania znajduje się w domu macierzystym Opatrzności w Corenc w dwuznacznej sytuacji. Jeśli bowiem wiele zakonnic w dalszym ciągu otacza ją niezmienną życzliwością, jeśli ją podtrzymuje serdeczne zaufanie, jakim ją darzy jeszcze mistrzyni nowicjatu, to jednak raniąca krytyka, oczernianie i plotki, że wszech stron ją otaczają, wynaturzają fakty, a do jej moralnego oblicza podsuwają krzywe zwierciadło.

Rozeszła się, np. pogłoska, jakoby razu pewnego Melania w klasztorze publicznie się wyraziła, że ks. biskup Ginoulhiac jest szalony.

"Czy to prawda; że siostra powiedziała to lub coś podobnego o swym biskupie?" zapytał ją raz ks. Combe; gdy na jego prośbę uzupełniała swe wspomnienia. "Ależ, nie, mój Ojczy! Pewnego dnia widząc, jak Pan nasz, Jezus Chrystus, okazuje swą miłość, zawołałam, sądząc, że nikt mnie nie słyszy: Panie, Tyś szalony, szalony, szalony! Ks. Biskup myślał, że ja o nim to powiedziałam" (Dziennik księdza Combe, 8 listopada 1902).

Notatnik matki Teresy de Maximy, która była świadkiem incydentu, podaje więcej szczegółów:

"Gdy pewnego poranka - notuje mistrzyni nowicjuszek - cała wspólnota Opatrzności była zebrana na rozmyślanie; nagle głęboką ciszę, jaka wtedy panowała, przerwały słowa s. Marii od Krzyża, wypowiedziane głośno i wyraźnie: "O, mój Jezu, Tyś szalony... tak tyś szalony z miłości, szalony, szalony, szalony!" Słowa te wzbudziły niemal powszechny śmiech w kaplicy. Przełożona, oburzona, dała znak mistrzyni nowicjatu, aby wyprowadzić siostrę Marię od Krzyża, co też natychmiast uczyniła, wyciągnawszy ją niezbyt delikatnie z jej miejsca, przy czym szturchając ją w ramię, mówiła do niej: "Idiotko, wywołujesz rozproszenie i przeszkadzasz wszystkim podczas rozmyślenia!". A nowicjuszka szła pokornie przed mistrzynią z głową i oczyma spuszczoneymi.

Tego samego dnia pod wieczór przyszła odwiedzić asystentkę, która ją zapytała, dlaczego mówiła głośno w kaplicy. "Moja Matko - odrzekła s. Maria od Krzyża - ja się nie spostrzegłam. Mówiłam Jezusowi, że pozostając w Najświętszym Sakramencie, jest szalony z miłości do swych stworzeń, które są tak niewdzięczne, ale nie wydawało mi się, że mówię głośno".

Melania wyróżniała się wielką pokorą, wszak matka de Maximy zanotowała jej słowa: "Najmniejszy kwiatusek polny lepiej uwypukla chwałę Boga i jest mu wierniejszy aniżeli ja". Mimo to cierpi ona z powodu wrogich nieporozumień, a cierpi w swej duszy i ciele, wreszcie zapada na zdrowiu. Nadarzył się więc pretekst do przyzwoitego usunięcia jej z domu macierzystego w Corenc.

Panna des Brulais mogła pisać - w Corps dnia 6 września 1854 - do swej przyjaciółki: "Możesz sobie, moja Najdroższa, wyobrazić, jakże ja szczęśliwa, że

znajduję się tutaj z siostrą Marią od Krzyża, która mnie przyjęła z wielką miłością. Zachowała ona ten wyraz skromności, ten pełen rezerwy sposób bycia, który - jak mi się wydaje - jest jej szczególnym znamieniem. Ponieważ jej zdrowie uległo nadwężeniu, jej przełożeni przysłali ją tutaj, by mogła patrzeć na swą umiłowaną górę i oddychać rodzinnym powietrzem. Ale widzi się, że pobyt w Corps naraża ją na cierpienia moralne. Ich źródłem jest rodzina, która ją ciągle szykanuje". Wobec takich warunków wraca po pewnym czasie do Opatrzności w Corps i z pokorą podporządkowuje się swej dawnej przełożonej.

ZIELNIK

Między tą przełożoną oraz panną des Brulais i Melanią rozegrała się wzruszająca scenka:

"Wskutek zachęty matki przełożonej - pisze p. des Brulais 11 września 1854 r. s. Maria od Krzyża pokazała mi zielnik kwiatów, które zebrała na swej drogiej la Salette i które poukładała w zeszycie... Moją uwagę zwróciła kartka pokryta pierwiosnkami i zatytułowana: Cenne kwiaty.

- Siostro Mario od Krzyża, gdzie siostra zerwała te kwiatki?

- Tuż koło źródła... tak blisko, jak tylko mogłam. Było zimno tego dnia, drapałam śnieg paznokciami, aby wyrwać drogie kwiatki.

- Siostro Mario od Krzyża, niech siostra da ten zeszyt pannie - rzekła matka przełożona.

- O, nie dałabym go za cesarstwo Napoleona!

- Ale z miłości do Najświętszej Dziewicy nie dałaby siostra?...

- Gdybym miała ten zeszyt, droga siostro, pokazywałabym go wszystkim, jako oczywisty dowód, że siostra w dalszym ciągu jest przekonana o ukazaniu się Najświętszej Maryi Panny na la Salette, skoro nazywa siostra cennymi kwiatki, które rosły na tej górze...

- Ach, czy jestem przekonana o prawdziwości objawienia? Odpowiedziałabym twierdząco nawet wtedy, gdyby usiłowano mnie zabić, i to nie jednym ciosem, ale powoli.

- Jak siostra zdecydowała się opuścić tę drogą górę, gdzie widziała Maryję?

- Ach, Jej już tam nie było! Odeszła, a nas zostawiła sierotami...

Matka przełożona powraca do ataku:

- No, siostro Mario od Krzyża, niechże siostra da wspianiałomyślnie ten zeszyt, niech zrobi tę małą ofiarę!

- To nie jest mała ofiara, to wielka... Ale czy naprawdę chcecie, droga panno, abym Wam dała swój drogi zeszyt?... Wobec tego - proszę bardzo... Pozwólcie mi tylko wyłączyć z niego jedną kartkę.

Wtedy pokazawszy jej jedną kartkę, zapytałam:

- Którą mam wyciąć? Nie tę, nieprawdaż? Sądzę, bowiem, że siostra woli tę.

Mówiąc to wskazałam na kartkę pokrytą pierwiosnkami. Gdy Melania dała znak potwierdzenia, wycięłam tę kartkę i dałam jej".

WYJAZD

Trzy dni później (20 września 1854) panna des Brulais, wzruszona, opisuje swej przyjaciółce nowe wydarzenie dnia: "S. Maria od Krzyża opuszcza Francję. I oto za kilka dni ta pasterka mieszkać będzie w Anglii! Jak długo? Nie wiem. W każdym razie dziś rano odjechała do Grenoble w towarzystwie księży Chambon i Gérin oraz ojca Burnoud (przełożonego misjonarzy saletyńskich) i ks. prałata Newsham. Wyjazd ten był tak nieprzewidziany, że jestem osłupiała ze zdumienia...

Biedne dziecko dopiero po uroczystościach (obchody ósmej rocznicy objawienia) dowiedziało się o zamiarze wyjazdu. Wczoraj wieczorem, w chwili gdy miała opuścić la Salette, o. Buzmoud wezwał ją i zapoznał z treścią listu biskupa Ginoulhiac, który upoważnia ks. prałata Newsham do zabrania jej, byle ona sama zgodziła się na to. Zgodę tę wyraziła skwapliwie, mimo że - jak oświadczyła - chciałaby jeszcze powrócić do swej drogiej wspólnoty zakonnej w Corenc, jak o to prosiła swego biskupa już kilkakrotnie, a nawet jeszcze przed niewielu dniami - listem błagalnym i wyrażającym wielką uległość, który mi dała do przeczytania - tak dalej zwierza się swej przyjaciółce panna des Brulais. - ...Ale zamiast odbierać nieustanne wizyty i żyć wśród rozproszenia, na jakie była narażona w Corps, woli całkiem opuścić Francję".

Ks. prałat Newsham jest zachwycony, że może zabrać s. Marię od Krzyża, spodziewa się bowiem, że obecność uprzywilejowanego dziecka Matki Bożej przyczyni się do nawrócenia jego kraju.

W dalszym ciągu swego listu, zakończonego w dniu następnym, panna des Brulais odtwarza swej przyjaciółce ostatni (przed odjazdem) obraz Melanii na świętej górze objawienia.

Karawana wyruszyła z Corps o zmroku w wigilię święta. Począwszy od wsi Dorcières zapadająca ciemna noc sprawiała, że marsz niedoświadczonych pątników stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Panna des Brulais bardzo się bała, miała bowiem skłonność do zawrotów głowy. A oto dosłowny fragment jej listu: "s. Maria od Krzyża była naszą Opatrznością, szła przodem, z jak najczulszą

troskliwością wskazując nam te ścieżki, którymi mieliśmy iść i te, w które nie należało się zapuszczać. Była dla nas ujmująco miła; podążaliśmy za nią z radością".

Nazajutrz krótkie pożegnanie i szybki odjazd. Wygnanie. Biedna i bez środków do życia, niepotrzebna w rodzinie, niepotrzebna w klasztorze, gdzie przecież miejsce wydawało się najodpowiedniejsze dla niej, wypędzona z owczarni przez... pasterza, idzie w nieznane, powierzwszy - posłusznie, jakby z zamkniętymi oczyma - swe losy nieznanemu duchownemu.

Oto więc nieubłagany los skazał ją na tułaczkę, która się skończy dopiero z jej życiem.

DARLINGTON

Pobyć Melanii w Anglii trwać będzie sześć lat: od września 1854 do września 1860 r.

Lata ciemne, słabo oświetlone zbyt małą liczbą dokumentów, lata mroczne, zaciemnione mgłą nieporozumień. Właściwy Melanii lakonizm skąpi szczegółów. Jeszcze skąpsze są wyciągi z archiwum karmelu w Darlington, które zdołano dotychczas zdobyć.

Trzeba ich ściśle się trzymać, nie można, bowiem brać poważnie pod uwagę kilku anegdot, które już krążą o Melanii, podawane bez kontroli z ust do ust, z klasztoru do klasztoru. A więc siostrę Marię od Krzyża miała nurtować jakaś dziwna choroba, a jej skrytą przyczyną był ów pas nabity gwoździami, noszony jak wiemy z jej autobiografii - przez czterdzieści lat. No, ale przecież to nie pas, lecz łańcuch żelazny, gruby i ciężki, który na pewno cały byłby wrósł w jej ciało, gdyby pewnego wieczoru, kiedy s. Maria od Krzyża sama znajdowała się w kaplicy, nie pękł na rozkaz Najświętszej Panienki i z brzękiem nie upadł na posadzkę. A oto jeszcze inny cud. W czasie pobytu w darlingtońskim karmelu siostra Maria od Krzyża nawiedzona została ślepotą i przy łożu śmierci siostry konwerski, która akurat umarła, otrzymała łaskę uzdrowienia, jako dowód, że zmarła została przyjęta do nieba. Z drugiej znów strony miała ponoć jakieś tajemnicze zatargi z kardynałem Manningem. I nie wiadomo jak by się to skończyło, gdyby...

Ale Melania nie uznaje legend: zatargom zaprzeczyła, inne pogaduszki pomija milczeniem.

Jednakże te powiastki mają swą wymowę, Mianowicie ujawniają istnienie dwu przeciwnych nurtów opinii, które usiłują Melanię porwać: jeden unosząc ją i wywyższając, drugi pogrążając i czyniąc podejrzaną w oczach władz kościelnych. Jest ona znakiem, któremu ludzie się sprzeciwiają.

Co sobie obiecywał ks. prałat Newsham, zabierając Melanię do Anglii? Nie wiemy. Być może, on sam nie wiedział. Pospieszny wyjazd po nagłym porozumieniu się z biskupem Ginoulhiac daje podstawę do różnych przypuszczeń.

W archiwum darlingtońskim czytamy: "Początkowo była mowa, że s. Maria od Krzyża założy dom jakiegoś zakonu czynnego w naszym kraju". Tymczasem Melania nawet nie wspomina o tym. "Pierwsze dni swego pobytu w Anglii - pisze ona do księdza Combe 29 kwietnia 1899 r. - upłynęły mi na zwiedzeniu kilku kościołów i kilku świątyń protestanckich oraz kolegów (seminariów). Następnie przybyłam do Carmel-House koło Darlington". I to wszystko.

Ks. prałat Newsham był doktorem teologii oraz regensem seminarium św. Kutberta w Ushaw (Cumberland). Odbił pielgrzymkę do la Salette wraz z innym prałatem, ks. Smith, z Penrith. Czy widzieli się z ojcem Sibillatem? Prawdopodobnie tak. Ks. Seignoux, proboszcz z departamentu Sarthe, który odbył pielgrzymkę tego samego roku i który mówi, że dyskutował z nim na tematy filozoficzne, również go widział. Możliwe, że od o. Sibillata dowiedzieli się oni coś niecoś o tej regule, którą odrzucił biskup Grenoble i że powzięli myśl podjęcia próby - z siostrą Marią od Krzyża i przez nią - założenia jakiegoś zgromadzenia zakonnego, które by się przyczyniło do nawrócenia Anglii. Czy zachęcając ją do zwiedzania seminariów, mieli na celu szukanie zakładu, który by najlepiej dostosował się do nowego życia zakonnego i apostolskiego? A może tylko, mając okazję, wstępowali po drodze do znajomych, by ich pozdrowić i opowiedzieć, co widzieli w la Salette?

Jakkolwiek by było, jeśli ks. Newsham powziął nagle jakiś plan, jeszcze prędzej go porzucił, a nawet sam się rozstał z Melanią po upływie kilku dni. Wydaje się, że zabrawszy ją z Francji, odegrał całą swą rolę...

Wielebni księży wstąpili do nas z s. Marią od Krzyża - czytamy w archiwum karmelu darlingtońskiego - by następnie pojechać dalej na północ, do siebie. Siostra była bardzo cierpiąca, słusznie tedy przypuszczano, że lepiej będzie, gdy pozostanie u naszego księdza kapelana. Tam włożyła swój habit sióstr Opatrzności Bożej, którego w podróż nie miała na sobie".

Darlington (Durham) był dla obu duchownych z Cumberland ostatnim etapem ich podróży. Podjęli ją nazajutrz. I odtąd nie będzie już o nich mowy (w związku z Melanią) ani w Darlington, ani gdzie indziej.

Dla Melanii powodem wyjazdu z Corenc był - jak sobie przypominamy - stan jej zdrowia, konieczność zmiany klimatu, a więc dla jej wypoczynku, z miłości zostawiono ją w Darlington.

Gościnności udzielił jej - jak już wspomniano - kapelan karmelitanek, ks. Brown, kapłan świecki. Dla konwenansu wolał, aby nosiła habit zakonny. Nikt się nie pytał, czy nie będąc już faktycznie nowicjuską sióstr Opatrzności w Corenc, ma jeszcze prawo noszenia ich habitu. Ale wszelkim wymaganiom stało się zadość. Przyzwoitość jest zachowana, a Melania potwierdza niezmiennność swego mocnego postanowienia pozostawania własnością Bożą, rzecz, na której najbardziej jej zależy i którą nade wszystko stara się wszelkimi środkami napotykanymi na drodze, jaką wybrała - zachować żywą i niewzruszoną.

Bliskość karmelu jest jednym z nich. "Często przychodziła do naszej rozmównicy - czytamy w kronice karmelu. - Wreszcie widząc, że jest tak chora, uzyskaliśmy od ks. biskupa Hogartha pozwolenie na wejście jej do klauzury w celu leczenia się. Było to w roku 1854. Wkrótce wyraziła gorące pragnienie zostania karmelitanką. Po naradach urządzono głosowanie, na którym przeszła. Habit otrzymała 23 lutego 1855. Profesję złożyła roku następnego". Ona sama opowiada te fakty w liście do ks. Combe z 29 kwietnia 1899 - ale inaczej: "Niemał codziennie te dobre zakonnice zapraszały mnie, abym przyszła do kraty ich rozmównicy spędzić z nimi godzinę rekreacji. Jest rzeczą naturalną, że te święte córki świętej Teresy umiały mówić tylko o dobrym Bogu. Żebym przynajmniej nauczyła się go kochać! Pewnego dnia, gdy byłam jak zwykle w rozmównicy, poczułam się źle i straciłam przytomność. Natychmiast uderzeniem w dzwon wezwano kapelana, aby posłał kogoś do biskupa z prośbą, by mnie upoważnił wejść do klauzury i otrzymać tam pomoc. Gdy przyszedłam do siebie, ujrzałam się w celi na łóżku, otoczona zakonnicami.

Tego dnia pozostałam w klasztorze, nie troszcząc się o to, co będzie dalej. Następnie siostry zachęcały mnie, abym została karmelitanką, a przynajmniej abym przyjęła ich habit, gdyż to - mówiły - do niczego mnie nie zobowiązuje. Odbyłam wtedy miesiąc postulantury, po czym otrzymałam habit święty. Było to za wiele dla mnie, grzesznicy, mimo że to życie bardzo mi się podobało. W końcu zbliżył się moment złożenia ślubów świętych. Przerażona tak wielką czynnością, a także świadoma misji, jaką miałam do spełnienia, powiedziałam - nie dając wyjaśnień - że nie czułam się powołana do złożenia profesji, że chcę pozostać nowicjuską, a ponieważ to było niemożliwe, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko wrócić do świata.

Po kilku dniach poinformowano mnie, że ks. bp Ginoulhiac postanowił ekskomunikować mnie w całej swej diecezji, jeśli wrócę do Francji. Wobec tego bardzo mnie zachęcano - bez wątpienia dla mego własnego dobra - a nawet wywierano nacisk na mnie, abym złożyła profesję. Dnia 24 lutego 1856 roku złożyłam więc śluby (jednakże bez ślubu zachowania klauzury - Bóg sam to wie, wie również, że należę do Niego)".

To wewnętrzne ograniczenie zakresu ślubów musiało wiele kosztować tę, która przez całą resztę swego życia przestrzegała bezwzględnej szczerości i która napisała (w liście do p. Schmida z 16 lipca 1895): "Ja nie należę do rasy nietoperzy; lubię słońce i jasny dzień". Kroniki darlingtońskiego karmelu informują nas, że "ze względu na nieznajomość języka angielskiego nowicjat s. Marii od Krzyża nie był całkowicie tym, czym być powinien". Mimo to nie opóźnia się jej profesji, ale raczej przyspiesza. Jej zdrowie - o którym ciągle się mówi, że jest złe - nie stanowi przeszkody. Groźba ekskomuniki biskupa Ginoulhiac nie usposabia nieufnie nikogo ani w domu zakonnym, ani w pałacu biskupim. Wreszcie zachowanie się Melanii zdradza tu jej charakter, ale też nie wywołuje u niej żadnych wyrzutów sumienia ani żalu, ani nawet skrupułu; nie, ona nigdy czegoś podobnego nie odczuwała.

Gdy dwadzieścia cztery lata później, w czasie kiedy ze swą staruszką matką mieszkała w Cannes, przyszła z wizytą do księdza Borisa - diecezjalnego proboszcza z Ars, jak mówiono - wizyta trwała długo. "Gdy się skończyła - notuje matka Maria Eynard która towarzyszyła Melanii - ks. proboszcz wydawał się zafrasowany, ona zaś spokojna i pogodna. W drodze powrotnej towarzyszył nam dość długo, stale z nią rozmawiając. Gdy się zatrzymał, by nas pożegnać, rzekł jej:, „Ale ostatecznie siostra złożyła śluby. - Tak, ale wobec Boga protestowałam przeciw temu ślubowaniu. To było wszystko..." Po tej odpowiedzi kapłan wydawał mi się, jakby mu jakiś wielki ciężar spadł z głowy... Oddaliłam się nieco (z delikatności) i wtedy ujrzałam jak siostra klęka, by otrzymać błogosławieństwo".

Karmel nic więcej nie mówi. Tymczasem fakty istnieją i, widziane z zewnątrz, są enigmatyczne.

Czyż nie zdarza się to często, gdy w grę wchodzi powołania prawdziwie nadnaturalne? Jakże określonymi drogami dochodzą one do głosu!

Ale co jest ich motorem? W naszym wypadku motorem jest epoka, trzykroć porewolucyjna, z niestałością swych instytucji społecznych? Istotnie w latach 1848-1900 liczne są przykłady tych rozdroży duchowych, do których dobiegają zadyszani budowniczości dzieł Bożych i, wypatrując drogowskazu, niekiedy ranią się trafiając na przeszkody wśród mroku.

W roku 1852, to o. Alfons Maria Ratisbonne, syn rabina, który - po dziesięciu latach studiów i prac w Towarzystwie Jezusowym - z nieprzepartą siłą wzywany w głębi swej duszy do oddania się dziełu Matki Bożej Syjońskiej, opuszcza pewnego ranka zakład naukowy przy ulicy Vaugirard w Paryżu, pozostawiając swych współbraci w osłupieniu a swego kierownika duchowego, ojca de Ravignan, w wątpliwościach i niepokoju co do swej przyszłości.

W roku 1856 bł. Piotr Julian Eymard, który już porzucił duchowieństwo świeckie diecezji Grenoble i wstąpiwszy do niedawno założonego Towarzystwa Maryi, pracował w nim wydajnie przez siedemnaście lat, z kolei wyrывa się i z niego wśród bolesnych walk, by w końcu, po zwolnieniu ze ślubów, poświęcić ostatnie lata swego życia założeniu zgromadzenia zakonników Najświętszego Sakramentu. Bliższy nas, o. Karol de Foucauld, profes w zakonie trarpiistów, mimo wszelkich wysiłków przełożonych, aby go zatrzymać i mimo ich gry na zwłokę, wreszcie dopiął swego: uzyskuje zwolnienie ze ślubów, udaje się do Nazaretu by tam wieść życie pokory i poniżenia jako furtian sióstr klarysek.

Założycielka sióstr Franciszkanek Misjonarek Maryi, matka Maria od Męki Pańskiej, była nie tylko profeską, ale nawet przełożoną prowincjalną (w Indiach) sióstr Wynagrodzicielek Najświętszego Sakramentu. Bolesny, (choć dotąd jeszcze tajemniczy) był dramat zerwania z przeszłością, pełną poświęceń i drogą dla niej, ale też nowe życie - nie mniej owocne i święte.

Bolesne zdumienia, piekący żal, nieustanne drażnienia, krzywdzące przypuszczenia otaczają tego rodzaju zwroty, trudne do zrozumienia a jeszcze trudniejsze do wyjaśnienia.

Jeden z najbardziej typowych i uderzających przypadków - to życie s. Marii Jezusa Ukrzyżowanego. Ta mała Palestynka, która po przebyciu wszelkiego rodzaju niezwykłych przygód zdołała wstąpić do karmelu w Pau, ledwie została postulantką, a już otrzymała objawienie - a nawet poniekąd rozkaz z góry - podjęcia się założenia karmelu w Mangalore. Do tego właśnie klasztoru miała należeć. Wyjechawszy do Indii z pierwszym załączkiem fundatorek, złożyła profesję w Mangalore wśród ogólnej radości innych i własnego szczęścia. Było to 21 listopada 1871 r.

Już w dziesięć dni potem atmosfera wokół niej całkiem się zmieniła. Jej przeorysza i powiernica, matka Elia, zmarła tuż po przybyciu do Indii. Nie mogąc i nie chcąc zdradzić tajemnic swego mistycznego życia nikomu innemu jak tylko swemu spowiednikowi lub biskupowi, młoda profeska stała się przedmiotem ciekawości innych osób, które śledziły jej zachwyty, gwałciły tajemnicę jej stygmatów, podejrzewając ją o ducha pychy i uleganie złudzeniom: jej ekstazy są tylko grą, a stygmaty ranami zrobionymi własnowolnie nożem. Nadto wkrótce, na domiar udręki, zostaje pozbawiona podpory swego spowiednika zwyczajnego, modli się więc, aby została uwolniona od stygmatów i zachwyceń. Zostaje wysłuchana. Ale oto jakiś nieprzeparty impuls zmusza ją do wyjścia z klauzury. Czyżby to był demon? Czyżby została opętana? Memoriał biskupa diecezji Mangalore potwierdza to przypuszczenie i zaświadcza, że wszystkie cudowne fakty życia s. Marii Jezusa Ukrzyżowanego są pochodzenia diabelskiego.

Jakkolwiek by było, jej przeznaczeniem nie jest żyć w Mangalore. Po kilku ciężkich miesiącach przełożeni ją odsyłają do Pau. Tu wkrótce zostaje rehabilitowana. Pojedzie założyć karmel w Betlejem i umrze tam w trzydziestym trzecim roku życia z wycieńczenia i cierpień jako przebłągalna ofiara.

Melania, którą ks. kanonik Brandt zapoznał z tym zaiste heroicznym życiem, pisze do niego (z Cannes 18 czerwca 1889 r.), że s. Maria Jezusa Ukrzyżowanego jest przed Bogiem wielką świętą. Melania sama dobrze wie, że drogi Boże nie są drogami ludzkimi i że gdzie krzyż, tam w oczach zwykłego ogółu ciemnota i skandal.

Tymczasem lata płynęły w Darlington. Zbliżał się rok 1858, w którym według rozkazu Matki Bożej miała być odkryta tajemnica. To odkrycie było misją pasterki saletyńskiej, dominującą nad wszystkim innym. Wiedział o tym również Ojciec święty, który pierwszy poznał tajemnicę. Gdyby go poinformowano o tej misji, byłby pozwolił Melanii wyjść poza klauzurę. Ale był on daleko, niedostępny dla skromnej pasterki. Jednakże tylko jej przełożeni mogli go poinformować. A przecież zarówno biskup Darlingtonu, jak i przeorysza karmelu zdawali się nie mieć żadnego wyobrażenia o tym, co się dzieje w Melanii. Zapiski w kronice sióstr odzwierciedlają tylko zmartwienia, jakie im powoduje stan podniecenia - jeśli nie niewytłumaczalny, to przynajmniej niezrozumiały - "biednej siostry Marii od Krzyża".

Jesteśmy w początkach 1858 r. "...Jej umysł ulega zamąceniu. Życie jej tutaj było za monotonne. Jest rzeczą możliwą, że jej umysł, który uległ osłabieniu, tęsknił za życiem ruchliwym, które prowadziła przed przybyciem tutaj.

1859: Pewien dobry redemptorysta w toku nauk rekolekcyjnych, które głosił tego roku, miał nadzieję, że uda mu się dodatnio wpłynąć na nią. Jednakże rezultat nas rozczarował.

1860: Opatrzność Boża zdawała się ziszczać nasze nadzieje dokonania się szczęśliwej przemiany, przysyłając nam pod koniec 1859 roku swych umiłowanych sług, a następnie - w lutym bieżącego roku - pewnego pasjonistę, ale wynik nie był trwały.

Wrzesień 1860. Biedna s. Maria od Krzyża stawiała się coraz bardziej nieźrównoważona, a wizyta, z którą przybyła jej siostra Maria, jeszcze pogorszyła ten stan rzeczy. We wrześniu s. Maria wyrzuciła przez okno kartki papieru, gdzie się znajdowały zdania, które przechodnie interpretowali, jako skargi na zatrzymanie jej przemocą w klasztorze. Ks. bp Hogarth przybył do klasztoru i na jej żądanie pozwolił jej wrócić do matki. Pewien kapłan świecki, zakonnica chórowa i postulantka towarzyszyli jej aż do Marsylii, gdzie

przebywała jej matka. Niejaki pan Geille i jego żona przyjęli ją życzliwie. Pan Geille napisał do nas, by nas poinformować, że Ojciec święty nie zwolnił jej ze ślubów, lecz tylko pozwolił jej żyć poza zakonem w innych klasztorach bez ścisłej klauzury".

Melania ze swej strony pisała do księdza Combe (w listach z 4 i 17 kwietnia 1887 r.):

"Co mogę powiedzieć z największą szczerością, to; to, że nikt w świecie nie zmuszał mnie do wyjazdu z karmelu darlingtońskiego; ja sama chciałam wyjechać. Zarówno biskup Darlingtonu jak siostry karmelitanki robili wszystko, co mogli, aby mnie zatrzymać. Ta walka trwała przeszło rok: konwent usiłował mnie zatrzymać, ja starałam się odejść. Stale się upierano, abym pozostała wbrew mej woli. Wtedy, zrozpaczona, wymyśliłam fortel... Natychmiast biskup Darlingtonu powiedział mi, że jeśli chcę wrócić do świata, powinnam skierować do niego prośbę na piśmie; uczyniłam to niezwłocznie. Oto więc jak opuściłam karmel.

Ankieta, o której była mowa, jest dowolnym falsyfikatem: żadnej ankiety nie było. Osobom, które wyraziły pragnienie, abym pozostała za klauzurą Ojciec święty Pius IX powiedział: ona nie może spełniać swej misji w klasztorze klauzurowym.

Jeśli zaś chodzi o kardynała Manninga, to ani go znałam, ani widziałam, i nie wiem, dlaczego miesza się go do sprawy prywatnej między biskupem miejsca a mną. Biskup Darlingtonu pozwolił mi powrócić do Francji bezwarunkowo. Nie wiem, czy mógł czy nie mógł mnie sekularyzować. Jakkolwiek by było, powinien był wiedzieć, że bierze na siebie odpowiedzialność za mój nowy stan. Pius IX zwolnił mnie z klauzury, z oficjum i z tego wszystkiego, co by nie było zgodne z moim nowym stanem; ale śluby pozostawiono mi, zresztą ja sama tego pragnęłam. Słyszałam jednak (nie przypominam sobie, czy to z ust biskupa Zoli czy biskupa Petagna), że zostałam zwolniona ze ślubów. W każdym razie zachowuję je tak, jak tylko jest to możliwe...

Nie lubię myśleć o tych dwu smutnych latach, które spędziłam w najczarniejszym mroku swego życia. Dziękuję miłosierdziu Bożemu, które mnie podtrzymywało i które chciało, żebym nie zwariowała - tak, nie stała się wariatką. Chwała wiekuista naszemu bardzo kochającemu Jezusowi, który podtrzymuje dusze nawet najbardziej opuszczone. Opowiem Ci, mój Wielebny Ojcze, tylko ten drobny fakt; resztę Ojciec sam oceni.

Wspólnota zakonna sprowadziła pewnego zakonnika do głoszenia nauk rekolekcyjnych. W czasie dziesięciodniowych rekolekcji zakonnice były obowiązane spowiadać się przed nim. Pewnego dnia, po mojej spowiedzi, ten

dobry i święty zakonnik zapytał mnie: Czy nie zdarzyło się kiedykolwiek siostrze, iż przypominając sobie kogoś lub coś, nie miała siostra pewności, czy widziała lub słyszała tę osobę albo rzecz, czy też siostrze tylko tak się śniło? Odpowiedziałam mu szczerze: Tak, raz w podróży zobaczyłam pewną osobę i zdawało mi się, że ją poznaję, ale nie przypominam sobie, czy rzeczywiście gdzieś ją spotkałam, czy też był to zwykły sen. - Ach - odrzekł mi na to - oto objaw prawdziwego obłąkania. I od tego czasu siostra całkiem popadła w obłąkanie; tak, siostra jest obłąkana, i to bardzo obłąkana. Po tych słowach odszedł. Zakonnice, którym ten pocziwy zakonnik udzielał nauk, traktowały mnie tak, jak na to zasłużyły moje grzechy. Niech Bóg będzie błogosławiony".

Jej matka przeprowadziła się do Marsylii. Otrzymała zatrudnienie u pana Geille, szanowanego przedsiębiorcy, wielkiego katolika; był on prawdopodobnie też jedną z tych osobistości, którymi - z racji ówczesnej sytuacji Kościoła we Włoszech - papież posługiwał się w razie potrzeby.

Stało, więc na tym, że aby usunąć przyczynę niepokoju karmelitanek w Darlington i załatwić sprawę definitywnie, Ojciec święty wyraził wolę Kościoła względem jasnowidzącej saletyńskiej.

Epizod przeszedł do historii.

MARSYLIA I KEFALLENIA

Melania wylądowała w Dieppe 26 września 1860; świadczy o tym stempel w jej paszporcie. Po dwóch dniach była w Marsylii. Została przyjęta, jak już wyżej wspomniano, przez p. Geille (Boulevard de la Madeleine 68). Ale, na jakich warunkach i z jakiego tytułu tam zamieszkała? Przecież nie mogła dłużej tam przebywać.

Pan Geille doskonale wyczuł, co należało zrobić: niezwłocznie zapoznał Melanię z o. Barthez, z Towarzystwa Jezusowego, który założył i prowadził w Marsylii kongregację Sióstr Współczucia (kompasjonistek). Celem tego zgromadzenia było wychowywanie sierot-dziewcząt i kształcenie służących. Przyjmowało również wolne pensjonarki; w takim właśnie charakterze została przyjęta Melania.

Wydaje się, że początkowo nie wiadano tam o niej nic lub prawie nic. Zresztą trzyma się ona na uboczu, z rezerwą i przezornością. Skoro tylko znajdzie się sama, z dala od niedyskretnych spojrzeń, zaczyna redagować sekret, aby móc go przekazać tym, których Opatrzność Boża jej przyśle dla zapoznania się z nim i rozpowszechniania go. Pięć arkuszy pierwotnej redakcji, (o których jest mowa w dzienniku ks. Combe pod datą 7 listopada 1902) datuje się z tego czasu.

Melania ma teraz lat 29. Ubiera się w kostium, którego model Najświętsza Panna pokazała jej w widzeniu, jakie towarzyszyło dyktowaniu reguły Apostołów Ostatnich Czasów. Składała się na niego czarna prosta sukienka z białym kołnierzykiem, obszerna czarna peleryna, mały czarny czepek z białą wypustką, który w razie wyjścia przykrywa się welonem. "Habit zakonny jest tylko środkiem - napisze ona do ks. Brandta 14 kwietnia 1884 r. - Na połów dusz (aby nie być zauważonym) można wyjść w ubraniu zwyczajnym".

Jej dar apostołstwa uwypuklał się zapewne dość wyraźnie, aby wzbudzić zainteresowanie i zaufanie całego zakładu. Już to z tej racji, już to z powodu nie dość licznego personelu, już to wreszcie, dlatego aby jej umożliwić opłatę za utrzymanie, żąda się od niej usług, a nawet powierza poważne obowiązki: uczy katechizmu nowicjuszek konwerski. "Był to - jak sama pisze do ks. Combe 29 kwietnia 1899 r. - delikatny sposób zmuszenia mnie do uczenia się zasad naszej świętej religii". Pewnego dnia poproszono ją, aby zastąpiła w klasztorze chorą zakonnicę; i oto staje się nauczycielką. "Ale to nie wszystko" - mówi o. Barthez - trzeba będzie, żeby siostra jeszcze włożyła na siebie habit zakonny". "W związku z tym wysunęłam pewne trudności - ze względu na swoją niegodność. Wieczorem ojciec założyciel znów przyszedł do mnie i nalegał, mówiąc jednak, że nie zamierza zobowiązywać mnie do niczego, że będzie to tylko habit wypożyczony itp... Widząc, jak bardzo trapi się tym, że nie ma nikogo do zastąpienia chorej siostry, wyraziłam zgodę bez zobowiązywania się do czegokolwiek".

Zgromadzenie miało w Grecji, na wyspie Kefallonii, sierociniec, w którym panował się nieład i skandale - pod kierownictwem kapelana włoskiego, osobnika podejrzanego, którego papież Pius IX wygnał z Rzymu. Przełożone postanowiły wysłać tam asystentkę domu macierzystego, matkę od Ofiarowania, i przydzieliły jej do pomocy Melanię. Misja nieoczekiwana. Czyż - tak jak dla zastąpienia chorej nauczycielki nie było nikogo do podjęcia się tego ryzykownego zadania? Czyż Melania sama była na miarę wymagań rokujących nadzieję sprostania temu zadaniu? Czy chciano ją oddalić od Francji, jak tego każe się domyślać lakoniczna notatka w kronice karmelu darlingtońskiego, według której papież miałby wydać zarządzenie, dość nieprawdopodobne, zakazujące jej pobytu we Francji i Włoszech? Czy tylko chciano przenieść ją z domu marsylskiego, gdzie bezwiednie i wbrew woli wywierała zbyt wielki wpływ?

Jedna tylko rzecz jest pewna, mianowicie, że wyzwalając sierociniec spod niegodnego kierownictwa i przeprowadzając go na wyspę Korfu, do klasztoru sióstr kompasjonistek, udało się jej radykalnie uzdrowić w nim stosunki. Melania opuściła Marsylię 21 listopada 1861 r. z matką od Ofiarowania. Do

sierocińca na Kefallenii "przybyliśmy już w nocy - opowiada ona księdzu Combe, który to zanotował w dzienniczku pod datą 12 listopada 1902. - Z sypialni chłopców do sypialni dziewcząt prowadziły drzwi. Odmówiłam udania się na spoczynek - ciągnie dalej Melania - dopóki nie zostały zamknięte. Kapelan powiedział, że zobaczy się to nazajutrz, ale ja nie chciałam słuchać jego racji. W końcu zabito drzwi deskami...". "Siostra dyskutowała z nim po włosku? - pyta ks. Combe. - Tak, trzeba było! - Czy siostra знаła kilka słów włoskich? - Nie znałam ani słowa, ale przecież trzeba było się porozumieć". Od tego właśnie czasu Melania mówi i pisze po włosku swobodnie, a nawet poprawniej niż po francusku. Miała ona akcent tak czysty, że uważano ją za Włoszkę, ściślej Toskankę. Rys, który ją najbardziej cechował, to troska o jak najlepsze spełnienie swych obowiązków względem dzieci, z których jedne były włoskie, inne greckie. Wkrótce tak opanowała grekę nowożytną, że mogła przerabiać lekcje tak z jednymi jak z drugimi.

Misja ta trwała dwadzieścia jeden miesięcy. Po zwiedzeniu Aten z pomnikami ich starożytności obie podróźne powróciły do Marsylii 14 sierpnia 1863 r.

Wielkie zmiany zaszły u sióstr kompasjonistek. O. Barthez już nie żył. Ojciec Calage, który był jego następcą, poradził Melanii wracać do kompasjonistek i umieścić ją prowizorycznie u karmelitanek przy ulicy du Renard.

Jednakże po kilku miesiącach wróciła do kompasjonistek.

U sióstr tych znalazł przytułek pewien biskup włoski wygnany przez rewolucję. Był to ks. Petagna, ordynariusz diecezji Castellamare di Stabia, "mój dobry biskup, mój święty biskup" - powie o nim Melania.

Ks. biskup Petagna przeszedł do historii jako patetyczna postać kapłana prześladowanego. Jego głęboka wiara, dziecięca pobożność, czułe nabożeństwo do Madonny - to dyspozycje, które sprawiły, że wierzył w la Salette, że rozumiał i miłował tę, której Najświętsza Dziewica powierzyła swe orędzie. Za wiele on wycierpiał z powodu pogroźek karbonariuszy i nieudolności kleru, często nie dość wykształconego i niekiedy zaślepionego propagandą masońską, aby nie pragnąć gorąco reformy duchowej, której się domagał sekret, a którą bliżej określała reguła. On sam żył ewangelicznym ubóstwem. Ponieważ wszystkie dobra kościelne, które były znaczne, zostały skonfiskowane, rząd włoski jako rekompensatę przyznał mu pensję trzydziestu tysięcy lirów: było to tak mało, a jednak i to szło dla ubogich. Melania mówi (w liście do p. Schmida z 3 kwietnia 1895), że w ostatnich czasach jego życia trzeba było pożyczać na bulion dla niego.

Melania znała język włoski, było więc rzeczą naturalną, że polecono jej świadczyć pewne usługi wygnańcowi. Ich stosunki nabrały więc charakteru na

wskroś ojcowskiego ze strony biskupa, a dziecięcego ze strony Melanii i - obustronnie - na wskroś nadprzyrodzonego.

Oboje zbliżali się do siebie tym bardziej, że od śmierci założyciela i niedawnej śmierci założycielki zakład kompasjonistek w Marsylii nie był przystanią pokoju...

"To długa historia - przypomina Melania w liście do p. Schmida z 30 marca 1895 - ks. bp Petagna musiał dużo cierpieć. Po pięciu latach był zmuszany wyjechać, mimo że rewolucja we Włoszech jeszcze trwała. Dwa dni przed odjazdem powiedział mi: Przewiduję, że siostra nie będzie mogła pozostać tutaj. Jestem zmuszony odejść, mimo że nie wiem, czy będę mógł powrócić do swej diecezji... Jeśli będę mógł tam przebywać, a siostra nie będzie mogła tu pozostać, proszę pisać do mnie: cała moja diecezja będzie stała otworem dla siostry. Kilka miesięcy potem napisałam do niego. Mój odjazd był postanowiony". (Ks. biskup Petagna odjechał z Marsylii w listopadzie 1866 r.).

Dawna asystentka, z którą Melania była w Grecji, matka od Ofiarowania; wprosiła się, aby ją odwiedzić, i - mówi Melania - "towarzyszyła mi aż do Włoch wbrew formalnemu zakazowi swej przełożonej. Ja zaś jej potrzebowałam, aby ćwiczyć się w cierpliwości, której mam tak mało".

Ale aby móc wyjechać, Melania czekała na odpowiedź ks. biskupa Petagna, która jednak nie nadchodziła. Tymczasem w marsylskim zakładzie kompasjonistek pokazano jej drzwi. Dokąd się udać? Jej matka powróciła już do Corps. Jedzie za nią i Melania, zawsze w eskorcie matki od Ofiarowania; parę dni przebywa na la Salette, potem dzięki protekcji o. Calage znajduje przytułek u siostr wizytek w Voiron, gdzie pobędzie kilka tygodni.

Voiron jest w diecezji Grenoble. Czy biskup Ginoulhiac poczuł się zaniepokojony tym nieoczekiwanym powrotem Pasterki? Dość, że co prędzej napisał do biskupa Petagna, aby przyspieszył swą odpowiedź.

Potem zwrócił się do matki od Ofiarowania, tej zakonniczynie nielegalnie przebywającej poza swym klasztorem, z prośbą, aby towarzyszyła Melanii, i zapewnił ją, że załatwi jej sprawę w Rzymie, że więc może wyjechać niezwłocznie, bez skrupułów (Dziennik ks. Combe, 12 listopada 1902).

Dnia 20 maja 1867 r. obie kobiety opuściły Francję, kierując się ku Neapolowi.

CASTELLAMARE DI STABIA

Tym razem Melania wyjechała na długie wygnanie, miała bowiem przebywać w Castellamare di Stabia siedemnaście lat (1867-1884).

Castellamare di Stabia leży na prawym brzegu Zatoki Neapolitańskiej, naprzeciw Wezuwiusza, w pobliżu resztek ruin starożytnego miasta Stabia,

zalanego lawą w tym samym czasie co Pompea, położona w sąsiedztwie. Zatoka Neapolitańska pod względem łagodności klimatu i uroku krajobrazów należy do najpiękniejszych zakątków świata, ale Melania przybyła tam niemal wśród największego wrzenia politycznego i natężenia walki religijnej.

Od wejścia Garibaldiego do Neapolu (we wrześniu 1860 r.) oraz detronizacji i wygnania króla Neapolu i Sycylii tudzież od zjednoczenia Italii pod berłem dynastii sabaudzkiej, południowe Włochy stały w ogniu walk "czerwonych koszul" i "czarnych", a era gwałtów bynajmniej jeszcze się nie zakończyła.

Ks. biskup Petagna, zapraszając Melanię do swej diecezji, przyrzekł jej swobodę, jednakże gdy miał jechać do Rzymu, do papieża, za swój obowiązek uważał zamknąć ją w klasztorze. "Zamiarem papieża było - informuje Melania p. Schmida listem z 8 kwietnia 1896 - żebym nie pozostawała zamknięta w klasztorze. Nie przybyłam tu, aby przebywać w klasztorze; jednak zostałam zamknięta w tym czasie, tj. podczas podróży biskupa Petagna do Rzymu... Gdy przybyłam do Neapolu, wrzała tu w pełni rewolucja; a raczej prześladowania religijne otwarte, a tylko ukrywane - przez Garibaldiego i jego zwolenników - pod płaszczykiem rewolucji. Otóż biskup Petagna, wiedząc, że jestem trochę nierozważna i że, będąc na swobodzie nie omieszkałabym starać się przemawiać do tych rozwścieczonych masonów, umieścić mnie w klasztorze, wprowadził nie klauzurowym, ale dla mnie dobrze zamkniętym, ponieważ nie mogłam wychodzić ani przyjmować osób, które przychodziły mnie odwiedzić".

Jej "zamknięcie" nie trwało długo. Garibaldiści odeszli, wygnawszy pewną liczbę zakonników i zakonnic. Nastąpił względny spokój. Biskup Petagna, powróciwszy z Rzymu do Castellamare, osiedlił tam również Melanię: Z aprobatą Stolicy Świętej wziął ją pod swoją opiekę. Istotnie, Melania pisze do p. Schmida (1 kwietnia 1898):

"Powiem Panu szczerą prawdę. W roku 1867 ks. Petagna, mój biskup, udał się do Rzymu i podczas posłuchań, których mu udzielił Jego Świątobliwość Pius IX, mówił o mnie, o tym, jak się zachowywałam w jego diecezji itd., itd. Ojciec Święty powiedział mu, że nie powinnam być zamknięta w klasztorze, lecz że powinnam być wolna, aby móc spełniać swą misję. Sam biskup Petagna mówił mi o tym: opowiadał to również innym osobom, które następnie powtarzały mi to.

Przyznano mi przywilej, na mocy którego mogła być u mnie msza święta codziennie przez cały rok, korzystałam także z innych przywilejów. Niech będzie za to chwała Bogu, twórcy wszelkiego dobra".

Istotnie, Melanię spotkało wielkie wyróżnienie - znalazła się w sytuacji uprzywilejowanej. Jej biskup umieścił ją w pałacu Ruffo, gdzie dysponuje całym

piętem tego wielkiego domu; ma swoją pracownię, kaplicę prywatną, którą obsługuje kapłan wyznaczony przez biskupa (o: Fusco, redemptorysta włoski), z tarasu dość rozległego, aby móc służyć za miejsce przechadzki, rozciąga się wspaniały widok na zatokę i morze oraz okoliczne wsie i pola. Gdy ks. Fava, nowy z kolei biskup Grenoble, przybył do Castellamare, dech mu zamarł w piersiach ze zdumienia na widok scenerii, jaka otacza pasterkę saletyńską.

"Jego Ekszelencja zapytał nas - zwierza się Melania księdzu Rigaux w liście z 28 lutego 1904 - kto z nami sąsiaduje. Odpowiedziałam, że mieszkamy same. Na to on: Och, ależ wy mieszkacie po książęcemu!"

Ks. biskup Petagna łożył na wszystko, uważał bowiem Melanię za narzędzie apostołstwa, które Opatrzność Boża cudownie mu dała wśród tego tragicznego kryzysu, jaki przeżywał Kościół we Włoszech. Wobec niej powiedział do biskupa Fava: "To Pan Bóg przysłał mi siostrę Marię od Krzyża, a ja Mu za to codziennie dziękuję".

Jeśli zdrowie: Melanii pozwalało, biskup powierzał jej małą szkołę dziewcząt. Po śmierci Melanii ks. kanonik Annibale di Francia spotkał się w roku 1906 z jedną z nich, Wirginią Bonifacio, teraz dziewczyną światową. S. Maria od Krzyża była jej nauczycielką i matką przy bierzmowaniu. Oto, co Wirginia opowiedziała księdzu di Francia: "Liczne osoby ze wszystkich warstw społecznych często przychodziły z wizytą do Melanii. Ona zaś przyjmowała jedne, a odsyłała inne. Te ostatnie nie mogły w żaden sposób nakłonić jej do ich przyjęcia; w końcu już wiadano o tym jej nieprzejednanym ustosunkowaniu się do tych, w których widziała duchem tylko próżną ciekawość i zamiar wyszydzania rzeczy Bożych... Była ona bardzo surowa dla siebie samej i prowadziła życie bardzo pokutnicze. Na sam jej widok doznawałam zbawiennej emocji świętego lęku sądów Bożych... Mawiała nam: "Gdy jemy, powinniśmy być obojętni, nie zwracając uwagi na to, czy to jest chleb, orzechy, ziemniaki, oliwa, wino."

Biskup Petagna bardzo ją cenił z powodu jej świętości. Z czasem wytworzyło się wokół niej coś w rodzaju małej wspólnoty. Jej dary duchowe wywierały tak wielki wpływ i ujawniały się z tak wielką miłością, że biskup polecił jej głosić nauki ascetyczne zakonnikom kontemplacyjnym podległym swej jurysdykcji.

"Najdroższy Panie - pisze Melania do p. Schmida 22 marca 1895 - jak już Panu mówiłam; nie wstąpiłam do żadnego klasztoru, ale często chodziłam do karmelitanek i klarysek. Niektóre z nich pragnęły reformy, uzyskały więc dla mnie od ks. biskupa Petagna pozwolenie, abym chodziła do nich głosić konferencje na temat życia zakonnego. Ks. bp Petagna założył pewne zgromadzenie zakonnic i chciał, żebym przez kilka miesięcy pouczała je o życiu zakonnym. Chodziłam tam każdego ranka i popołudnia, ale nocy tam nie spędzałam..."

Cóż to były za konferencje? Czy ona zostawiła jakieś notatki z nich? To mało prawdopodobne. Gdyby bowiem tak było, księża di Francia i Combe zapewne by coś z nich pochwycili. Musiała więc mówić tylko pod impulem swej miłości, czerpiąc z zasobu przeżyć doznanych na górze objawienia i komentując regułę, którą wówczas otrzymała, a która jest wzorem i kanonem wszelkiego życia zakonnego.

Ona w niej widzi nie tyle właściwy regulamin i nowy kodeks, ile przypomnienie, odnowę ducha, który ma ożywiać wszelkie istnienie prawdziwie poświęcone Bogu.

Zakonnicy i zakonnice, kapłani diecezjalni, ludzie świeccy troszczący się o zbawienie i uświęcenie dusz - wszyscy, wszystkie zakony i stany mogą i powinni otrzymywać z niej, czerpać z niej przez nieustanne i efektywne rozważanie - jeśli tylko mają dobrą wolę - nową energię do miłości i apostołstwa.

Poświęcanie zbyt wielkiej uwagi kostiumom, habitom, szczegółom zewnętrznym sprawia, że bierze się łupinę za jądro i prowadzi do małostkowego współzawodnictwa. Gdy trzy zakonnice opuściły la Salette, by próbować założyć zakon Matki Bożej i żyć według Jej reguły, Melania zachęca je do wejścia do Trzeciego Zakonu Dominikańskiego - aby tym łatwiej mogły wyjednać sobie aprobatę ordynariusza i spokrewnić się z wielką radością duchową, bogatą w zasoby i środki. Twierdzi, że zobowiązania tego zakonu doskonale się zgadzają z regułą Matki Bożej a nawet ułatwiają jej przestrzeganie.

"Gdyby siostry zechciały afiliować się do Trzeciego Zakonu - pisze Melania do ks. Brandta 7 stycznia i 15 maja 1891 - jak im radziłam w tych dniach, byłoby to dla nich korzystne; a w oczach społeczeństwa nie byłyby odizolowane (od wielkiej rodziny zakonnej) i zdane tylko na siebie same. Byłyby tercjarkami żyjącymi wspólnie i przestrzegającymi reguły naszej słodkiej Matki Maryi, naszej czulej Matki otoczonej różami, które symbolizują różaniec dany św. Dominikowi". Następnie wyraziwszy żal, że siostry nie usłuchały jej rady, Melania dodaje: "Byłyby one pod opieką przełożonych..., mogłyby czynić dobrze z większą swobodą jako tercjarki w zakonie zatwierdzonym "

Ona sama, będąc już bez wątpienia członkinią Bractwa Różańca Świętego, przyjęta została również do Trzeciego Zakonu św. Dominika. Dowodem tego ogłoszenie o jej śmierci zamieszczone w biuletynie Bractwa z dnia 14 marca 1905 r., przysłanym księdzu Rigaux, proboszczowi w Argoeuvres, przez o. Souverain, dominikanina z Amiens. Otóż w rubryce "Nasi zmarli" tego czasopisma czytamy: "Melania Calvat (Melania z la Salette), tercjarka św. Dominika w Altamura (Włochy)".

Gdzie, kiedy i przez kogo została przyjęta? Prawdopodobnie około roku 1880, w każdym razie między 1880 a 1890, może w Neapolu przez niejakiego o. Sanfelice, który pewnego razu odprawił mszę świętą w jej oratorium; może w mieście Pompeja, gdzie mieszkał o. Cecchini, przyjaciel ojca Fusco, wiernego kapelana Melanii, a także znajomy ks. biskupa Zoli, jej spowiednika. Stan obecny informacji uniemożliwia bezsporne twierdzenie.

Biskup Zola spowiadał Melanię od roku 1868. Przytłoczony pracami a także już dotknięty chorobą, biskup Petagna musiał już wówczas poniechać regularnego spowiadania i wtedy wybrał na kierownika i spowiednika Melanii o. Zolę. Hrabia Salvatore Luigi Zola nosił białą sutannę i pelerynę kanoników regularnych laterańskich opactwa Santa Maria di Pie di Grotta. W tym 1868 roku miał lat czterdzieści sześć. Jako przeor - a od roku 1870 opat tego opactwa - uczył zakonników i uczniów kolegium przyłączonego do opactwa. Do sanktuarium opactwa, położonego na zachodnim krańcu Zatoki Neapolitańskiej, u podnóża Pausilippe, ciągnęły pobożne rzesze ludu neapolitańskiego i tak pielgrzymi ci roznosili daleko poza opactwo sławę tego wymownego i świętego opata.

W roku 1874 Pius IX mianował go biskupem diecezji Ugento, a w roku 1877 biskupem Lecce; dużej diecezji południowych Włoch. Lecce jest miastem wybitnie maryjnym, gdyż wszystkie jego kościoły poświęcone są Matce Bożej (pod różnymi Jej tytułami). Opatowi Zoli ciężko było oderwać się od życia klasztornego, ale był za bardzo zdyscyplinowany i oddany sprawie zbawienia dusz, aby miał się przeciwstawiać. Szlachetnego rodu, bardzo wykształcony i wybitny teolog, miał on temperament poety i smak artysty.

W diecezji Ugento odrestaurował i przywrócił do pierwotnej czci i sławy starożytne sanktuarium Matki Bożej na Krańcach Świata (de finibus terrae) wzniesione na samym krańcu przylądka Leuca: W Lecce dzięki jego przykładowi i jego kazaniom liczba powołań do seminarium duchownego wzrastała niebywale. Zazdrosny o niezależność Kościoła, odmówił uznania rządu włoskiego, wskutek czego nie otrzymywał pensji, lecz tylko świętopietrze (składane przez wiernych). Bardzo umartwiony, nigdy nie spał w łóżku, lecz zadowalał się tylko krótkim snem w fotelu. Muzyk całą duszą; lubił niekiedy zastępować w kościele organistę, a w swym mieszkaniu improwizował na fisharmonii melodie, którymi lepiej niż słowem dawał wyraz swym mistycznym aspiracjom. Jego sekretarz i biograf, ks. Chiriatti, opowiada, że niewiele godzin przed zgonem i już umierający otworzył jeszcze klawiaturę, by grając pomóc sobie sławić miłosierdzie Boże. Zmarł w Lecce 5 kwietnia 1898 r. Jego proces beatyfikacyjny jest w toku.

Dla Melanii był on powiernikiem i przyjacielem. Jak biskup Petagna tak i on nie przestawał jej zachęcać do pełnienia tej misji.

KRÓTKA PODRÓŻ DO FRANCJI

Tymczasem burza wypadków dziejowych wstrząsała i Kościołem, i Francją, i Włochami. Pragnąc odwiedzić - po wojnie 1870-1871 roku - swą rodzinę i ojczyznę, Melania podjęła krótką podróż do Francji. Kilka tygodni spędziła w Corps i odbyła pielgrzymkę na górę la Salette (w r.1871). Powróciła do Castellamare zasmucona stanem Francji i przeświadczona, że nie czas jeszcze, by na świętej górze można było wcielać w życie regułę, która tam była podyktowana i tym sposobem dawać dowód, że może ona odnowić nie tylko maryjny lud Francji, ale cały świat.

Jednakże dążność do prześlągnięcia Boga, do wynagrodzenia za grzechy wyraźnie się zaznaczyła wśród katolików francuskich: dowodzi tego uchwalenie przez Parlament francuski budowy bazyliki Najświętszego Serca Jezusowego w Paryżu jako wotum narodowego, dowodzi tego wielka pielgrzymka do Ziemi Świętej. Również do la Salette przybyła w roku 1872 pielgrzymka narodowa, pierwsza zorganizowana przez ks. biskupa Paulinier z Grenoble. Broszury Girarda i ks. Bliarda przypominające objawienie saletyńskie, a szczególnie sekret, rozpowszechniane są wśród kleru.

Ks. biskup Fava, który z kolei objął stolicę biskupią (w roku 1875), natychmiast zrozumiał, że nadszedł stosowny czas, aby zwrócić uwagę świata na la Salette, a także dodać blasku świątyni, która tam stoi oraz rozślawić pielgrzymki do Pani, która tam płakała. Odznaczał się on wielką żarliwością o chwałę Bożą, był biskupem misyjnym, powrócił bowiem z Martyniki, ale miał też zalety naturalne; jego potężna postawa, spiżowy głos, rozkazujący ton mowy, długie włosy zarzucone w tył - wszystko to imponowało tym, którzy się z nim spotykali.

On pierwszy urządził kapitułę generalną małej wspólnoty misjonarzy diecezjalnych, których biskup Bruillard osadził w la Salette. Biskup Ginoulhiac nie mógł zdecydować się, aby dać im regułę. Ojciec Sibillat, który - jak sobie przypominamy - przedstawił mu, lecz bezskutecznie, kilka rozdziałów zreagowanych przez Melanię, opuścił wspólnotę w roku 1858.

O. Bossan ustąpił w roku 1868. Sprawa pozostawała w zawieszeniu, a opinia misjonarzy co do tej życiowej kwestii była podzielona. Ks. bp Fava z urzędu wziął tę sprawę w swe ręce, przyjął dymisję o. Giraud, superiora i sam ułożył projekt konstytucji oraz plan kolegium apostolskiego dla instytutu misjonarzy saletyńskich.

SPRAWA REGUŁY I KONGRES

W Castellamare nic nie wiedzano o tym wszystkim. Ale ze zbliżaniem się trzydziestej rocznicy objawienia (19 września 1846-1876) Melania czuła nagłą

konieczność nadania sekretowi rozgłosu; który by poruszył sumienia, oraz pobudzenia ewangelicznych przepisów reguły do wydania owocu.

"Pilno mi zobaczyć - pisze ona do ks. Brandta w listach z 2 kwietnia i 19 czerwca 1877 r. - jak się zaczyna ten zakon, który ma zdziałać tyle dobrego w świecie. Gorąco pragnę widzieć ten zakon Matki Bożej, a tymczasem nic nie mogę zrobić, przeciwnie, widzę, że jestem przeszkodą dla wszelkiego dobra i zdolna wszystko zepsuć... Jeśli chodzi o założenie klasztoru zakonnicy, to powiem Księdzu szczerą prawdę: pod każdym względem jestem niezdolna zrobić coś w tym rodzaju". A jednak kandydaci do tego Zakonu Apostołów Ostatnich Czasów przychodzili do niej - niemal wszyscy księża. Paru z nich przyłączyło się do o. Fusco, by w sąsiedztwie Melanii i korzystając z jej inspiracji, prowadzić życie modlitwy, pokuty i studiów sakralnych.

"Ks. biskup upoważnił mnie - zwierzy się ona później (22 marca 1895) w liście do p. Schmida do rozpoczęcia Dzieła Apostołów Ostatnich Czasów. Wzięłam dla tych kapłanów pierwsze piętro pałacu; w którym mieszkałam":

Wszystko robiono - wyjaśnia ona ks. Brandtowi w listach z 18 czerwca i 26 lipca 1877 r. - z błogosławieństwem i na koszt dobrego biskupa z Castellamare. Wiedział o tym wszystkim biskup Zola, a nawet przyszedł raz - 26 czerwca 1877 - odwiedzić małą grupę i porozmawiać z Melanią o fundacji.

A więc był start...

Kim byli ci pierwsi dobrowolni inicjatorzy dzieła? Z wyjątkiem o. Fusco imiona ich nie są nigdzie zanotowane.

Ale pałac Ruffo odwiedzali także goście przelotni. Najważniejszych spośród nich można zidentyfikować na podstawie tego, w jaki sposób nawiązuje się stosunki korespondencyjne Melanii z nimi. Jeden z pierwszych, to ks. Bliard (od 1872 lub 1873). Nieco później zapoznał się z nią ks. Roubaud; interesujące powołanie spóźnione. Początkowo był on profesorem w seminarium, potem proboszczem w diecezji Fréjus. Melania mogła go spotkać lub słyszeć o nim w Marsylii. Wreszcie dwukrotnie widziała się z wybitną osobistością, księdzem kanonikiem de Brandtem z kapituły w Amiens.

Na Melanię zwróciła mu uwagę jej dawna mistrzyni nowicjatu z Corenc, której poruczono założyć w Amiens filię domu Opatrzności. Ostrzeżenia zawarte w sekrecie i duch reguły okazały się bardzo aktualne i dobroczynne dla jego działalności kapłańskiej. Ze względu na jego wybitną i szlachetną osobowość Melania widziała w nim przełożonego rodzącego się dzieła. Darzyła go głębokim szacunkiem, żywiła nadzieję, że będzie on umiał zgrupować wokół siebie powołania wyborowe, że dzięki niemu organizacja i rozrost zakonu nabiorą rozmachu zarówno we Włoszech jak i we Francji.

Ale czy znajdzie się dom i fundusze konieczne do realizacji zamiarów? Czy właśnie dla omówienia tej kwestii przyjechał do Castellamare? To możliwe, ale nie pewne. W każdym razie środki te są już zapewnione; ofiarował je ks. Ronjon. Oto co o tym pisze Melania w pierwszym swym liście, datowanym 23 marca 1877, do ks. kanonika de Brandta; który niedawno wyjechał z Castellamare:

"Jest możliwe, że wkrótce będziemy mieli swój dom we Francji, a wtedy nowicjat będzie odbywać się na miejscu. Pewien ksiądz, właściciel domu i kaplicy, chciałby mi podarować to wszystko, dałby także coś na utrzymanie dwóch czy trzech osób; pod warunkiem, że zapewnię tam stały pobyt kapłana do obsługi świątyni... Ten zacny ksiądz chce, aby nie mówiono o tym, dopóki coś się nie zrobi. Jeśli jednak będziemy zwlekać, obawiam się, aby nie oddał tego innemu zgromadzeniu". Była to dyskretna zachęta, aby ks. de Brandt nawiązał stosunki z ks. Janem Ronjonem.

Ks. Jan Ronjon uchodził za oryginała, dobroczynnego wprawdzie, ale oryginała. Mieszkał w Châlon-sur-Saône, w diecezji Autun. Nie miał żadnego stanowiska i niczego tak nie ukochał jak samotną modlitwę i ubogich.

Oto przed 30 laty, dokładnie dnia 19 września 1846 roku około trzeciej po południu, podczas modlitwy ujrzał on światło; poczuł się przepełniony radością i w porywie tej radości ofiarował siebie i wszystkie swe dobra na usługi Matki Bożej. Nieco później dowiedział się, że w tym samym, dniu i o tej samej godzinie Matka Boża ukazała się w la Salette. Od tego czasu podwoił modlitwy, zaczął czynić pokutę i zachowywał wystrzał swe oszczędności dla dzieła, do którego może on sam będzie powołany, ale którego nie wyobrażał sobie wyraźnie. Czas upływał: Co się stało z jasnowidzącymi saletyńskimi? Któż to mógł wiedzieć? Któż znał seret i regułę? Ksiądz Ronjon próbował zrobić coś na miejscu. Dzięki swemu osobistemu majątkowi kupił w roku 1856 w Châlon-sur-Saône na przedmieściu Cytadeli; stare opactwo. Wszystko tam było w ruinie oprócz jednej wieży, która stała jeszcze. Nowy właściciel odrestaurował i ozdobił kaplicę; odbudował wśród zwalisk małe mieszkanie, na wieży zaś, wykonując wotum, które podczas inwazji niemieckiej w roku 1870 ślubowały panie z Châlon, umieścić za pozwoleniem biskupa z Autun; posąg Najświętszej Panny. Kaplica została dedykowana Niepokalanemu Poczęciu. Ks. Ronjon obsługiwał ją z wielką miłością. Ta uboga dzielnica Cytadeli jest oddalona od parafii miasta, dlatego robotnicy i biedota miejska uczęszczali do kaplicy dobrego księdza i otrzymywali pomoc duchową i materialną. Ludzie biedni ukochali go, jednakże wśród hierarchii kościelnej miasta Châlon - ze względu na swój osobliwy tryb życia - nie cieszył się on zbytnim mirem.

Tymczasem lata szybko mijały, a całkowita realizacja jego pragnienia i przyszłość drogiej kaplicy napawały go głęboką troską.

Gdy - nie wiadomo gdzie i od kogo - dowiedział się coś o regule Matki Bożej i o przyszłym zakonie Jej synów, Apostołów Ostatnich Czasów, wiadomość ta wywarła na nim wielkie wrażenie. Począł tedy informować się o fakcie i wreszcie podjął starania o porozumienie się z jasnowidzącą. Ich kontakty zapewne rozpoczęły się około roku 1874. Ks. Ronjon nie przystał do grupki kapłanów z pałacu Ruffo, ale wkrótce - aktem notarialnym z datą 24 sierpnia 1878 r. odstąpił Melanii Calvat swą kaplicę i mieszkanie; zapewniając jej przy tym rentę, wystarczającą do konserwacji miejsc oraz utrzymania jednego lub dwu kapłanów do obsługi.

Wszystko sprzyjało - a przynajmniej zdawało się sprzyjać - realizacji dzieła w najbliższej przyszłości. Aczkolwiek chory ks. biskup Petagna śledził rozwój sprawy z życzliwą troską. Regułę posłano do Rzymu do zbadania. Początki pontyfikatu Leona XIII zdawały się sprzyjać inicjatywom. Melania pisze do ks. Brandta 26 października 1878: "Sprawy w Rzymie układają się jak najlepiej; trzej kardynałowie doszli do porozumienia, czeka się tylko na list ks. biskupa Petagna, aby móc dostać się do Ojca Świętego i przedstawić mu, czego chce Najświętsza Dziewica".

Wtedy to udał się w podróż biskup Fava... Tutaj, skoro Melania dwa razy zapisała - w roku 1900 dla ks. Combe, proboszcza w Diou; w roku 1904 dla ks. Rigaux, proboszcza w Argoeuve - opowiadanie tego, co zaszło, wystarczy przytoczyć tę jej relację.

Przyrzekłam Księdzu - tak rozpoczyna Melania pisać, jeśli podoba się Bogu, swoją podróż do Rzymu i to co ją poprzedziło, Kongres zorganizowany w imieniu Ojca świętego przez J. Em. ks. kardynała Ferrieri, prefekta Świętej Kongregacji Biskupów i Zakonników, to co na nim mówiono, swoją audiencję prywatną u Ojca świętego i to, cośmy mówili; moje wstąpienie do wizytek salezjańskich, następnie moje wystąpienie i to, co po nim się wydarzyło".

"W roku Pańskim 1878 i wydaje mi się, że w październiku, pewnego ranka po mszy świętej Wielebny o. Fusco powiedział mi, że według tego co czytał w dzienniku, ks. Fava, biskup Grenoble, ma zamiar udać się do Rzymu, aby uzyskać aprobatę swej reguły dla ojców i sióstr saletyńskich. Na tę wiadomość oświadczyłam: "Dla spokoju sumienia natychmiast zabiorę się do pospiesznego napisania reguły Najświętszej Matki Bożej, aby ją przedstawić Ojcu świętemu. - Zaniósę ją sam do Rzymu - powiedział o. Fusco. I wszystko zostało tak zrobione, jak powiedzieliśmy.

Upłynął mniej więcej miesiąc, gdy pewnej niedzieli mój święty biskup, ks. Petagna, powiadomił mnie, że chce ze mną pomówić.

Gdy szłam na górę po schodach, spotkałam dwóch starszych kanoników we łzach, którzy się odezwali do mnie: Lepiej było Siostrze pozostać w swej diecezji, a nie przybywać tutaj zabijać naszego biskupa. Gdyby nie jego sutanna, wziąłbym go za żandarma, tak jest wyniosły i wymagający posłuszeństwa...

Inni kanonicy mówili mi: "Na litość, niechże Siostra wpłynie na to, żeby biskup z Grenoble zaprzestał tych okrutnych nalegań na naszego biskupa, który przecież jest chory." Zapytałam o powody; dla których biskup z Grenoble stawia jakieś wymagania, odpowiedziano mi: Biskup z Grenoble z miną wielkiej powagi nakazuje naszemu świętemu biskupowi zobowiązać Siostrę, aby się przemogła i poszła do swej diecezji itd.": Wchodzę i po raz pierwszy widzę ks. biskupa Fava. Obok niego siedział jakiś ksiądz, którym był, jak się potem dowiedziałam, o. Berthier, jeden z misjonarzy z la Salette.

Biskup z Grenoble powiedział mi, między innymi słowami banalnymi i nic nie znaczącymi, że dowiedział się o moim pobycie tutaj i że przybył z bardzo daleka, aby się widzieć ze mną. Podziękowałam mu za to. Mój święty biskup, już chory, czuł się wyczerpany i potrzebował odpoczynku, a przede wszystkim spokoju umysłu. Przyszedł sługa i powiedział, że pokój jego jest przygotowany i że może się położyć, gdyby chciał odpocząć. Wtedy mój święty biskup rzekł mi: "Ekscelencja i Wielebny o. Berthier przyjmą posiłek u Siostry, bo odkąd jestem tak cierpiący nic tutaj się nie przygotowuje, nikt już nie zasiada do stołu." Wyraziwszy swemu świętemu biskupowi współczucie z powodu jego choroby oraz wdzięczność za zaszczyt, jaki mi wyświadcza, dając mi możliwość przyjęcia Ekscelencji oraz Czcigodnego Księdza, poprosiłam go, aby mi pozwolił odejść w celu przygotowania wszystkiego co należy. Mój święty biskup, zauważywszy brak jakiegokolwiek reakcji ze strony biskupa Fava na to, co uplanowano, sądził, że go nie zrozumiał, powtórzył więc bo samo raz i drugi, ja zaś powróciłam do siebie, aby przygotować południowy posiłek".

"Przy tej okazji muszę powiedzieć, że koszty mego mieszkania i całego utrzymania ponosił całkowicie ks. biskup Petagna" (z listu do ks. Combe).

"W południe przybywa ks. biskup z Grenoble z o. Berthier. Jego pierwsze słowa były: "Jeździłem do Rzymu dla trzech powodów: aby się wystarać o aprobatę mojej reguły dla ojców i siostr, aby uzyskać tytuł bazyliki dla kościoła na górze la Salette i aby zamówić statuę Matki Bożej podobną do modelu, który zabrałam. Widzi Siostra, żadna statua nie przedstawia dobrze Najświętszej Dziewicy. Przecież Ona nie może mieć chusteczki ani fartuszka; wszyscy ludzie szemrają, mówiąc, że nie podoba im się ten ubiór wieśniaczki. Model, który poleciłem wykonać jest o wiele lepszy. Przede wszystkim nie będzie miała krzyża, bo -

widzicie - to zasmuca pielgrzymów, zresztą Najświętsza Maryja Panna nie powinna mieć krzyża..." Pomijam inne rzeczy, gdyż moje pióro nie chce szczegółowo zapisać tego wszystkiego, co Jego Ekscelencja powiedział. Byłam przerażona, ledwie zdołałam powiedzieć: "Ale pod tym posągiem Ekscelencja zapewne każe wypisać wielkimi literami: Matka Boska według widzenia biskupa Fava." Zaproszono nas do stołu.

Po posiłku ks. biskup z Grenoble otworzył balkon, by popatrzeć na pola, a przede wszystkim na Wezuwiusz, który mieliśmy naprzeciw. Ekscelencja zapytał, kto sąsiaduje z nami. Odpowiedziałam, że mieszkamy same. "Och, ależ wy mieszkacie po książęcemu!" - rzucił biskup i począł przebiegać pokoje. Wyszedł na taras, który służył za miejsce rekreacji dla mych uczennic; gdy nie padało. Przez dłuższy czas patrzył jeszcze na Wezuwiusz, morze, na krajobraz, po czym wszedł do mieszkania, otworzył mój gabinet pracy i widząc na biurku stos listów, powiedział: "Ale korespondencja Siostry jest o wiele liczniejsza aniżeli moja! Skąd przychodzą listy?" - "Z całej Europy, Ekscelencjo" - odpowiedziałam. - "Siostra mieszka w pałacu aż za pięknym. Nawet nie wychodząc, ma się gdzie przechadzać."

Po upływie trzech lub czterech kwadransów ks. biskup powiedział, że pożegna biskupa Petagna i odjedzie pociągiem do Rzymu.

Późnym popołudniem ku memu wielkiemu zdziwieniu przyszła do mnie pewna osoba przysłana przez mego świętego biskupa, aby mi powiedzieć, że chce on mi coś powiedzieć. Zapytałam tej osoby, czy - biskup z Grenoble odjechał. "Na szczęście już wychodził" - brzmiała odpowiedź - gdy wtęm otwały się drzwi, wszedł posłaniec i wręczył ks. biskupowi Petagna list z Rzymu przeznaczony dla Siostry. Wówczas ten biskup karbonariusz wrócił się do pokoju i chciał koniecznie dowiedzieć się treści listu. On sprawia wiele przykrości naszemu biskupowi. Z tą samą osobą poszłam do pałacu biskupiego. Doszedłszy do drzwi, powiedziałam jej: Biskup Grenoble zapewne pozostał. Proszę wejść i powiedzieć ks. biskupowi Petagna, że wezwana osoba czeka. Tak zrobiono.

Mój święty biskup przyszedł do mnie z listem i półgłosem powiedział mi w przybliżeniu te słowa: "Ojciec święty chce rozmawiać z Siostrą. Oto część listu dotycząca Siostry: Jeśli Melania nie jest chora i gdyby mogła przyjechać do Rzymu, Jego Świątobliwość chciałby z nią pomówić. Jeżeli nie może przyjechać, niech przyśle wszystko, co dotyczy założenia nowego zakonu Apostołów Ostatnich Czasów." Zapytałam ks. biskupa, kiedy chce żebym pojechała. "Dziś jest niedziela - odrzekł - poza tym wyjazd Siostry wymaga przygotowań, nic pilnego." W tej chwili wchodzi biskup z Grenoble i mówi: - Ekscelencjo, przypuszczam, że Ksiądz biskup opowiedział Melanii treść całego listu, może więc ksiądz biskup i mnie ją opowiedzieć.

- Proszę mi wybaczyć, księżę biskupie - odparł pokornie mój święty biskup - w depeszy są rzeczy dla niej i dla mnie... W liście nie jest sekretem tylko to, że otrzymała wezwanie do Rzymu.

- Ach tak, a może wie ksiądz biskup, dlaczego? Co ona ma tam robić?

Mój święty biskup milczy.

- Bardzo dobrze - ciągnie dalej biskup Fava wyjedziemy razem dziś wieczorem.

- Nie jeżdżę w niedzielę - wtrąciłam się.

- Ale Siostra musi być posłuszna papieżowi!

- Ojciec święty nie nakazuje mi wyjeżdżać zaraz po otrzymaniu listu.

- Księżę biskupie - mówi Francuz do mego świętego biskupa - trzeba jej nakazać wyjechać ze mną tego wieczora.

- Ekscelencjo, ona nie może pojechać tak bez przygotowania. Jeśli ma coś przygotować, trzeba dać jej czasu na to.

- Proszę mnie posłuchać! Przecież siostra wie, że jestem ordynariuszem diecezji Grenoble i chciałbym tyle siostrze powiedzieć, tyle pouczeń udzielić, tyle się dowiedzieć! A więc dziś o dziesiątej wieczorem podejmujemy tę podróż do Rzymu pociągiem. Siostra się zgadza na to, nieprawdaż?

- Nie wiem; Ekscelencjo.

- Ależ to konieczne! Księżę biskupie, proszę ją nakłonić, nakazać jej wyjechać ze mną dziś wieczorem !

- Nie znam sztuki nakazywania osobom, które okazują posłuszeństwo na najmniejsze skinienie - odparł mój święty biskup, blady jak śmierć.

Wariant w liście z 3 kwietnia 1895 do p. Schmida, który ją prosił o szczegóły: "Słowa: "Proszę polecić, nakazać Melanii, żeby wróciła do mej diecezji; ona musi koniecznie wrócić itd., które ośmielił się skierować do niego biskup Fava, głęboko zasmuciły biskupa Petagna, zebrał tedy wszystkie siły, aby mu krótko odpowiedzieć mniej więcej tymi słowy: "Księżę Biskupie, to Pan Bóg przysłał mi siostrę Marię od Krzyża, a ja Mu za to codziennie dziękuję. Bóg nigdy nie robi niewolników. Dlatego właśnie tutaj w mej diecezji jest ona wolna, dlatego właśnie nie będę się obciążał odpowiedzialnością za polecenie, nakazywanie jej, aby odeszła stąd." Od tego dnia ks. bp Petagna już nie opuszczał łóżka; a wśród ludzi wyrobiło się przekonanie, że biskup z Grenoble zepchnął go do grobu".

"Aby wreszcie z tym skończyć, powiedziałam, że odchodzę, był już bowiem wieczór." Biskup Grenoble, powiedział mi: "Do widzenia - o dziesiątej!", wszedł do salonu, ja zaś mogłam porozmawiać ze swoim świętym biskupem i poprosić go, by mi wyraził swą wolę. Na to odpowiedział mi on: "Biskup z Grenoble

wtrąci mnie do grobu. Jeśli Siostra może, niech wyjedzie tego wieczoru, aby oddać go ode mnie. Dam Siostrze ojca Fusco i towarzyszkę siostry. Jeśli siostra będzie mogła, wyjedzie dziś wieczorem. Niech Wam Bóg błogosławi!"

Powróciwszy do siebie, zaczęłam się umawiać z towarzyszami co do podróży. Byłam przekonana, że w Rzymie nie pozostanę dłużej aniżeli dwa lub trzy dni. Ponieważ przed miesiącem posłałam tam regułę Matki Bożej, o. Fusco powiedział mi: "Wydaje mi się, że siostra jest wzywana, aby porozumieć się w sprawie założenia Zakonu Apostołów Ostatnich Czasów, ponieważ ks. bp Fava u naszego ks. biskupa powiedział nam, że gdy był w świętej Kongregacji Biskupów i Zakonów w sprawie przyspieszenia aprobaty swej reguły, kardynał Ferrieri dał mu do zrozumienia, że w tym czasie jest bardzo zajęty i że ks. biskup może przez co najmniej osiem dni spędzać czas na zwiedzaniu budowli w Rzymie i okolicy. Oto dlaczego ks. biskup Fava przybył tutaj.

Postanowiliśmy odjechać z Castellamare pociągiem o godzinie 9 wieczorem. O dziesiątej byliśmy już w Neapolu. Musieliśmy czekać na pociąg zdążający do Rzymu. Ks. biskup Fava przybiega i mówi zdyszany: "Już od pół godziny szukam siostry! No dobrze, chodźcie, zajmijmy miejsce." Dziękując, powiedziałam mu, że zawsze podróżujemy trzecią klasą. "Ale czyżby z siostrą był jeszcze kto inny?" - "Tak, Księżę biskupie, jeden ksiądz i moja towarzyszka". - Oni mogą się udać do innego wagonu" - zauważył ks. biskup. "Proszę mi dać swój bilet, dopłacę dodatek pierwszej klasy". Odpowiedziałam mu, że skoro mój święty biskup raczył łaskawie dać mi te osoby za towarzyszy, nie mogę odłączyć się od nich. Niemal rozgniewany, biskup odpowiedział: "Zapłacę dodatek i za nich. Ale czy wie siostra, po co jest wzywana do Rzymu?" "Nie, zresztą nie przejmuję się tym." Ks. biskup, który miał tyle rzeczy do powiedzenia mi, nic mi nie powiedział. Było mi bardzo przykro, że na ojca Fusco i na moją towarzyszkę patrzył z ukosa, niemal gniewnie. O. Berthier wydawał się niezadowolony. Daremnie bowiem zamknął drzwi przedziału, pragnąc, aby moi towarzysze nie przyszli do nas: drzwi natychmiast się otwały, a w nich ukazał się o. Fusco: "Ekselencjo, proszę mi wybaczyć, że ośmielam się wejść, czynię to, aby spełnić życzenie naszego biskupa z Castellamare, który pragnie, abym nie zostawiał siostry Marii od Krzyża samej. Biskup z Grenoble nic nie odpowiedział.

W poniedziałek o siódmej rano przybyliśmy do Rzymu i tam razstaliśmy się. Ks. biskup i o. Berthier udali się do seminarium francuskiego; jak mi się wydaje, my zaś weszliśmy do jednego z kościołów, gdzie o. Fusco odprawił mszę św. Potem zajęliśmy pokoje w hotelu, gdzie - jak mi się wydaje - mieszkaliśmy przeszło osiem dni.

(W tekście księdza Combe jest wzmianka, że był to hotel "Santa Chiara" w pobliżu seminarium francuskiego. Mały ten hotelik istnieje do dziś dnia naprzeciw seminarium, niedaleko kościoła Santa Maria sopra Minerva).

Zaraz pierwszego dnia prosiłam o zameldowanie mego przybycia kardynałowi Ferrieri i gotowości do jego dyspozycji. Eminencja kazał mi powiedzieć, że mnie uprzedzi o dniu, w którym będę mu potrzebna.

A zatem codziennie po mszy świętej mieliśmy swobodę i spędzaliśmy popołudnia przyjemnie w Bogu, zwiedzając piękne kościoły... i katakumby. Ale najpierw złożyliśmy wizyty osobistościom, o których wiedzieliśmy, że niezachwianie wierzą w objawienie Matki Bożej Saletyńskiej i odznaczają się gorącym nabożeństwem do Niej, np. kardynałom Guidi i Consolini, którzy łaskawie zaofiarowali mi swą pomoc we wszelkich okolicznościach. Obu im wręczyłam odbitkę sekretu, który chciałam wydrukować z *imprimatur* biskupa Petagna.

Ks. bp Fava codziennie z wielką dobrocią przysyłał o. Berthier, aby zasięgnął informacji o nas; ten ostatni przede wszystkim pilnie się wypytywał właściciela hotelu, jak często wychodziliśmy, czy nasza nieobecność była długa w danym wypadku i czy składano nam wizyty.

Pewnego dnia (wydaje mi się, że trzeciego) hotelarz powiedział mi: "Ksiądz, który jest z biskupem Grenoble i który tu co dzień przychodzi, powiedział mi, że ten biskup zobowiązał się zapłacić wszystkie koszty związane z pobytem siostry w tym hotelu i to za cały okres przebywania w Rzymie. Aby nie powracać do tego szczegółu, powiem już teraz, że gdy musiałam wstąpić do salezjanek, a moi towarzysze odjechali do Castellamare, poprosiłam hotelarza, aby przekazał biskupowi z Grenoble rachunek za mój pobyt. Biskup odpowiedział, że nie zna osoby, której dotyczy ten rachunek. Biedny hotelarz nie mógł wyjść ze zdumienia: Wówczas wzięłam rachunek, i - ku wielkiej radości tego nieboraka - zapłaciłam go.

Trzeba jeszcze powiedzieć tutaj to, o czym dopiero później dowiedziałam się z wiarogodnego źródła: Otóż biskup z Grenoble nie tracił czasu po naszym przybyciu do Rzymu; chodził do różnych kongregacji, do kardynałów, biskupów, aby się dowiedzieć; w jakim celu, z jakiej racji pasterka saletyńska została wezwana do Rzymu: Ktoś mu powiedział, że kardynał Ferrieri ma regułę, którą Najświętsza Panna podyktowała Melanii i że sekretarz kardynała mgs. Bianchi, powinien znać te sprawy. Gdy tylko ks. bp Fava dowiedział się o tym, wyszukał ks. Bianchi; a ten poinformował go, że w tej sprawie odbędzie się Kongres. Biskup z Grenoble uznał ks. Bianchi za człowieka zdolnego pomóc mu w zwalczaniu Reguły Melanii. Szukał także - albo kupił; jak mi powiedziano - innych dostojników kościelnych".

"Pod koniec tygodnia kardynał Ferrieri oznajmił mi dzień i godzinę posłuchania. Przybyliśmy dziesięć minut wcześniej i pozostawaliśmy w tym czasie w poczekalni. Co chwila ktoś dzwonił, a portier informował petenta: Eminencja nie przyjmuje - odbywa się nadzwyczajny kongres. Wtedy właśnie dopiero dowiedziałam się, że wezwano mnie na kongres. Było dwóch lub trzech biskupów, którzy natarczywie domagali się; aby ich wpuszczono; jeden z nich twierdził; że został zaproszony przez biskupa z Grenoble. Nie pozwolono im wejść.

Zapowiedziana godzina minęła. Biskup z Grenoble nie przychodził. Kardynał Ferrieri kazał mi wejść i usiąść obok siebie; ks. Bianchi przewracał papiery. Kardynał zapytał mnie:

- Dawno siostra nie była na górze la Salette?

- Byłam tam w roku 1871.

- Czy siostra zna tych zakonników i rodzaj ich życia?

- Nie znam ich indywidualnie; żaden z nich nigdy nie odezwał się do mnie, ani nawet aby poinformować się o tym świętym objawieniu. Co zaś do rodzaju ich życia, prywatnego czy publicznego, to - jak słysząc są oni tylko przeciętnymi świeckimi bez zapału, troszczącymi się jedynie o gromadzenie pieniędzy, zazdrośni i twardego serca. Bardzo mnie to upokarza, Eminencjo, ale i ja bym była taka i jeszcze gorsza, gdyby nie podtrzymywała mnie łaska Boża.

- Czy siostra wie o czymś, lub była świadkiem czegoś, co nie byłby po myśli Bożej?

- Powiem, Eminencjo, co wywarło na mnie przykre wrażenie. Było to - jak mi się wydaje - w roku 1854. Gdy biskup z Grenoble usiłował pozbyć się mnie przez wygnanie, skierował mnie na górę la Salette i tam przebywałam około miesiąca. Było to w lutym. Mimo śniegu i złych dróg; codziennie przybywało kilku pielgrzymów na grzbiecie muła. Pewnego dnia przybyła jakaś bogata dama. Wszyscy ojcowie wyszli na jej powitanie, z mnóstwem ceremonii, ale gdy mulnik także chciał wejść, ponieważ niósł bagaż tej pani, a zresztą musiał odpocząć i coś zjeść, jeden z ojców wziął bagaż i zamknął drzwi przed nosem biednego mulnika drżącego z zimna. Biedaczyna wszedł do kościoła i słuchał mszy świętej na kolanach. Pod koniec Najświętszej Ofiary upadł z łoskotem na posadzkę. Idę ku niemu, aby pomóc mu wstać i posadzić go. Otóż nikt z ojców ani z ich służby ani się nie ruszył. Również po mszy świętej nikt nie pomyślał, aby dać mu coś ciepłego do napicia. W pewnym momencie spotyka mnie pani Denaz, szwagierka jednego z ojców, i mówi: Proszę pójść do kuchni po swoją kawę. Biegnę tam, biorę filiżankę i szybko niosę temu biedakowi. Potem dziękując mówi mi on: "Siostra postawiła mnie na nogi. Gdy wychodziłem z

Corps, był wczesny ranek. A iść w śniegu przez trzy godziny to męczące. Ta pani mówiła mi, abym poprosił ojców o jakiś napój na jej rachunek, oni zaś nie pozwolili mi wejść; a zobaczy siostra, że każą sobie płacić za to, czego nie otrzymałem. Ci ojcowie zawsze tak robią, dlatego nie są lubiani". Odnoszę filiżankę do kuchni, a p. Denaz mówi mi: "Jestem pewna, że siostra nie zjadła swego śniadania, lecz oddała je mulnikowi. Gdyby siostra pobyła tu dłużej, wnet nie mielibyśmy z czego się utrzymać."

"Kilka dni potem znajdował się wśród pielgrzymów ubogi, który prosił cudzoziemców o jałmużnę. Przypadkowo znajdowałam się w sklepie ojców, gdy ów żebrak wszedł tam, aby przed odejściem ze świętej góry kupić zwykły medalik Matki Bożej Saletyńskiej. Osoba opiekująca się sklepem kładzie medalik na kontuarze: dziadek bierze go i całuje z miłością; sprzedawczyni wzięła monetę, ale spostrzegła, że jest za drobna, szybko tedy przywołuje dziadka, rzuca mu jego monetę i każe oddać medalik... Tam u ojców nie wie się, że kto daje ubogiemu, ten pożycza Bogu. Przy tej okazji wejścia do sklepu chciałam się przekonać, czy rzeczywiście - jak mi mówili ojcowie - sprzedaje się tam tylko dewocjalia; otóż zauważyłam tam również biżuterię, tabakierki itp.

Ale oto przybywa biskup z Grenoble, pozdrawia po wojskowemu, podnosząc dłoń da czoła. U drzwi słysząc krótką dyskusję, to o. Berthier usiłuje wejść. Zamknięto drzwi, wszyscy siadamy, zaczyna się congresso.

Kardynał Ferrieri odzywa się:

- No, księże biskupie, mówią, że napisaliście regułę dla misjonarzy.
- Tak, Eminencjo.
- A czy wiedzieliście, że Najświętsza Panna dała już regułę Melanii?
- Tak, Eminencjo, ale moja reguła to zupełnie co innego.
- A jakże przyszło wam do głowy pisać regułę, skoro wiedzieliście, że Najświętsza Panna już dała regułę Melanii?

Ks. biskup Fava milczy.

- Ale przynajmniej radziliście się w tej sprawie Melanii.

Biskup nic nie odpowiada, wtedy kardynał zwraca się do mnie:

- Czy ks. biskup, pisząc swą regułę, radził się siostry?
- Nie, Eminencjo, nigdy.
- No dobrze, nakazujemy więc, aby Melania poszła na górę la Salette z regułą; którą otrzymała od Najświętszej Dziewicy i aby nakłoniła ojców i zakonnice do jej przestrzegania.

- Eminencjo - odezwał się ks. bp Fava - nie przyjmę regały Melanii, jeśli Kościół nie dowiedzie mi że pochodzi ona od Najświętszej Panny. A ks. Bianchi, sekretarz, który zgodnie z zasadami i ustawami kościelnymi był tylko po to, aby notować żądania, zarzuty i odpowiedzi, rzekł (widocznie kupiony):

- A czyż Eminencja nie wie, że zakonnice w ten sposób postępują z Melanią?

I zestawiwszy palce wskazujące obu rąk - jeden w przedłużeniu drugiego - poczęła uderzać nimi jeden w drugi. Wtedy ja się wdałam, mówiąc:

- Nigdy nie rozmawiałam z siostrami; które są na górze, jakże tedy mogłybyśmy być w niezgodzie..? Nie wiem.

Eminencja zapytał mnie, co myślę o ostatniej wypowiedzi ks. biskupa Fava. Odpowiedziałam:

- Podporządkuję się we wszystkim decyzjom Kościoła.

Potem zrozumiałam, że powinnam powiedzieć: decyzjom Ojca świętego. Wielki był mój błąd.

Ks. bp Fava, chcąc się dowiedzieć, dlaczego dostojnicy; których najął na adwokatów, nie zostali wpuszczeni, wyszedł z gabinetu. Pozostawszy sama, wyraziłam wobec kardynała Ferrieri zdziwienie z powodu otwartego buntu biskupa Fava przeciw decyzjom Ojca świętego.

On zaś mi odpowiedział:

- Cóż siostra chce? Każdy biskup francuski jest papieżem! Musimy ich oszczędzać, aby nie spowodować schizmy. Oni nie są papistami rzymskimi. Znosimy ich, aby uniknąć wielkiego zła. Ach, gdyby siostra wiedziała, ile my się nacierpimy z powodu nich!

Aby ułatwić zrozumienie dalszego ciągu tego sprawozdania z kongresu, uważam za konieczne powiedzieć, że wtedy od kilku miesięcy, dwóch lub trzech dobrych kapłanów, pragnących oddać się Dziełu Apostołów Ostatnich Czasów żyło wspólnie na pierwszym piętrze w tym samym pałacu co my. Myśmy mieszkali na drugim. Wydaje mi się zbyteczną rzeczą mówić, że wszystko działo się z błogosławieństwem ks. biskupa Petagna chwalebnej pamięci. Przez dwa lub trzy lata czynsz za to piętro płaciłam z subsydiów, które otrzymywałam dla dzieła Matki Bożej.

Ci dobrzy ojcowie żyli w odosobnieniu, pokucie, poświęcając się studiom sakralnym. Do nas przychodzili tylko na posiłki. Jeden z nich żyje dotąd, w razie wątpliwości można więc zwrócić się do niego z zapytaniem.

O tym wszystkim nic nie mówiłam biskupowi Grenoble, gdy był u mnie w Castellamare di Stabia, ani nawet nie naprowadzałam go na domysły w tym

względnie, myślę jednak, że przebiegły o. Berthier nie tracił czasu, kiedy ja rozmawiałam z biskupem i że o różne szczegóły wypytywał domowników, a także inne osoby, a ci w najlepszej wierze udzielali mu potrzebnych informacji.

Oto dlaczego - gdy kardynał Ferrieri wstając dawał do zrozumienia, że narada się skończyła - ks. Bianchi rzekł:

- Nieprawdaż, Eminencjo, że nie trzeba przeciwstawiać ołtarza ołtarzowi? Mówią, że Melania ma księży, podczas gdy są dobrzy misjonarze na górze la Salette, a więc ona wznosi ołtarz przeciw ołtarzowi.

- O, nie! - odpowiedział po prostu Eminencja, ja zaś oświadczyłam:

- Księżę pałacie, nie myślę, żebym przeciwstawiała ołtarz ołtarzowi. Ojcowie saletyńscy są misjonarzami w la Salette, a kapłani włoscy są misjonarzami Matki Bożej i zachowują Jej regułę.

- To źle, bardzo źle, nie trzeba tego robić! - powiedział ks. Bianchi.

Po tych słowach rozeszliśmy się. Kongres się zakończył.

Jak zwykle przybył do naszego hotelu o. Berthier, aby zasięgnąć wiadomości o nas. Następnego dnia przybył po mnie z polecenia biskupa Fava. Ekszelencja mieszkał w seminarium francuskim i chciał żebym je zwiedziła. Wprawdzie kobiety nigdy tam nie wchodziły, ale czyż biskup Grenoble nie wyższy nad wszystkie regulaminy? O. Berthier myślał zapewne, że sama z nim pójdę, ale moi towarzysze nigdy nie odstępują ode mnie. Wchodzimy do rozmównicy, gdzie biskup czeka na nas. Gdy tylko spostrzegł, że nie jestem sama z o. Berthier, na jego twarzy uwidoczniło się niezadowolenie.

- No dobrze, jesteście. Proszę poczekać chwilkę: poproszę superiora o pozwolenie na zwiedzenie seminarium przez siostrę.

To rzekłszy oddalił się. Ja zaś myślałam sobie: On nie uzyska pozwolenia dla mnie, wszak tu się znajduje ten dyrektor czy profesor, który nie wierzy w la Salette. Ekszelencja powraca. Po jego chodzie poznaję, że nie jest zadowolony. Mówi coś zniżonym głosem, następnie podchodzi do mnie, odciąga mnie na stronę i pyta, co mam powiedzieć papieżowi.

- Nic nie wiem, Ekszelencjo, to będzie zależało od tego, co mi powie lub czego zażąda Ojciec święty.

- Ale przecież siostra powinna wiedzieć coś nie coś z tego, o czym papież będzie mówił...

- Nie wiem, Ekszelencjo.

- Ach, nie pouczono siostry, siostra więc nie wie, że papież nie jest taką osobą jak każda inna, że trzeba przemyśleć, przygotować wszystko, co ma się mu powiedzieć.

- Nie wiedząc, o czym Ojciec święty raczy ze mną rozmawiać, nic nie mogę obmyślać, cała się zdaję na wolę Bożą".

(Wariant redakcji Combe: - "Gdyby Papież powiedział, że byłoby rzeczą pożyteczną, aby siostra zajęła się założeniem żeńskiego zgromadzenia zakonnego, czy siostra czułaby w sobie uzdolnienia potrzebne do tego?

- Ekscelencjo, jestem gotowa robić to wszystko, co Ojciec święty poleci mi robić, a gdyby Jego Świątobliwość nakazał mi robić coś, co jest ponad moje siły i mój talent, Pan Bóg pewno dostosowałby do tego moje siły i mój talent. Zresztą nie mam zwyczaju trapić się tym, co może mi być powiedziane, a jeszcze mniej tym, co mam odpowiedzieć. Wystarczy, gdy będę posłuszna na każde skinienie wieczystej mądrości.

- Czy siostra sądzi, że jest istotą na tyle ważną, aby Bóg zajmował się siostrą, a nade wszystko aby siostrze mówił, co siostra ma odpowiedzieć?

- Ekscelencjo, proszę mnie łaskawie poprawić, jeśli jestem w błędzie, ale dla mnie prawdą wiary jest, że Najwyższy zachowuje i wspiera każde ze swych stworzeń tak, jak gdyby ono było samo jedno na świecie.

- Dobrze, dobrze, moja Córko, ale proszę mnie posłuchać...).

Proszę mnie posłuchać. Mam kilka banknotów stufrankowych na drobne potrzeby siostry. Gdyby papież chciał coś polecić siostrze, proszę odpowiedzieć, że robi siostra tak, jak będzie chciał biskup z Grenoble. A gdyby papież polecił siostrze pójść tam a tam albo zrobić to a to, siostra powie: Chcę pójść tam, gdzie biskup z Grenoble każe mi iść, chcę we wszystkim zależeć od biskupa z Grenoble, który jest moim prawdziwym przełożonym. A te banknoty są na osobiste potrzeby siostry...

- Ekscelencjo, powiem Ojcu świętemu tylko to, co moje sumienie dyktować mi będzie w chwili, kiedy będę miała tę niezmierną łaskę rozmawiania z nim. Rozumowanie Ekscelencji jest dobre, ale nie dla mnie.

Po tych słowach biskup schował starannie banknoty, które mi ofiarowywał, lecz które stale trzymał na brzeжку portfela. Natychmiast rozeszliśmy się i już nikt nie przychodził po wiadomości o nas.

Od tego dnia nie widziałam już ani biskupa z Grenoble, ani o. Berthier".

"Wydaje mi się, że to 3 grudnia 1878 roku Ojciec Święty Leon XIII obdarzył mnie łaską audiencji.

Ojciec święty przyjął mnie z dobrocią i powiedział poprawną francuszczyzną:

- Dobrze, siostra natychmiast pójdzie na górę la Salette z regułą Najświętszej Dziewicy oraz nakłoni kapłanów i zakonnice do jej przestrzegania.

Te słowa Ojca świętego potwierdziły moje przekonanie, że on jeszcze nic nie wiedział o tym, co się działo na kongresie. O tym kongresie rozmawiałam z J. Em. kardynałem Guidi przed udaniem się do Watykanu:

Odpowiedziałam Ojcu świętemu:

- Czymże ja jestem, Ojcie święty, żeby miało mnie spotkać to wyróżnienie?

- Tak, mówię siostrze: pójdziecie z ks. biskupem z Grenoble i nakażecie zachowywać regułę Najświętszej Dziewicy.

- Ojcie święty, niech mi wolno będzie powiedzieć, że ci kapłani i te zakonnice już od dawna żyją życiem bardziej niż świeckim i że będzie im bardzo trudno nagiąć się do reguły pokory, wyrzeczenia. Wydaje mi się, że łatwiej by było założyć nowe zgromadzenie składające się raczej z ludzi świeckich dobrej woli, aniżeli z tych wszystkich, co są na górze.

- Proszę posłuchać, pójdziecie tam z regułą Najświętszej Dziewicy i zapoznacie ich z nią. Tych, co nie będą chcieli jej zachowywać; biskup pośle do jakiejś parafii.

- To bardzo dobrze, Ojcie święty.

- Pojedzie więc siostra, a pojedzie niezwłocznie. Ale - jak zwykle - jeśli dobry Bóg raczy dać regułę życia zakonnego, daje także, udziela tej samej osobie ducha, w jakim należy przestrzegać tej reguły. Gdy więc siostra będzie w Grenoble, zanim uda się na górę, napisze objaśnienia i przyśle mi je.

- Och, Ojcie święty; proszę mnie nie posyłać do Grenoble, pod władzę ks. biskupa Fava, ponieważ nie będę miała wolności działania.

- Jak, jak to?

- Ks. bp Fava nakazałby mi pisać tak, jak sam chce, a nie jak chce Duch Święty.

- Ależ nie, nie. Siostra sama się zabierze w osobnym pokoju i napisze. Gdy siostra napisze dużo stron, mnie je przyśle.

- Ojcie święty, proszę mi wybaczyć, jeśli ośmielę się przedstawić swe trudności. Otóż gdy napiszę dwie strony, ks. biskup z Grenoble nakaże mi je wręczyć jemu i, pod pretekstem ulepszenia, pozmienia wszystko i poleci wszystko na nowo napisać.

- Och, ależ nie! Oto jak siostra robi: gdy siostra zapisze cały arkusz, sama włoży go do koperty; zaklei ją dobrze i napisze mój adres tak: Jego Świątobliwość

Papież Leon XIII, to znaczy ja (w tym miejscu Ojciec święty położył rękę na swej piersi).

- Ojciec święty, proszę mi wybaczyć, jeśli znowu się ośmielę ujawnić odrazę, jaką w sobie czuję; do pisania pod władzą ks. biskupa z Grenoble. Ekszelencja otworzy moją kopertę; pozmienia moje pisma i każe innej osobie przepisać te przeróbki tak, że to już nie moje pisma dotrą do Waszej Świątobliwości.

- Ach, nie; nie! Biskup z Grenoble nie robi tego!

- Ojciec święty, ja już przeszłam jego szkołę: stary wąż nigdy nie śpi.

- Jak więc robić?

- Proszę mnie posłać, Ojciec święty, do każdego innego kraju; byle tylko nie pod władzę biskupa grenobelskiego.

- Co robić? Wydałem już zarządzenie, że siostra pójdzie na górę la Salette, aby narzucić kapłanom i zakonnikom regułę; którą Najświętsza Panna dała siostrze i że zanim tam się uda, napisze konstytucje, które mi przyśle: A siostra wie, że gdy papież wyda zarządzenie, nie może go odwoływać.

- Ojciec święty, Pan nasz Jezus Chrystus powierzył Ci wszelką władzę na ziemi, abyś rządził Jego Kościołem, otóż ziemia jest rozległa; aby móc znaleźć na niej odpowiednie miejsce...

(Wariant w piśmie dla ks. Combe: "Ojciec święty, proszę mi wybaczyć; że śmiem jeszcze mówić. Ty jesteś Głową Kościoła Bożego, masz klucze do otwierania i do zamykania. Pan nasz Jezus Chrystus jasno powiedział, że nie pójdzie do Jerozolimy na święta Paschy, a jednak poszedł").

- Niech siostra się modli dziś wieczorem i jutro. O swej decyzji powiadomię siostrę.

Ojciec święty zdecydował, aby pozostała w Rzymie w celu napisania konstytucji umożliwiających stosowanie reguły. Za rezydencję wyznaczono jej klasztor sióstr salezjanek na Palatynie. Na polecenie papieża zaprowadził ją tam kardynał Ferrieri ze swym nieodstępnym sekretarzem, ks. Bianchi.

W pewnym momencie została wezwana przez kardynała. Wtenczas "weszliśmy do hotelu - pisze ona i tam, będąc sama z dobrym kardynałem Ferrieri, usłyszałam z jego ust potwierdzenie tego, co już sama słyszałam, mianowicie, że Ojciec święty życzy sobie, abym nikogo nie przyjmowała, w przeciwnym bowiem razie nieustanne wizyty Rzymian, których ciekawość jest wielka, uniemożliwiłyby mi pisanie. Jego Świątobliwość życzy sobie również, żeby wolno mi było pisać listy i wysyłać je w kopertach zamkniętych, jak również otrzymywać listy bez czyjejkolwiek kontroli...".

Melania dysponuje jednak tylko celą podobną do cel zakonnic: jej drzwi są bez klucza, wewnątrz nie ma żadnego mebla zamykanego na klucz. Przełożona klasztoru dostosowuje się do instrukcji Watykanu, ale listy i paczki Melanii przychodzą do klasztoru otwarte.

Matka od Ofiarowania, wysłana do Castellamare, aby przysłać Melanii bieliznę i zeszyty; w których już zaczęła redagować konstytucje, donosi jej, w liście pisanym greką nowożytną, że wszystko przechodzi przez "czarny gabinet" ks. Bianchi. Wykiwano nawet kardynała Guidi, który podjął się otrzymywać i wysyłać pocztę Melanii; list, który w dniu kongresu posłał on Ojcu świętemu, aby go poinformować o rozstawieniu pułapek wokół reguły i konstytucji, nigdy nie dotarł do odbiorcy...

Tymczasem Melania zabrała się do pracy zleconej przez Ojca świętego, pracy, której nic nie ułatwia, a która mimo wszystko zostanie ukończona 5 stycznia następnego roku. Ks. Bianchi bardzo często przychodzi po wiadomości o niej, zaleca, aby ją zobowiązywano do uczestnictwa w oficjum, do długich przechadzek po Palatynie, między ruinami pałaców cesarów, aby lampę w jej celi zaopatrzone tylko na jedną godzinę świecenia wieczorem.

W Rzymie i w diecezji Grenoble krążą o niej pogłoski jak najbardziej fantastyczne i niepoehlebne: a więc przyznała się papieżowi, że nic nie widziała na górze la Salette; okazała papieżowi nieposłuszeństwo i została ekskomunikowana; teraz siedzi gdzieś w więzieniu rzymskim albo może zamknięto ją gdzieś w klasztorze klauzurowym, z którego nigdy nie wyjdzie... Jeden z misjonarzy w la Salette Bernard, przysyła jej list, w którym jej wyrzuca nieposłuszeństwo względem papieża.

Ona zaś dzielnie przeciwstawia się wszystkiemu, ale podupada na zdrowiu. Jedna z salezjanek, s. Placydia; która nie umiała swych słów owijać w bawełnę, ośmiela się mówić swej przełożonej, że Ojciec święty powierzył jej Melanię w dobrym zdrowiu, a teraz ona wygląda jakby z grobu wstała. Zaniepokojona mateczka pisze do kardynała Ferrieri i oto papież wydaje polecenie, aby Melania powróciła do swego Castellamare. Ale konstytucje są już napisane, oczywiście po włosku. Przekazała je kardynałowi Ferrieri, sama jednak mogła się widzieć tylko z ks. Bianchi.

"Były intrygi, mogłam to zauważyć - pisze Melania 19 listopada 1894 do p. Schmida. - Przede wszystkim ci monsiniorzy nie zastosowali się do polecenia Ojca świętego, który powiedział: "Chcę, żeby ona była wolna i to całkowicie wolna". Wszystko robiono, aby mnie zmusić do zostania wizytką. Listy, które przełożona pisała do Ojca świętego, aby mi polecił wyjechać, nie docierały do niego... Byłam bardzo zdziwiona, gdy Ojciec święty kazał mi powiedzieć, że mogę powrócić do Castellamare i gdy ks. Bianchi przyszedł do rozmównicy, aby

to powtórzyć, prosiłam go o łaskę widzenia papieża. Ta prośba zaniepokoiła go. Gdy początkowo pytałam się go o zdrowie Ojca świętego, odpowiedział mi, że dobrze się czuje, a teraz mówi, że jest w niedyspozycji. Wtedy odrzekłam, że pragnę porozmawiać z nim, zaczekam kilka dni. On zaś odparł, że byłoby to bezcelowe, bo papież jest cierpiący i nie wyzdrowieje tak prędko... Gdybym miała wyjaśnić, dlaczego papież zmienił uczucie i wolę, nie mogłabym tego powiedzieć. Moje osobiste przekonanie jest, że musiano wobec papieża rzucić na mnie oszczerstwo. Ks. Bianchi i ks. Fava musieli uknuć spisek... Na sądzie ostatecznym poznamy wszystkie te knowania w celu zagaszenia światła...".

POWRÓT DO CASTELLAMARE:

OPUBLIKOWANIE SEKRETU

Nie uzyskawszy, więc audiencji, zrezygnowana, wraca Melania do Castellamare. Ks. bp Petagna zmarł właśnie przed miesiącem, 15 grudnia 1879. Grupka księży pragnących założyć Zakon Matki Bożej rozproszyła się. O. Fusco wyjechał do jednego z domów swego zakonu. Wszelkie zapomogi dla Melanii zostały cofnięte. Nowy biskup Castellamare, ks. Sarnelli; zaprzestał płacić czynsz za pałac Ruffo, Melania musiała więc przeprowadzić się na Scanzano, wiejskie przedmieście Castellamare, położone na stoku góry.

Jednakże ks. Zola w niczym nie zmienił swego ustosunkowania się do niej. Pod jego nadzorem i z jego imprimatur drukuje się w Lecce integralne opowiadanie pasterki o objawieniu łącznie z sekretem i wreszcie 15 listopada 1879 r. broszura ukazuje się w sprzedaży.

Wydaje się, że biskup Zola nie wątpił w możliwość uzyskania aprobaty rzymskiej. Wiedział, że gdyby nie śmierć biskupa Petagna, broszura pasterki ukazałaby się w samym Rzymie. Dnia 26 października 1878 r. Melania pisała do ks. Brandta: "Jeden z kardynałów, gdy go poinformowano o moim zamiarze wydrukowania całego opowiadania faktu saletyńskiego, zawyrokował: Niech s. Maria od Krzyża przyśle mi tutaj całość z podpisem ks. biskupa Petagna, potwierdzającym; że to jej pismo, a ja dopiszę na końcu kilka zdań i zajmę się wydrukowaniem tego tutaj w Rzymie.. i nikt nie będzie miał nic do powiedzenia".

Istotnie, publikacja w Lecce; mała bezpretensjonalna broszurka nie budzi - zarówno jak reguła - żadnego sprzeciwu kongregacji rzymskich. Co więcej, konstytucje napisane przez biskupa Fava bada się z powolnością naprawdę rzymską, bo - uzyskawszy sobie klasyczny *decreto di lode* już 27 maja 1879 - w roku 1909 zostaną zatwierdzone na lat dziesięć, a na czas nieokreślony, czyli definitywnie, dopiero 7 czerwca 1929 r.

Aby zrozumieć coś nie coś z tego, co musiało się dzieć w następnych miesiącach, trzeba by znać korespondencję, którą wymienili między sobą ks. biskup Fava i ks. Bianchi. Trzeba by także znać stan umysłu pewnej liczby biskupów francuskich, których bardzo niepokoiły podboje laicyzmu oraz groźby sekularyzacji i którzy, zatrwożeni groźnym ostrzeżeniem sekretu, sądzili, że nie była to stosowna pora opublikowania skierowanych pod adresem duchowieństwa wyrzutów mogących służyć za odskocznię do tym zaciętszych ataków na Kościół.

Oni to na pewno zaalarmowali otoczenie Leona XIII: "Niektórzy biskupi francuscy, między innymi biskup z Nimes, i inni, nie przypominam sobie z jakiej diecezji, napisali do Świętej Kongregacji Biskupów i Zakonników, grożąc, że jeśli nie wycofa się tej książki, tzn. broszury wydanej w Lecce, z rąk wiernych i jeśli nie zakaże się propagandy książek tego rodzaju, to cała Francja zaprzestanie wysyłać świętopietrza" (z listu do panny Vernet z 20 lipca 1894).

Nie trzeba było więcej, aby skłonić kurię rzymską do większej życzliwości względem biskupów francuskich. Wiemy, że wówczas coraz bardziej zaznaczała się dążność katolików do opowiadania się za programem republikańskim wszędzie, a zwłaszcza we Francji, tak długo i tak uparcie gallikańskiej, której episkopat związany był z Kościołem rzymskim tylko cienką nicią - jak mówiła Melania.

Nic więc dziwnego, że chociaż żaden prefekt kongregacji rzymskiej nie interweniował, to jednak półoficjalnie pisma wzywają Melanię, aby już nie pisała, a jej protektorów i przyjaciół, aby już nie rozpowszechniali jej pism. I tak np. kardynał Caterini, sekretarz Świętego Oficjum, prosi księdza Sarnelli, biskupa Castellamare, aby zakazał Melanii pisać czy też komentować to, co już napisała. Nawet ks. bp Zola otrzymał naganę. "Proszę to traktować jako poufne - pisze potem Melania (31 marca 1895 do p. Schmida). Otóż w roku 1880 lub 1881 kardynał Caterini napisał do ks. biskupa Zoli, aby mnie nie spowiadał ani też nie kierował mną na drogach duchowych. Wtedy biskup Zola udał się do Rzymu do kardynała, powiedział mu, że otrzymał jego list, i podziękował za niego, a następnie dodał, że idzie do Ojca świętego, aby zrzec się biskupstwa. "A to dlaczego?" - zapytał Caterini. "Skoro nie mogę kierować duszą prostej kobiety, takiej jak pasterka z la Salette, to jestem o wiele mniej zdolny kierować tak wielką diecezją jak diecezja Lecce. - "Księżę biskupie, błagam Was, zaoszczędźcie tego smutku Ojcu świętemu, który już i tak tyle cierpi; proszę mi przyrzec, że nie sprawicie mu tego wielkiego smutku! Napisałem ten list zmuszony okolicznościami. Proszę popatrzeć na stół, na te stosy listów codziennie przychodzących z Francji przeciw Melanii. Mówi się, że ona ma za

dużo wolności, że pisze rzeczy, które przerażają; zaklina się nas, abyśmy położyli tamę tym zaburzeniom, które wywołuje jej książka...".

"Gdy przybyłam do Lecce - ciągnie dalej Melania - ks. bp Zola zapytał mnie: Czy siostra chce się spowiadać? Proszę więc do kaplicy i wyspowiadał mnie i zawsze spowiadał, dopóki pozostawałam w Lecce".

Później Melania zanotowała, według tego, czego mogła się dowiedzieć w Rzymie, że prefekci kongregacji, ani nawet Ojciec święty, nie wiedzieli o tym liście Cateriniego; wydaje się, że tego domagało się jakieś stronnictwo. Ostatecznie ks. biskupa Zolę podobnież przeproszono, a kardynał Caterini nie miał spokojnego sumienia z powodu listu - tak kończy Melania (w liście do ks. Brandta z 14 grudnia 1880).

Jednakże rezultat osiągnięto. Będąc posłuszna, Melania zaprzestała pisać i mówić. Gdy będzie się wywierać na nią nacisk, aby opisywała swe "widzenie", odpowie: "Trudno będzie dobremu ks. kanonikowi uzyskać pozwolenie, abym mogła pisać o straszidłach, jak mówią kardynałowie. Co do mnie, chcę być uległą świętemu Kościołowi Bożemu; "Kto was słucha, mnie słucha" - powiedział Boski Mistrz. List Cateriniego zdaje się objawiać wolę Ojca świętego, gdy poleca księdzu Sarnelli, biskupowi Castellamare, aby mi zakazał pisać o podobnych rzeczach oraz dawać wyjaśnienia o tym, co już powiedziano... Jeśli ks. kanonik może się upewnić, że Ojciec święty nie wiedział o liście Cateriniego, to będę miała wolność pisania i będę pisała" (do p. Schmida, 25 lipca 1896).

W tej chwili sytuacja nie pozwala dokonać we Włoszech próby założenia Zakonu Apostołów Ostatnich Czasów.

Jednakże kilku zakonników i zakonnice zastosowało w praktyce regułę saletyńską i stworzyło dzieło pod nazwą *Il boccone del Povero* (kąsek ubogiego), które się rozwija w Palermo na Sycylii.

Teraz z kolei we Francji dzięki darowiźnie księdza Ronjon są pewne szanse założenia zakonu. Jego apele i pragnienie jej matki, chorej staruszki, która powróciła do Corps, skłaniają Melanię do wyjazdu do Francji.

Najpierw prosi z szacunkiem papieża o pozwolenie na opuszczenie Castellamare i przekroczenie granicy. Uzyskawszy je, wyjeżdża. Nieobecność jej nie będzie długa (od 20 maja do 20 czerwca 1882). Chudy portfel nie pozwalał jej podróżować do woli.

PODRÓŻ DO FRANCJI. CHALON

Melania wyrusza ze swą natrętną towarzyszką, matką od Ofiarowania. Dwie młodsze siostry Melanii zawarły związek małżeński: jedna, Julia Oddos, mieszka w Marsylii; jej mąż, robotnik i wolnomyśliciel, jest synem rodziców nieślubnych;

ich małżeństwo jest nieszczęśliwe; Maria Guignier, osiedliła się w Lyonie. Listy Melanii do ks. Brandta dokładnie opisują tę podróż wraz z jej etapami.

Melania zatrzymuje się kilka dni w Marsylii, następnie jedzie odwiedzić swą matkę w Corps; 29 maja spędza kilka godzin na świętej górze u stóp Dziewicy Płaczącej. Dnia 7 czerwca jest w Lyonie u swej siostry Marii Guignier (20, rue Mazenod) i stamtąd 12 i 13 czerwca udaje się do księdza Ronjon w Châlon-sur-Saône. Liczyła, że przybędzie tam ks. kanonik de Brandt. Może przewidywała, że będzie on pierwszym przełożonym generalnym Apostołów Ostatnich Czasów. W każdym razie była przekonana, że ma on wszelkie kwalifikacje do układania się z ks. Ronjon o przeznaczenie jego kaplicy, ona zaś - jak sama się wyrażała - "nadawała się tylko do tego, aby wszystko psuć", chciała więc usunąć się w cień. Tymczasem ks. Brandt wymówił się. Ona jednak nie traci nadziei i w liście wysłanym 9 czerwca z Lyonu nalega: "Wydaje mi się, że Ksiądz mógłby jeszcze przybyć. Wyruszamy w niedzielę po południu, przyjechałby Ksiądz do Châlon we wtorek 13 czerwca, ks. Ronjon byłby tak zadowolony, my również". Daremne naleganie. Stary już, święty kapłan nie miał dość zapału w godzinach rozstrzygających. "Kim jest ten ksiądz de Brandt? - zapytał pewnego razu redaktor Schmid. - Kim jest ks. de Brandt? - podejmuje pytanie Melania. - Jest to kapłan, który dwa razy przybył do Castellamare złożyć mi wizytę i który okazał się gotów umrzeć dla sprawiedliwości. Prosiłam go, aby się starał o powołania, ale powołania prawdziwe. Wszystko szło dość mizernie, ponieważ nic jeszcze nie cierpiał" (z listu do p. Schmida z 11 czerwca 1894).

Jeśli - jak napomyka Melania - ks. Ronjon tak gorąco pragnął, aby przybycie ks. kanonika Brandta zbiegło się z jej wizytą, to dlatego, że śmierć jego starego przyjaciela i biskupa, księdza de Margerie, oraz niedawne objęcie diecezji Autun przez ks. biskupa Perraud przynaglały go, aby zapewnił sobie następcę.

Ks. bp Perraud miał wówczas 54 lata. Profesor nadzwyczajny historii w Sorbonie za cesarstwa, wymowny oratorianin, przyjęty do Akademii Francuskiej w tym samym roku; co do episkopatu; wkrótce wybrany na przełożonego generalnego oratorianów i w końcu mianowany kardynałem, był on jedną z najwybitniejszych postaci francuskiego kleru. Wielkie zalety jego umysłu i jego surowa pobożność, ukształtowana pod kierownictwem ojca Gratry, jego powaga i zwyczaj zamykania się w sobie, zjednywały mu szacunek zmieszany z lękiem. Miał on opinię świętego. Gdy tylko objął diecezję, poinformowany o wieku i sytuacji księdza Ronjon, polecił zaproponować mu kupno jego własności na korzyść oratorianów, których by osadził w Châlon.

Ks. Ronjon jednak uchylił propozycję, gdyż już wcześniej przekazał prawnie swą własność Melanii. Biskup Perraud, przybywszy do Châlon, spotkał się z ks. Ronjon i radził mu zwrócić się do prawnika, by złamał akt cesji i "oswobodził go

od tego wszystkiego". Ks. Ronjon odmówił i stawiał opór życzeniom swego biskupa. Wtedy dnia 15 kwietnia 1882 r. (zaledwie dwa miesiące przed wyjazdem Melanii) biskup Perraud zarejestrował we właściwym urzędzie oświadczenie, które podpisało pięciu duchownych z Châlon, a z którego wynikało, że ks. Ronjon w okresie obsługiwaną kaplicy zebrał 30.000 franków subskrypcji i darów w celu odrestaurowania i utrzymania kaplicy, że wobec tego nie ma prawa nią dysponować, gdyż jest ona własnością nie jego, lecz władz diecezjalnych.

Pocziw i prostoduszny ks. Ronjon uwikłał się w sytuację dwuznaczną. Broniąc swych słuszych praw właściciela, żywił jednocześnie zamiar - podyktowany swym kapłańskim zapałem - ufundowania nowej parafii i przemianowania swej kaplicy na kościół parafialny. Ale wtedy kaplica przeszłaby pod zarząd ministerstwa wyznań, a dochodami z niej dysponowałby biskup.

Starzec wyczuwał niebezpieczeństwo, ale niejasno, i nie wiedział skąd ono przyjdzie. Aby się od niego uchronić, zaprosił Melanię i ks. Brandta.

W nieobecności księdza Brandta wręczył ks. Ronjon Melanii odpis swego testamentu z 11 stycznia 1877 r., ustanawiając ją swą spadkobierczynią, a zobowiązując tylko do troszczenia się o stałą obsługę kaplicy i do podtrzymywania jej charakteru publicznego. Dał jej też 13 obligacji rentowych rzymskich, które po śmierci Melanii miały wrócić do kaplicy. Melania nadto zobowiązywała się - aktem prawnym wystawionym 26 lutego 1883 r. w Castellamare oddać kaplicę i obligacje diecezji Autun, gdyby domniemany zakon Matki Bożej nie został założony, lub gdyby przestał istnieć.

W tym wszystkim Melania uważała się tylko za przejściowego depozytariusza. To nie jej, ale Matce Bożej należą się te dary i dlatego bardzo jej zależy na tym, aby były całkiem dobrowolne. "Ksiądz wie - pisze ona do ks. Ronjon 6 grudnia 1880 - że uważam Księdza za swego ojca i że pod każdym względem chcę postępować zgodnie z Jego intencjami... a także być bardzo sumienną, ponieważ dążymy do wieczności". Podobnie pisze później (w marcu 1887 r.), gdy pod wpływem wymagań biskupa biednym księdzem targają skrupuły: "Ksiądz ma zupełną swobodę robić ze swoją własnością to, co się Księdzu podoba, i zostawić ją temu, kto - zdaniem Księdza - przysporzy Bogu więcej chwały... Proszę zabrać to, co Ksiądz dał Niepokalanej Dziewicy, ja jestem tylko strażniczką Jej własności". Tak było istotnie, gdyż Melania podjęła tylko około 500 franków renty z papierów ks. Ronjona, 2100 franków pozostało dla niego. Jednakże, aby "być bardzo sumienną", Melania - na wypadek, gdyby miała wkrótce umrzeć, a gdyby jednak Zakon Apostołów Ostatnich Czasów okazał się instytucją trwałą - sporządza testament, w myśl którego posiadane przez nią w depozycie obligacje i ich renty mają przejść na księży de Brandta i Roubaud.

CZĘŚĆ TRZECIA

INTELLIGENTNA WSPÓŁZAŁOŻYCIELKA

POWRÓT DO CASTELLAMARE

20 czerwca 1882 r. Melania powróciła do Castellamare albo raczej do Scanzano (ale Scanzano jest obsługiwane przez dyliżans poczty Castellamare). Była rozczarowana, ale spokojna. Tak bardzo opierała się złudzeniu co da możliwości prędkiego założenia zakonu Matki Bożej, że 25 czerwca pisała do ks. kanonika Brandta: "Ze względu na to, że zły rząd francuski prześladowuje Kościół, trudno będzie kapłanom zgromadzić się i żyć wspólnie. Jest to panowanie szatana na ziemi, a dzieje się to z naszej winy. Wobec tego myślę, że zamiast zakładać domy zakonne, lepiej jest zakładać i pielęgnować w naszym sercu prawdziwe cnoty chrześcijańskie i zakonne". Nieco później (23 listopada 1882 r. w liście do tego samego adresata) powraca jeszcze do tematu: "Porzućmy myśl fundacji zakonnej i niech każdy powołany do zakonu Matki Bożej stanie się apostołem swego środowiska, czekając na godzinę, kiedy będzie mógł stanąć w szeregach armii, gotowej do boju... Ilu Was jest? Myślę, że nie ma Was nawet pięciu, aby przedstawić pięć ran Jezusa Chrystusa i mieć powód dość mocny, aby skłonić Ojca świętego do udzielenia błogosławieństwa nowemu dziełu".

Ilu więc ich jest i co to za jedni? Ks. Roubaud jest niemal zawsze chory. Niejaki ks. Rigaud z Limoges zatopił się w polityce. Inny zacny kapłan, ks. Le Baillif, jest za bardzo zaabsorbowany różnego rodzaju działalnością... Dużo jest powołań, ale nie są one mocne.

Mała grupka siostr zakonu Matki Bożej skupia się wokół ks. Guyot, proboszcza w Pierre, diecezji Nancy. Zajmują się one pielęgowaniem starców i zachowują regułę Matki Bożej. Aby uniknąć wglądu pasterki z la Salette, której się bano, ks. kanonik de Brandt zapisał ten mały dom na swoją własność. Ale i tym razem wszystko skończyło się na rozczarowaniu. Po dwu latach ks. Guyot nie da o sobie znaku życia. Podejmie inicjatywy niebezpieczne i wszystko załamie się w sposób pożałowania godny.

ZNÓW WE FRANCJI

Matka od Ofiarowania zachorowała, lekarze byli zdania, że powinna zmienić klimat. Z Corps dochodziły do Melanii niewesołe wieści: staruszka matka żyje w niedostatku, przy czym córka lęka się o jej wieczność. Postanawia więc wrócić i będzie tam przebywać tym razem osiem lat z rzędu (od sierpnia 1884 do sierpnia 1892). Jak w 1882 tak i teraz prosi Ojca świętego o pozwolenie. Leon XIII pozwala, polecając jednocześnie "ostrożność i rozwagę". Pozwolenie

przekazuje jej z dobrocią 16 czerwca 1884 kardynał Consolini, dołączając 50 franków.

Dnia 22 sierpnia obie podróżne przez Genuę, Modanę, Grenoble (unikając Marsylii, gdzie grasuje cholera) przybywają do matki Melanii w Corps. Matkę od Ofiarowania irytuje szorstki sposób odżywiania się schorowanej kobiety: Prócz tego "tak by pragnęła swego zdrowego powietrza marsylskiego". Wyjeżdża więc tam do swej rodziny, pozostawiając Melanię, która odizolowana śniegiem od reszty świata, spędza jesień i zimę sama, pielęgnując matkę i zajmując się gospodarstwem.

Jednakże ks. bp Zola wyraża zdanie, że ona nie powinna przebywać w Corps: jest za blisko la Salette, ściąga więc pielgrzymów, na co niełaskawym okiem patrzą misjonarze. Prócz tego matka chciałaby powrócić na południe. Melania zatem szuka tam mieszkania - najpierw w Aix-en-Provence. Ale czynsz jest wysoki (od 400 do 500 franków) i przekracza możliwości jej budżetu, chociaż ks. Brandt wspaniałomyślnie dodaje jej 100 franków co trzy lub cztery miesiące.

Ks. de Brandt proponuje przyjąć obie kobiety, ale starszuszka matka - która obecnie ma 80 lat - nie mogłaby odbyć tak dalekiej podróży. Zresztą "nie śmiałabym jej proponować matce - pisze Melania do ks. Brandta 6 kwietnia 1885. - Inna rzecz, że ona nie czuje się zbyt swojo ze mną: patrzy na mnie poniekąd jak na obcą... Same ciernie wokół mnie, a ja muszę milczeć o wszystkim... Niech Bóg będzie błogosławiony za wszystko i we wszystkim".

CANNES I LE CANNET

Milczenie o tym wszystkim, co jest jej droższe aniżeli jej własne życie i niema ofiara, co dzień na nowo rozpoczynana, to obecnie jej obowiązek. Znalazła wreszcie mieszkanie w Cannes. Umieszczono tam "meble konieczne dla tak ubogich jak my" - pisze do ks. Brandta 24 października 1885 - i życie codzienne rozpoczyna się na nowo.

Odwiedza ją o. Fusco, a także ks. Roubaud, który jest proboszczem w niedalekim Vins, departamentu Var. Pojawiają się również inne osobistości, które wytropiły kryjówkę saletyńskiej jasnowidzącej. Oto hrabina z Bourg, czyli księżna Amelia Burbońska, przybywa z podarunkami, pragnąc usłyszeć jakąś przepowiednię, co do możliwości powrotu swej rodziny na tron francuski. Przychodzą też goście bardziej uciążliwi, np. siostra Melanii a ulubiona córka matki ze swym mężem, Wiktoorem Oddos, który pracuje w jednym ze sklepów w Cannes. Straszliwy ten człowiek powraca do swej żony tylko wtedy, gdy zabraknie mu pieniędzy. Raz chciał ją udusić. "Najlepiej by było wcale go nie przyjmować - skarży się Melania księdzu Brandt w liście z 24 października 1885

r. - moja siostra jest również tego zdania; ale on by zabił nas wszystkie: matkę, siostrę i mnie - to bardziej niż pewne. Oto nasze położenie".

Mieszkanie to przygotował Antoni Carlevan, nauczyciel prywatny, z którym Melania prowadziła korespondencję. Aby jej pomóc w pierwszych miesiącach, umieścił u niej swą małą kuzynkę, dziś sędziwą przełożoną sióstr kamedulek w la Seyne (Var), matkę Marię Eymard. Jej wspomnienia zawierają interesujące szczegóły: np. pewnego piątku widziała stygmaty pojawiające się na jej rękach; była z nią razem, gdy Melania udała się z wizytą do ks. André Barbe, proboszcza diecezji Cannes; wyrażano życzenie, aby przede wszystkim odwiedziła pewnego wikarego, księdza Lamberta, którego skrupuły doprowadziły do takiego rozstroju, że musiano go pilnować, aby z rozpaczyny nie targnął się na swe życie. "Oto przyszedł ów ksiądz - pisze matka Eymard - bardzo smutny... Mówi do niego ks. proboszcz, ale jedyną odpowiedzią są tylko znaki przeczenia. Przemawia Melania: ten sam znak. Ona jednak nie zważa na to, mówi dalej: ksiądz robi wrażenie, że jej nie słucha. Melania nachyla się, by popatrzeć mu w twarz i wtedy widzę, że nagle staje się uważniejszy, uśmiecha się, pozdrawia wszystkich głęboko i powraca do pokoju. Ks. proboszcz miał radosny wyraz twarzy, a Melania cała promieniała cichą radością... Niezadługo po tej wizycie ks. Lambert był tak zmieniony, że mógł podjąć swe kapłańskie prace i że powierzono mu funkcję kapelana u sióstr... Melania - notuje dalej matka Eymard - była pociągająca mimo naturalnej surowości swej fizjonomii, pociągająca zwłaszcza swym wzrokiem. Przyjmowała wizyty. Mówiła tylko to, co trzeba było a czasami - zapewne zgodnie z duchem, w jaki przemawiał do niej gość - odpowiadała: "Wszystko napisano" i nic nie mogło jej zmusić do powiedzenia czegoś więcej".

Czasami, gdy bardzo jest przytłoczona bolesnymi przeżyciami, gdy zasmuca ją tragedia życia ludzkiego, prosi ks. kanonika o modlitwy "za dusze, które są igraszką księcia ciemności", i tak w tej atmosferze burz i brutalności prowadzi swe życie ofiary i modlitwy.

Wkrótce odseparowano się od Oddosów. Melania najęła mniejsze mieszkanie: parter domku stojącego na uboczu, zwanego "Domem Marii Klary". Kościoły są daleko, tymczasem ona tak by pragnęła być w pobliżu ks. Brandta: "Czułabym się zbyt dobrze, ale pozwólmmy działać Bogu - niech się dzieje Jego wola w nas" (list z 31 stycznia 1886 r.).

Teraz proszona jest, aby się przeprowadziła do Pierre i zamieszkała w domu zakonnym, który tam się organizuje i w którym ma obowiązywać reguła Matki Bożej Saletyńskiej, ona jednak sądzi, że jej "pierwszym obowiązkiem, wypływającym z natury i sprawiedliwości" jest utrzymywać i pielęgnować swą starą matkę, a zatem pozostawać z nią. Ale koszty utrzymania wzrastają

nieustannie, Melania znów, więc się przeprowadza z Cannes do Cannet de Cannes i mieszka w "Domu Fioupou" (dzielnica Ardissons), którego czynsz jest niższy od poprzedniego. Tutaj będzie przebywać trzy lata wypełnione ciężkimi a często nikomu nie znanymi cierpieniami, które jednak czasami zabarwiają odpowiednio ton jej listów do księży Brandta i Ronjon.

Niepokoje przeżywa również ks. Ronjon: boi się, żeby biskup nie nakazał mu zamknąć kaplicę dla publiczności, nie wie co robić, prosi Melanię, aby się odwołała do Ojca świętego. Ona jednak roztropnie radzi czekać stosownej pory, lecz cierpi z powodu wahań księdza Ronjon oraz niezdecydowania i braku energii księdza Brandta. Przewiduje też katastrofę w Pierre, gdzie przełożona chce jednocześnie być mistrzynią nowicjatu, czego nigdy się nie praktykuje; gdzie trzy postulanki chodzą, dokąd im się żywnie podoba; gdzie nierozważnie angażuje się w 'budowę domów, które należy uznać za przedwczesne; gdzie wreszcie proboszcz pełni rolę podejrzaną. Z bólem przeczuwa, że w stosunku do Kościoła stosować się będzie taktykę wojny podjazdowej i prześladowań, które we Francji osiągną klasztory, parafie i wszystkie dzieła chrześcijańskie. Stary wąż wśliznął się wszędzie - pisze do ks. Brandta 23 grudnia 1885 - do koron i parlamentów, do osobników, rodzin i narodów".

A jak się rozwija życie duchowe Melanii? Zacny ks. proboszcz z Cannet wprowadził zbudował piękny kościół, dedykowany św. Filomenie, ale aby spłacić zaciągnięte długi, urządza kwestę, która oddala go na dwa lub trzy miesiące od parafii. Jeden jedyny wikary obsługuje również inną parafię odległą, do św. Magdaleny przychodzi, więc tylko w niedzielę. Jasnowidząca saletyńska umiera, więc z głodu duchowego, gdyż rzadko może przyjmować Komunię świętą. Cierpi z tego powodu za siebie, ale też za innych: "Ileż dusz spada codziennie do piekła, a my pozostajemy beczynni z rozkrzyżowanymi rękami".

Ale czy tylko duchowo cierpi Melania? Od tego są wszyscy naprawiacze i dekoratorzy, by ją ubierać, stroić w swoje piórka. Ona to tylko urabia sobie pozycję! A jak w rzeczywistości? Popatrzcie, co ona kupuje: gdy przyjdzie na targ, szuka rzeczy najlepszych, najdroższych... Zobaczmy, czy jej szyby są tak mocne jak jej cnota. I oto pewnego 19 września, w rocznicę objawienia, podczas gdy ona się modli, do jej mieszkania wpadają z brzękiem odłamki szyb wraz z kamieniami i zielonymi pomarańczami. Początkowo myślała, że to szatan tak się popisuje, "wkrótce jednak spostrzegłam - nadmienia w tym samym liście - że to moi domownicy, mali chłopcy" (list do ks. Brandta z 23 grudnia 1885 r.).

ŚMIERĆ MATKI

Staruszka matka tak się w końcu przywiązała do Melanii, że nie mogła bez niej się obyć. W roku 1888 zgodziła się uczynić zadość wielkanocnym obowiązkom:

odbyła spowiedź i przyjęła Komunię św. Jednakże kochająca córka stale się niepokoiła o jej ostatnie chwile. Skoro tylko spostrzegła, że zbliżają się jej ostatnie chwile, posłała po ks. proboszcza. Przybył, lecz wahał się czy udzielić jej sakramentu chorych. Wtedy Melania mówi mu: "Na cóż sakrament, gdy chora straci przytomność?". Wówczas kapłan rzekł do matki: "wyspowiadam was". Wszyscy wyszli z pokoju, córka zaś pozostała przy drzwiach, by się upewnić, czy matka się spowiada (już bowiem z trudem wymawiała słowa). Ks. proboszcz odezwał się do niej: "Oskarżacie się ze wszystkich swoich grzechów, nieprawdaż? Tak, dobrze! - brzmiała odpowiedź - Zróbcie tedy akt skruchy, a ja udzielę wam rozgrzeszenia".

"Usłyszawszy to - relacjonuje dalej Melania w liście do ks. Brandta z 25 grudnia 1889 - biegnę do wezgłowia matki (ile to szaleństw popełniłam w swej strasznej obawie o wieczną zatrutę tej duszy!). Odbывая z nią głośno spowiedź generalną, za każdym grzechem mówiłam jej: "Nieprawdaż, mamó, że bardzo żałujesz za to?" Ona zaś zawsze odpowiadała: "Tak, dobrze!". To tak, dobrze miało znaczyć: tak jest rzeczywiście. Następnie pobudziłam ją do bólu za jej przewinienia i do ufności w nieskończone miłosierdzie Boże. Rozumie się, że obecni ludzie byli zdziwieni moją wielką śmiałością. Ale dusza - to cena Krwi Boskiego Odkupiciela. Za dużo jednak mówię o sobie. To modlitwom księdza zawdzięczam wieczne zbawienie tej biednej duszy, nie moja to zasługa".

Matka Melanii odeszła do wieczności 1 grudnia 1889.

POBYT W MARSYLII

Umierając, matka Melanii poleciła jej, aby się zaopiekowała swym starszym bratem, samotnym i głuchym. Dlatego znów odpowiedziała odmownie księdzu Brandtowi, który ją wzywał, by osiedliła się bliżej niego. Aby jednak brat mógł znaleźć jakieś skromne zatrudnienie i aby być w miejscu, gdzie by mogła codziennie mieć mszę św., opuszcza Melania Cannet, a udaje się do swej siostry Oddos w Marsylii (chemin de Saint Barnabé 7). Życie rodzinne... nie zawsze łatwe. Niezadługo szwagier Wiktor daje do zrozumienia, że jest za ciasno. Dla siebie i swego brata zajmuje więc Melania na rok mały odosobniony domek za dworcem (w dzielnicy Blancarde przy bulwarze Atkinson 15). Lecz znów ma daleko do kościoła. Jej brat chciałby wstąpić do Małych Sióstr Ubogich, ale nie jest jeszcze dość stary.

KLASZTOR W RENNEPONT

Wielka pociecha i nowa nadzieja wstępuje w serce Melanii. Oto cztery zakonnice saletyńskie odłączają się od swego domu, by założyć zakon Matki Bożej Saletyńskiej i żyć według Jej reguły. "Wydaje mi się pisze Melania do ks. Brandta 21 czerwca 1890 r., że już mówiłam Księdzu o miejscowej przełożonej

sióstr z la Salette, matce od św. Jana, która żywiła gorące pragnienie znalezienia się w samym środku prawdy, przyjęcia reguły Matki Bożej. Od około sześciu lat prowadziłyśmy ze sobą korespondencję, a raz odwiedziła mnie w Corps. Ojcowie z la Salette, podejrzewając ją o kontakty ze mną, ich zdaniem ulegającą złudzeniom, zwolnili ją z przełożenia i przenieśli do innego domu. Bóg zrządził, że jej nowa przełożona żywiła w sercu to samo pragnienie zostania córką Matki Bożej. Tak więc obie przełożone skierowały do swej przełożonej generalnej i do biskupa prośbę, aby albo całe zgromadzenie przyjęło regułę Matki Bożej, albo pozwolono im odłączyć się". Wymienione zakonnice są przejazdem w Marsylii 7 i 8 lipca 1890 r. Miejskowy biskup przyjął je życzliwie, ale przypomniał im, że do osiedlenia się w innej diecezji potrzebne im jest pozwolenie ordynariusza diecezji ich pochodzenia, tj. ks. Fava, który zapewne go nie odmówi. Ale mają one również zaproszenie do diecezji Langres, gdzie w Maranville-Rennepont - ks. kanonik Roy chce im powierzyć pewne dzieło, licząc się z tym, że ks. Karol Renaut, z tej samej diecezji, ale sam będąc kandydatem do Zakonu Apostołów Ostatnich Czasów, wstawi się za nimi u biskupa, jeśli zajdzie potrzeba.

Czy tym razem ziarno padnie na żyzną glebę i wyda owoc? Melania i teraz nie śmie wyrażać pewności. Wprawdzie matka od św. Jana, pokorna i ofiarna, jest prawdziwą zakonnicą, ale matka od św. Józefa to splot nerwów, nadto nie odbyła nowicjatu i nie zamierzała go odbyć. Zachodzi więc pytanie, czy osoby dobre, pobożne i pragnące czynić dobrze, ale każda na swój sposób i prócz tego nie mające podstawowej formacji, mogą stać się odblaskiem Bożych zamiarów Niepokalanej Dziewicy?

A Francja jest tak chora - na głowę i na serce. August Calvat, starszy brat, który się nudził, odszedł od Melanii i powrócił do Lérins. Gdyby Melania szła za swymi skłonnościami, natychmiast wróciłaby do Włoch. Ale nie. Czeka na decyzję ks. biskupa Zoli. Samotna, zamknęła się w swym nowym miejscu zamieszkania, przy kościele św. Barnaby (6 rue Neuve) na przedmieściu Marsylii i w skupieniu wielkiego postu czeka, nic nie pragnąc i nie chcąc.

PROCES

W tym to czasie spada na nią ten wielki czarny krzyż, którego bezmiar widziała w swym dzieciennym śnie: jest to ostateczna próba jej misji.

List, który dnia 18 kwietnia 1891 r. wysłała pod adresem księdza Ronjon, wrócił się 23 tegoż miesiąca z napisem na kopercie: Zmarł. Istotnie, zmarł już 5 kwietnia.

Melania nie traci czasu na daremne przypuszczenia i zabiegi, dochodzi do istoty rzeczy, do tego, co było samą podstawą życzeń zmarłego, mianowicie, aby

kaplica była zawsze czynna i aby obsługiwał ją członek zakonu Matki Bożej. Píše więc kilka zdań w tej sprawie do ks. kanonika de Brandta w Amiens i do ks. Renaut w Rzymie, posyłając każdemu z nich upoważnienie do działania w jej imieniu.

Dnia 12 maja 1891 obaj pełnomocnicy byli w Châlan-sur-Saône, a nazajutrz w Autun, gdzie przyjął ich biskup Perraud. Już 17 maja ks. Brandt był z powrotem w Amiens, zaniechawszy pertraktacji, które bez wątpienia uważał za bezcelowe. Melania pisze do niego: "Jakże ta podróż musiała księdza znużyć!... A przecież ktoś mógł lepiej od księdza załatwić te sprawy?"

Renaut pozostał, udając, że zamierza obsługiwać kaplicę. Daremne usiłowania, wszystkie przedmioty kultu zostały z niej usunięte. Ostatecznie - ponieważ biskup Perraud zakazał mu celebry w swej diecezji, mimo że miał celebret z Langres - powrócił do Rzymu z zamiarem bronięcia sprawy w Świętej Kongregacji Biskupów i Zakonników.

Zacny ks. Ronjon, chcąc się otoczyć wszelkimi możliwymi gwarancjami, dziwnie zagmatwał sprawy. Trzema kodycyłami, dodawanymi kolejno do testamentu, wyznaczył dwóch jego wykonawców w osobach dwóch kapłanów z diecezji Autun, księdza Dessus i księdza Gautheron. Pierwszy z nich oświadczając, że jest chory, uchylił się od swego obowiązku, drugi wziął wszystko w swe ręce i twierdząc, jakoby w ostatnich momentach ks. Ronjon żałował, że oddał kaplicę Melanii. Występował z zapalem jako rzecznik praw diecezji (wg listu Melanii do panny Vernet z 25 maja 1894 r.).

To nie wszystko. Ks. Ronjon dwukrotnie prosił ks. bpa Perraud, by przesłał do Rzymu jego prośbę o pozwolenie na zdeponowanie w kasie świętopietrza kapitału, którego renta stanowiła dotację kaplicy. Ponieważ biskup nic mu nie odpowiedział, przesłał swą prośbę przez księdza Charles Renaut. Lenn XIII oświadczył, że zakon Apostołów Ostatnich Czasów jest dobrym dziełem i zgodził się na przyjęcie depozytu. Ale sprawa ta zajęła sporo czasu: odpowiedź ks. Folghi, zarządcy dóbr Stolicy Świętej, na prośbę ks. Ronjona nadeszła do Châlon trzy dni po śmierci adresata.

Jeśli prawnie, z punktu widzenia ściśle cywilnego, sytuacja była jasna, bez najmniejszej dwuznaczności; to politycznie - jeśli można tak się wyrazić - konfrontując prawa Stolicy Świętej i prawa biskupie, dawała pole do subtelnych wykrętów i przeróżnych interpretacji i to tym bardziej, że - jak Melania przypomina to księdzu Brandtowi - zgodnie z duchem reguły zakon Matki Bożej powinien zależeć bezpośrednio od papieża, który jest jego prawdziwym przełożonym po Najśw. Maryi Pannie.

Czy Rzym zechce zająć się tą sprawą?

Przez pewien czas zdania w tym względzie były podzielone w kurii biskupiej i wśród prawników w Châlon. Biskup polecił złożyć u adwokata klucze do nieruchomości Ronjona. Dnia 23 kwietnia 1891 r. notariusz wysłał do Melanii oficjalne zawiadomienie o zgonie ks. Ronjona, prosząc ją o wyrażenie jej zamiarów, co do spadku.

Tymczasem ks. bp Perraud polecił zbadać dyskretnie zamiary rzymskie, robił też zabiegi w Świętej Kongregacji Soboru i u nuncjusza w Paryżu, ks. Ratelli. W czerwcu 1891r. nuncjusz w imieniu papieża Leona XIII rzekł się kapitału ks. Ronjona. Teraz rzeczy się wyjaśniły. Jediną przeszkodą pozostawała Melania, biedna kobieta, która zapewne zadowolili się odszkodowaniem i ustąpi. Zwykle zrzeczenie się z jej strony - i wszystko załatwione bez kłopotów.

Ona jednak widziała rzeczy inaczej i na innej płaszczyźnie. "Stanowczo wyrzekam się wyrzekania tego, co przyrzekałam - pisze do ks. Brandta. - Nie odstąpię diecezji Autun ani niteczki z tego, co otrzymałam. Nigdy, przenigdy się nie sprzeniewierzę świętemu obowiązkowi sprawiedliwości... Nie mogę i absolutnie nie chcę odstąpić dóbr danych Matce Bożej przez ks. Ronjona. Ze spokojem i pogodą ducha czekam na moment, kiedy będzie się żądać ode mnie wypowiedzenia się w tym względzie. Modlę się i nie przestaję się modlić, aby Bóg oświecił tych, co potrzebują światła." (listy z 17 maja, 20 czerwca, 13 sierpnia 1891r.).

Będąc - jak zresztą sama się nazywa - córką Kościoła uległa i głęboko "rzymską", nie umie wnikać w skomplikowane arkana procedury, do których nawykli francuscy dostojnicy kościelni dzięki kompromisom konkordatowym. Jako wieśniaczka jest uparcie realistyczna. Nieruchomości Ronjona zostały darowane Dziełu Matki Bożej, wartości ruchome stanowiące zabezpieczenie Dzieła są własnością papieża, który je przyjął. Skoro tylko wykonawca testamentu księdza Ronjona wręczy papieżowi dokumenty zostawione przez zmarłego, Melania ze swej strony wręczy również papieżowi dwanaście obligacji otrzymanych od ks. Ronjona.

Jeśli zaś chodzi o akt zrzeczenia się ze strony jej samej - a przez nią ze strony Dzieła Matki Bożej - to tylko sam papież może tego wymagać. "Jeśli - pisze ona 13 sierpnia 1891 r. do ks. Brandta - papież Leon XIII poleci mi, nakaze wszystko mu oddać wbrew woli ks. Ronjona, wszystko mu oddam, jednakże pod warunkiem, że to polecenie, ten nakaz będzie podpisany jego ręką".

Niezmiernie nieugiętą postawę zachowuje ona wobec ks. Roberta, biskupa Marsylii, który ją dwa razy wzywał (28 marca i 9 czerwca 1892 r.). Biskup czyta wobec niej list łaćniński, skierowany do niego przez Świętą Kongregację Soboru. List ten, bez podpisu, zawiera pochwały pod adresem Melanii za to, że skłania

się dobrowolnie złożyć nieruchomości Ronjona u stóp Ojca świętego, zanim on tego zażąda.

"Ale - i znów zwierza się ks. Brandtowi, 17 kwietnia 1892 r. - ponieważ sumienie moje było niewzruszone, grzeczne słówka mnie nie zaślepiły".

Sprawa zaczyna nabierać rozgłosu w środowiskach kleru. Jeden z ojców z la Salette zwrócił się listownie do ks. biskupa Zoli, aby skierował Melanię do jednego z ich klasztorów. Dzięki temu dobra Ronjona może by się stały ich własnością, a - co ważniejsze - Zakon Apostołów Ostatnich Czasów nie powstałby poza nimi ani przeciw nim. Biskup Zola zachowuje przezorną ostrożność. Niepokoi go jednak fakt, że pasterka stała się przedmiotem tylu intryg, że została wciągnięta w wir walk, w których jej nieugiętą prawość wystawia ją na wielkie niebezpieczeństwa. Niech więc się spieszy, aby jak najprędzej skończyć z tą sprawą spadkową - bardzo prostą, myśli sobie - następnie niech opuszcza Francję i natychmiast wraca do niego. Czy nie uda jej się załatwić tego w ciągu miesiąca? Ale rzeczywistość nie stosuje się do życzeń.

Entuzjastyczny, lecz zmienny, ks. Renaut zdezerterował z pola walki, opuścił Dzieło Matki Bożej i Rzym, "aby zająć się innym królestwem". Nie porozumiewszy się z Melanią, polecił wręczyć klucze nieruchomości biskupowi w Autun (w listopadzie 1891 r.), ale zachował ważne listy i papiery. Co zrobić?

PODRÓŻ DO AMIENS

Melania decyduje się jechać do Amiens, gdzie rezyduje przełożony Apostołów Ostatnich Czasów, ks. kanonik de Brandt. Przebywa tam od dnia 20 maja do 1 czerwca 1892 r. Koszty podróży pokrył jego kuzyn hr. Rougé.

W przejeździe odwiedza siostry w Rennepont. Nie bardzo jest zadowolona z "jaśnie pani przełożonej; matki od św. Józefa", otoczonej służącymi i cierpi z powodu braku ducha zakonnego w klasztorze. Natomiast kler pikardzki buduje ją swą powagą. Ks. kanonik de Brandt przedstawia jej swą siostrę, dobrą panią du Liege; a także kilku księży, m. in. kanonika Hectora Rigaux, proboszcza w Argoeuves.

Proboszcza z Argoeuves pozdrowiła, wymieniając jego nazwisko i powiedziała mu: "Niech Ksiądz nie oddaje do drukarni artykułu, który ma przy sobie; to by się nie podobało Panu Bogu". Był to artykuł (pochlebny) o baronie de Richemont, stronniku Naundorffa, który się podawał za pretendenta do tronu francuskiego.

Potem oddając hołd pobożności i kapłańskiemu zapałowi proboszcza z Argoeuves, Melania napisze o nim: "On goni chimery z tymi swoimi Naundorffami".

Powróciwszy do Marsylii, usprawiedliwia się przed ks. Brandtem, że nic nie umiała powiedzieć pani du Liége. "Czułam się tak dobrze - pisze do niego 4 czerwca 1892 r. - że nie byłam na swoim miejscu... Dopiero w drodze od Dijon do Marsylii odzyskałam swobodę wypowiedzi w towarzystwie sławnej aktorki rzymskiej. Dużo rozmawiałyśmy z sobą. Powiedziałam jej, że ja również mam u siebie teatr, chociaż nie tak niebezpieczny jak jej i że złoto, które zarabiam, umieszczam w banku dającym 1000 za 5, ale z odsetek korzystać będę dopiero po swej podróży. Po przybyciu do Marsylii chciała pójść ze mną... Przrzekła mi nigdy nie opuszczać niedzielnej mszy św."

Wbrew nadziei Melania nie znalazła w Marsylii oczekiwanego listu od biskupa Zoli. Nie mając od niego pouczeń, zwraca się o radę do notariusza i adwokata w Marsylii, działając w myśl ich zaleceń, pisze do swego adwokata w Châlon-sur-Saône, aby wziął pisarza, zażądał kluczy i sporządził z notariuszem inwentarz i wreszcie podjął wszelkie konieczne kroki w celu dojścia do praktycznego i sprawiedliwego rozwiązania. "Wyjeżdżając z Francji - donosi ks. Brandtowi 29 czerwca 1892 r. - nie chciałam zostawić po sobie powikłań i rzeczy nie załatwionych, które w chwili śmierci mogłyby być przyczyną roztargnień, a przecież jak dobrze jest umierać w pokoju i z radością!".

Co zaś do samej sprawy, to gotowa jest czekać na jej załatwienie choćby nawet długo. A ponieważ ks. bp Zola napisał jej, że nic nie stoi na przeszkodzie jej powrotowi i osiedleniu się w jego sąsiedztwie, postanowiła wyjechać do Włoch. Sprzedaje więc swoje rzeczy w Saint-Barnabé, "nie mogąc uzyskać za nie nawet 50 franków", i opuszcza Marsylię 22 sierpnia 1892 r.

GALATINA

Udała się bezpośrednio do Lecce, a stamtąd do Galatiny, cichej miejsciny; gdzie ks. kanonik Consenti, przyjaciel biskupa Zoli, znalazł dla niej mieszkanie.

San Pietro in Galatina jest miasteczkiem liczącym 8000 mieszkańców położonym między Lecce a Otrante. Wygląda ono - myśli Melania - jak za czasów Chrystusa, ze studniami, gdzie kobiety stoją w kolejce po wodę, skąpą i słonawą; z cysternami, gdzie roją się owady "czerwone jak masoni"; z domami, których drzwi zamykają się tylko z zewnątrz. Chleb piecze się tam z grubej żółtej mąki, a z powodu upału wszyscy śpią od południa do piątej.

Domek, za który Melania płacić będzie skromny czynsz, stoi obok kościoła. Cała rodzina Consenti zgotowała jej serdeczne przyjęcie.

Listy Melanii każą się domyślać, że w Galatinie osiedliła się dopiero 21 września, można więc przypuszczać, że pierwsze trzy tygodnie przebywała w Lecce u ks. biskupa Zoli. To zapewne od niego się dowiedziała, co się mówi w Rzymie o spadku ks. Ronjona. Polityka biskupa Perraud w kongregacjach rzymskich

zdołała doprowadzić ogół do przekonania, że ks. Ronjon, zebrawszy w diecezji autuńskiej liczne subskrypcje na budowę kaplicy i domu mieszkalnego, nieprawnie uważał się za właściciela tych dóbr a nawet rent do nich przynależnych; jego testament jest wobec tego błędny, darowizna Melanii nieważna, nieważny również dar kapituły złożony Stolicy Świętej, która w takich warunkach nie powinna go przyjąć.

Galatina znajduje się nie w diecezji Lecce, ale w archidiecezji Otrante. Tak więc przez arcybiskupa Otrante Melania przekazała 2 listopada 1892 Ojcu Świętemu kopię aktu cesji oraz list, w którym zapewnia, że jeśli Jego Świątobliwość naprawdę uważa własność ks. Ronjona za bezprawną - gotowa jest całkowicie oddać mu ją i zrzec się swych praw w akcie posłuszeństwa, należnego Namiestnikowi Jezusa Chrystusa (wg listu do panny Vernet, z 25 maja 1894 r.).

List ten wzywał Rzym do rozmyślnego wdania się w sprawę z pominięciem ordynariusza miejsca, a było w to w czasie, kiedy ks. biskup Perraud, bliski mianowania kardynałem na żądanie rządu francuskiego, cieszył się w Rzymie wyjątkowym szacunkiem i posłuchem. Dano zatem bezpośrednio Melanii do zrozumienia, że oczekuje się po niej zrzeczenia nie na korzyść papieża, lecz na korzyść biskupa diecezji Autun. Batalia znów się rozpoczyna - jak mówi sama Melania.

Poinformowany o tym ks. kanonik de Brandt jest w rozterce. Radzi sprzedać tę własność solidnej osobie świeckiej (swojemu kuzynowi hrabiemu Rougé).

Spotkanie Melanii z arcybiskupem Otrante, który wezwał ją do siebie 5 stycznia 1893, do niczego nie doprowadziło.

Jednakże ta podróż napęłniła ją radością; ponieważ w Otrante mogła uczyć relikwie męczenników zamordowanych w XV wieku przez Turków oraz cudowną połączoną statuą Madonny; która - zabrana przez korsarzy - sama przyплыnęła na morskich falach z Afryki do Italii.

Zima upływa w niepewności:.. Czy ktoś w Rzymie podejmie się obrony? Czy po nieszczęśliwym odejściu księdza Renault znajdzie się jakiegoś kapłana wolnego, oddanego dziełu Matki Bożej, którego przyjąłby biskup z Autun do obsługi kaplicy? Ks. kanonik de Brandt ma pełnomocnictwo, ale czy będzie coś robił? Czy weźmie w posiadanie własność Ronjona?

Od listu Melanii do Ojca świętego Rzym milczy. Udał się tam arcybiskup diecezji Otrante i wtedy rozeszła się pogłoska, że ją ekskomunikuje, jeśli nie wyrzeknie się dóbr w Châlon. Nie doszło jednak do tego, a Melania pozostaje "mocna jak skała". "To nie dzięki moim zasługom - pisze 6 marca 1893 r. do ks. Brandta - ani dzięki mej wiedzy duchowej mam pozostać mocna jak skała. Im bardziej pływam w goryczy; tym bardziej doznaję szczęścia znajdowania Ukochanego

naszych dusz - tego, który przychodzi do nas tylko wtedy, gdy wszystko, co stworzone i co ludzkie, z nich wychodzi."

POWRÓT DO CHÂLON

Już dwa lata trwają targi i przetargi, a przejęcie kaplicy jeszcze się nie odbyło. Życzenia ks. Ronjona nie zostały spełnione, a mieszkańcy Cytadeli w Châlon bardzo na tym cierpią. Sumienie wyrzuca Melanii obojętną bierność. Nie mając zakazu z Rzymu, postanawia tedy wrócić do Châlon.

Przybywa tam sama 16 maja 1893 r. Zatrzymuje się w hotelu de Bourgogne (place de l'Obélisque), widzi się z adwokatem, który ma nadzór nad kluczami, idzie do notariusza, następnie do innego adwokata, który się podejmuje żądać kluczy od ks. Gautheron, wykonawcy testamentu, nieprawnie je przetrzymującego (wg listu do panny Vernet z 25 maja 1894). Zaczyna się proces sądowy. Wyrok tymczasowy oddaje Melanii Calvat kaplicę we władanie. Ona zaś, aby dać dowód energii i jednocześnie pojednania oraz szacunku dla władzy kościelnej, pisze do ks. biskupa Perraud, aby go prosić o uznanie lub wyznaczenie kapelana do obsługi kaplicy. Wysłała kilka listów, wszystkie pozostały bez odpowiedzi.

Odpowiedź - to nakaz biskupa, aby zamknięto kaplicę. W dniu, kiedy ten nakaz wywieszono publicznie i przeczytano z ambon w dwóch parafiach miasta Châlon, powiadomiono Melanię, że jest pozbawiona sakramentów w diecezji Autun (3 czerwca 1893 r.). Ona zaś próbowała jeszcze wszystko przezwyciężyć, spotkała się z księdzem Gautheron, w końcu widząc, że sama jest zwyciężona i bezsilna, zamknęła kaplicę i nie zatrzymując się dłużej, wyjechała do Galatiny (17 lipca 1893 r.).

W przeddzień wyjazdu otrzymała pozew do sądu w Châlon-sur-Saône, podpisany przez Gautheron i Dessus, o anulowaniu cesji z 24 sierpnia 1878 r. Rozpoczął się proces. Wyrok zapadł na korzyść Gautherona i Dessus. Melanii przebywającej w Galatine, donoszono o wszystkim listownie. Na propozycję odwołania się do wyższej instancji w Dijon wyraziła zgodę.

PROCES APELACYJNY W DIJON

Przygotowuje się drugi proces. Powróciwszy do swego zacisza "w głębi Włoch", Melania nie wie, że kilka czasopism zapoznało społeczeństwo francuskie z procesem w Châlon. Były to - jak można się spodziewać -organy opozycji przeciw laicyzującej republice: Jeden z nich - to *La Légitimité*, miesięcznik prowadzący kampanię o powrót Naudorffa na tron francuski. Sekretarką tego miesięcznika była panna Vernet, córka urzędniczki pocztowej w La Mûre (Isère), wychowana w atmosferze szczególnego nabożeństwa do Matki Bożej

Saletyńskiej. Panna Varnet stanęła po stronie Melanii i napisała do niej, aby oddać jej do dyspozycji siebie samą, tudzież swego współpracownika z *La Légitimité*, p. Schmidą, szczególnie zaś aby cyklem odpowiednich artykułów przygotować apelację. Odizolowana od wszystkiego Melania była wzruszona tym dowodem bezinteresownej sympatii, okazywanej przez szczere serca. Delikatnego zdrowia, nosząca już w sobie piętno bliskiej śmierci, panna Varnet odznaczała się anielską pobożnością, która jej ideałowi patriotycznemu nadawała wydźwięk apostołski. Pan Schmid wyglądał na typowego publicystę katolickiego swej epoki. Agresywny w swych pismach, a bojaźliwy w czynach, entuzjastyczny członek efemerycznych zrzeszeń, odznaczający się zarówno dobrymi intencjami jak brakiem talentu; był mimo wszystko człowiekiem bardzo uczciwym. Melanii - która go nazywała swym "czcigodnym Bratem", ponieważ chciał się zaciągnąć pod sztandary Apostołów Ostatnich Czasów - sprawił on trochę radości i niemało rozczerowań.

Nawiązuje się wówczas ciągła korespondencja (od 21 kwietnia 1894 r. do 2 września 1897.) zrazu między Melanią a panną Varnet, następnie między Melanią a p. Schmidem. Aby tym lepiej przygotować jej obronę, zadaje on jej tysięczne pytania, dotyczące jej życia prywatnego, zmusza ją, by powracała do szczegółów swego objawienia i tym sposobem wykrada zwierzenia, których inaczej nigdy by nie wyjawiała.

Za jego sprawą ona - tak obca światu i tak daleka od jego spraw - staje się świadkiem wszystkich utarczek a nawet skandali żurnalizmu paryskiego z końca XIX wieku. Jest prenumeratorką *La Libre Parole*, pisma, które publikuje *Secret de la Salette en 1895*; otrzymuje publikacje pana Léo Taxil, proszona jest o wydanie opinii co do Rocheforta, Gastóna Méry itd.; o pouczenie co do sposobu prowadzenia walki przeciw masonerii i oto prosta pasterka wchodzi za kulisy zrzeszeń religijnych i politycznych, których dążenia i ambicje stanowią klimat jej korespondentów, a którym zawsze odpowiada żywo, zaskakująco.

Przebieg procesu w Dijon możemy śledzić dzięki jej listom. Tym razem nigdzie się nie ruszała z Galatiny. P. Schmid postarał się dla niej o adwokata paryskiego, współpracownika miesięcznika *La Légitimité*, pana Robineta de Cléry. Adwokat z Dijon wywiązywał się sumiennie z obowiązku. Proces trwał od 15 maja do 19 czerwca 1895 r. Dyskusje były chaotyczne, bezładne. Z jednej strony ustalono, że Melania nie posiadała spadku prawnie, z drugiej zaś starano się jej udowodnić nieprzestrzeganie warunków testamentalnych, aby ją zmusić do zrzeczenia się "tego, czego nie posiadała": Mimo faktu, że jeśli nie zadośćuczyniła obowiązkowi obsługiwaną kaplicy, to tylko dlatego, że na przeszkodzie stało zamknięcie z rozporządzenia biskupiego, odwołanie zostało oddalone, a sąd apelacyjny potwierdził wyrok pierwszej instancji.

PO PRZEGRANYM PROCESIE

Melania pisze do ks. kanonika Brandta (19 maja i 2 lipca 1895 r.): "Zrobiłam, co mogłam. Sumienie nic mi nie będzie wyrzucało... Przegrałam - spodziewałam się te-go. Gdyby nie obraza Boża, byłabym w pełni szczęśliwa.

Melania zastanawia się, czy zostanie pozbawiona małej renty, którą zawdzięcza księdzu Ronjon. Z dwunastu obligacji, które jej wręczył, pozostało jej jedenaście, gdyż jedną sprzedał p. Schmid, aby opłacić adwokatów. Wahała się, czy na to pozwolić, ale to przecież nie dla niej, to dla sprawy księdza Ronjon, czuła się, więc usprawiedliwienia. Skazano ją na uiszczenie kosztów sądowych, ale czy nastąpi egzekucja? Wynoszą one 2000 franków, a przed kwartalną przesyłką stu franków przez księdza Brandta pozostaje jej - jak twierdzi - trzy franki wolne. "Nie otrzymałam jeszcze wyroku - dodaje - ale oczekuję go ze spokojem. Jeśli przymusowo ściągnie się ze mnie koszty procedury, powiem za św. Jobem: Naga przyszedłam na świat; naga z niego odejdę. Niech Bóg będzie błogosławiony we wszystkim".

W roku 1898 redaktor Schmid ogłosił drukiem sprawozdanie z jej procesu, poprzedzone przedmową i zaopatrzone kilku rozważaniami. Niewielki nakład, mało czytelników - zwyciężeni nie mają słuszności. Nawet obrońca Melanii adwokat Robinet du Cléry radzi swej klientce i jej przyjaciółom trochę przezornego milczenia. We Włoszech, nawet wśród dostojników kościelnych najbardziej skłonny wierzyć w nadprzyrodzoną misję pasterki, wrażenie jest przykre. Monsiniorzy rzymscy zobowiązali ją do zupełnego milczenia.

Wreszcie nawet ks. bp Zola, chociaż podtrzymuje, jak we wszystkich swoich listach, swój sąd wysoce korzystny o "Boskich objawieniach w la Salette", o autentyczności sekretu, o cnotach Melanii i zaletach jej umysłu; chociaż twierdzi, że "prowadzi ona życie całkowicie samotne i budujące", to jednak dodaje: "W ciągu tych dwóch ostatnich lat Melania miała zatarg z pewnym biskupem francuskim. W tej okoliczności okazała się mało uległa swym przełożonym, a przyczyną tego był już to brak światła, już to brak kierownictwa albo i jedno i drugie. W każdym razie faktem jest, że odtąd nie cieszy się już żadnym szacunkiem w Rzymie".

Ta sama Melania - w liście skierowanym 26 lipca 1896 r. z Galatiny do p. Schmida - restytuuje; z pokorną prawdomównością, to zdanie biskupa Zoli, które pisma religijne, ogłaszając tekst, uważały za stosowne zastąpić krokami. Zresztą w owych czasach zawsze chętnie posługiwano się wielokropkiem, gdy chodziło o to straszliwe la Salette.

KURACJA WODNA W GALLIPOLI

Gdy toczył się proces w Dijon, Melania miała ciężki atak bólów stawowych - tych bólów; o których mówi ona tylko wtedy, gdy jej unieruchamiają lewe ramię; a czasem nawet oba ramiona, których wtedy "nie może położyć na stole", co jej przeszkadza w pisaniu. Lekarz włoski, którego się radziła, wysłał ją do wód w Gallipoli.

"Oto więc jestem w tym porcie morskim - pisze ona 20 sierpnia 1895 r. do p. Schmida - myślę, że do końca miesiąca. Wiem dobrze, że kąpiele morskie nie leczą bólów stawowych, ale polecono mi je, więc słucham". A po powrocie do Galatiny zwierza się pannie Vernet (w liście z 14 września 1895 r.): "Kąpiele ani mi nie pomogły, ani nie zaszkodziły. Jednakże powietrze w Gallipoli tak pobudzało apetyt, że w południe zjadałam całą bułkę za 5 centymów, ale po powrocie podjęłam normalną dietę. Przez cały miesiąc pogoda była bardzo piękna, a ja mogłam do woli podziwiać przymioty Boże". To było bez wątpienia najważniejsze w tej kuracji kąpielowej.

PODRÓŻ DO FRANCJI. PARYŻ

Mimo rozczarowań i prób, pragnienie ponownego widzenia la Salette i ojczyzny było zawsze żywe w sercu wygnanki. Wydarzenia we Francji śledziła z emocją. Redaktor Schmid ożywiał jej zainteresowanie wysiłkami antymasonów, Ligą Labarum, kampanią Rycerzy św. Jerzego i jako prawdziwy kronikarz paryski informował ją o wszystkich wydarzeniach, którymi pasjonował się świat dziennikarski: Wytworzyło się przekonanie, że zbliża się wojna lub rewolucja - a może i to, i tamto - i że przed spodziewaną zmianą reżimu nastąpi prześladowanie religijne. Niechże tedy Melania się spieszy; w przeciwnym bowiem razie jej przyjazd może stać się niemożliwy przez długie lata...

Ks. kanonik de Brandt, pragnąc się z nią widzieć nadmienił jej, że się spotkają w la Salette. Jego kuzyn hr. Rougé przysłał jej na podróż 300 franków (wg listu do ks. Brandta z 6 kwietnia 1896 r.).

Wyjechała, więc. Po drodze zatrzymała się w Lecce, by odwiedzić biskupa Zolę, następnie znów podjęła podróż - długą trasą przez Bolonię-Turyn. Jechała parę dni. Spędziła kilka godzin w Marsylii u swej siostry Julii Oddas, a 19 maja 1896 r. była na świętej górze, gdzie przybył do niej hr. de Rougé: Ks. de Brandt nie przyjechał. W la Salette pozostaje tylko jeden dzień; po czym znów jedzie do Marsylii, a stamtąd - na zaproszenie p. Schmida - dnia 21 maja wyjeżdża do Paryża. Przebywa tam 11 dni wypełnionych zwiedzaniem wszystkich kościołów, do których prowadzi ją p. Schmid w towarzystwie rycerzy św. Jerzego, którzy urządzili do Paryża pielgrzymkę z Longpont. Z tej okazji znalazła się niechcący na

fotografii grupowej. Ponieważ stała za daleko, jej twarz jest niewyraźna, cała postać lekko pochylona i oparta na parasolu, robi wrażenie cichej skromności.

Przezacny p. Schmid obsypał ją dobrodziejstwami. Protestowała przeciw temu nadmiarowi życzliwości, jednak nic nie pomogło, kupił jej nawet okulary. Dnia 2 czerwca była znów w Marsylii. Lecz marsylskie kościoły, to nie paryskie. Tam, w Paryżu, widziała ludzi naprawdę modlących się. Byłaby natychmiast odjechała, gdyby nie usilne prośby jej siostry. Wreszcie 19 czerwca jest z powrotem w Galatinie.

MESYNA

W tym to mniej więcej czasie nastąpiło zapoznanie się pasterki saletyńskiej z ks. kanonikiem Annibale di Francia, dzięki którego inicjatywie mamy jej autobiografię napisaną w języku włoskim i który, po jej śmierci, na jej grobowcu z białego marmuru zbudował kościół z tablicą pamiątkową.

Ks. kanonik Annibale di Francia pochodził z książąt akwitańskich, którzy kiedyś byli władcami Sycylii. Miał lat czterdzieści, ruchliwy i natury otwartej typu francuskiego, był w Mesynie powszechnie lubiany. Założył instytut Córek Boskiego Zapału Serca Jezusa, których celem jest opieka nad ubogimi i wychowanie sierot. Ale jego dzieło nabawiało go wielkich trosk. Bez podbudowy materialnej wydawało się stale narażone na upadek. Jeśli ks. kanonik Annibale dawał dowody wielkiej miłości bliźniego, to z drugiej strony może nieco brakowało mu równowagi, jego matka była dotknięta chorobą psychiczną: Na tę swego rodzaju monomanię zwracała uwagę również Melania, twierdząc, że jego ekskluzywna miłość ubogich popychała go niekiedy do aktów wielkiej nierozwagi.

Obdarzony temperamentem lirycznym, był on poetą. Pokorny, świętobliwy i ubogi, żył z jałmużny, którą kwestowały jego zakonnice. Czuł się niezdolny sam zbudować dzieło trwałe.

Usiłując spotkać się z pasterką saletyńską, przybył do Castellamare di Stabia. "Daremnie: lotna gołąbka gdzie indziej przeniosła swe gniazdo".

Wkrótce otrzymał jej adres od biskupa Zoli i począł pisać do niej. "Pewnego dnia poinformowała mnie, że wkrótce opuści Galatinę i że nikomu nie da swego nowego adresu. Udałem się do niej, zastałem ją w jej ubogim mieszkaniu, rozmawiałem z nią. Opowiadała mi o objawieniu w la Salette - święte i głębokie były moje wzruszenia. Zapraszałem ją, aby przeniosła się do Mesyny, ona jednak nie mogła się zdecydować. Po powrocie zastałem swój biedny instytut bliski upadku. Wówczas ośmieliłem się przedstawić tę sytuację Wybrance Pana i ponowiłem prośbę, zachęcając ją, aby przyszła przynajmniej na jeden rok. Odpowiedziała mi niezwłocznie, że przyjedzie, aby zorganizować zgromadzenie

Córek Boskiego Zapału Serca Jezusa i nadać siostronom odpowiednią formację!". Istotnie udała się do Mesyny. Ks. kanonik przyjął ją w klasztorze Ducha Świętego rankiem 14 września 1897 r., w uroczystość Podwyższenia Krzyża św. Przebywała tam do 2 października 1898 r.

Jaką współzałożycielką, jaką mistrzynią nowicjatu była ona dla młodego zgromadzenia, ks. kanonik Annibale przypomina to w słowach nabrzmiałych wdzięcznością. Ale ona sama w swych listach mówi, że nie dorosła do zadania i że z powodu wad swego charakteru jest niezdolna dokonać dzieła, którego się podjęła, a które jest tak trudne.

Oddaje mu się jednak cała. Zawsze na nogach, przebiega nocą sypialnie dziewczynek sierotek, czuwa nad wszystkim. Układa regulaminy: jeden dla siostr, drugi dla sierotek i zachęca do wprowadzania ich w życie, ale zachęca przykładem swej wewnętrznej energii, swego ducha umartwienia, jak też swym humorem oraz dziecięcą prostotą i tak budząc te natury nieco leniwe, porywa wychowanki i wychowawczynie, ożywia cały instytut. Wśród tych rzutkich Sycylijek o naiwnej wierze czuje się swobodnie. Początkowo, kierując się pragnieniem ukrywania się, każe zwracać się do siebie imieniem swej matki - Julii Barnaud. Wkrótce jednak jej wrodzona szczerłość i poryw jej miłości Bożej wyprowadziły je z rezerwy i doszło do tego, że tylko w Mesynie i tylko tego jednego roku okazała się taka, jaka jest i - chociaż mimo woli, a raczej wbrew woli - ujawniła swe mistyczne życie doskonałego zjednoczenia z Jezusem.

Ks. kanonik Annibale był przełożonym domu, w którym przebywała Melania, był więc jednocześnie jej przełożonym, ona winna mu była posłuszeństwo, nie tylko więc miał okazję sam zebrać jej cenne wypowiedzi, ale mógł jej polecić, nakazać opisać jej własne życie. Tak też uczynił, dzięki czemu mamy opis jej dzieciństwa, zredagowany w języku włoskim.

Nie miała czasu ukończyć go, ani nawet ponownie przeczytać; to właśnie ten autentyzm nie tylko myśli, ale i jej formy, nadaje temu pierwszemu rzutowi, szybkiemu, szczeremu, jasnemu jak błyskawica, całą jego niezrównaną wartość.

Ks. kanonik sam wiodący życie mistyczne, był zachwycony. Duch Święty ze swymi nadzwyczajnymi darami był obecny w tej wyjątkowej istocie, która żywiła się tylko Eucharystią, starał się więc ściśle ją połączyć ze swoim dziełem. Jako hasło i szczególną zachętę do modlitwy dał swym zakonnicom polecenie, które Mistrz dał apostołom: "Proście Pana żniwa, aby posłał robotników na żniwo swoje". Wezwanie to bardzo się podobało jasnowidzącej, która się złożyła Bogu w ofierze, aby wyprosić prawdziwych głosicieli Ewangelii. Jej pobyt w zakładzie był zaiste dobroczynny i owocny; mimo jej pokornych zaprzeczeń. Na niej bowiem spoczywał ciężar wszystkiego, nawet utarczek z władzami świeckimi. To ona przyjęła inspektorów sanitarnych, gdy wybuchła epidemia

tyfusu. Zaprowadziła ich tylko do infirmerii i to wystarczyło - nie nalegali więcej. Bo i na cóż by się to zdało? Czyż nie wiedzieli, że warunki; w jakich się znajduje zakład, nastroczają wprost nieprzezwyciężalne trudności?

Klasztor znajdował się w budynkach dawnego klasztoru benedyktynek. Gdy wygnała je rewolucja, zajęły go wojska i następnie pozostawiły w stanie na pół zrujnowanym. Siedemdziesiąt dwie sierotki mieściło się w nim, a przecież zakład nie miał ani kapitału, ani rent, ani nawet... rachunkowości. Utrzymywał się z dnia na dzień tylko z dochodów piekarni parowej, która piekła najlepszy chleb w Mesynie (tak, że trzeba było stać w kolejce, by móc go kupić). Odjeżdżając, Melania wyda większą część pieniędzy otrzymanych od księdza Combe na podróż, aby kupić sierocińcowi kilka worków mąki.

Wszakże nie groźba bankructwa zdecydowała, że Melania nie przedłużyła swego pobytu w zakładzie ponad rok. Ona nigdy się nie uchylała od cierpień, ubóstwa, upokorzeń. Unika tylko ciekawości ludzkiej, podziwu, pochwał, a od procesu Ronjona stara się ukryć po to, aby uchronić od lekceważenia i pogardy ludzkiej orędzie, które nosi zawsze, ale teraz z tym większą tkliwością i oddaniem aniżeli kiedykolwiek, choć zakryte przed światem, który nie chciał go poznać. Gdybyż to ks. kanonik Annibale był przynajmniej dyskretny!...

Dla niego Crocefissa (Ukrzyżowana) - jak nazywa Melanię - jest już święta. Z entuzjazmem iście włoskim zdobywa się jej relikwie; zawsze z sobą nosi jej gwizdek pasterski i nie chce jej go oddać, przechowuje zazdrośnie zeszyt z jej autobiografią włoską, ona zaś żałuje, że wbrew woli zappełniła go swymi najbardziej intymnymi zwierzeniami.

Czas już stanowczo opuścić Mesynę. Zadanie, którego się podjęła, spełniła w zupełności. Instytut Boskiego Zapału; jeśli ma żyć, będzie żył bez niej.

Żegnaj, Sycylio! Żegnaj, droga Italio, skoro taka jest konieczność. Trzeba uciekać!

MONCALIERI

Jej odjazd istotnie podobny jest do ucieczki. Wyjeżdża, nie żegnając się, nie mówiąc dokąd.

Jedzie do Francji, do parafii Diou (w departamencie Allier), gdzie proboszczem jest ks. Gilbert Emil Combe. Ks. Combe urodził się w Cusset koło Vichy w roku 1845, a zmarł w roku 1927 w Moulins; mając lat 82. Melania powiedziała mu: Ksiądz dożyje sędziwego wieku. Bardziej matematyk niż teolog; był to umysł ścisły, a nawet drobiazgowy. Religia zawdzięcza mu dwa cenne dziełka: jedno o nowoczesnym panteizmie, drugie o cnotach naturalnych i nadnaturalnych wlnych i nabytych. Usposobiony nieco pesymistycznie (pewnie pod wpływem

chronicznego zapalenia jelit i wielkiej nerwowości), martwił się postęпами niewiary i starał się badać przyszłość w oczekiwaniu wydarzeń, które zrządzi Opatrzność, aby obudzić wiarę i zmienić bieg świata.

Z takim temperamentem i z taką wyobraźnią ks. Combe mógł się pasjonować eschatologiczną stroną sekretu.

Zresztą zarówno we Francji, jak we Włoszech proroctwa stały się modne. Wszędzie roiło się od jasnowidzów i wrózek. Była to epoka panny Couesdon z jej aniołem Gabrielem, sprawy Loigny i wielu innych spraw polityczno-mistycznych, zresztą potępionych przez biskupów. We Włoszech ks. kanonik Consenti, spowiednik Melanii w Galatinie i o. Giacchetti, nie śmiąc już otwarcie komentować sekretu, drukują *Wielką nowość* i *Przyszłość ludzkości*. Ks. Combe napisał broszurę, którą zatytułował: *Wielki cios*, a w której odtworzył i omówił teksty sekretu (patrz bibliografia).

Tak więc ks. Combe nawiązał stosunki z ks. Roubaud, który był jednym z pierwszych zwolenników reguły Matki Bożej, a przez niego z Melanią. "Gdy opowiada on - zacząłem pisać swą broszurę pt. *Wielki cios i jego prawdopodobna data*, pasterkę saletyńską znałem tylko z imienia i nie wiedziałem, czy ona jeszcze żyje. Nie wiedziałem, co się z nią stało po objawieniu z 19 września 1846 r. i wcale nie pragnąłem tego wiedzieć. Przysłano mi drukowany egzemplarz jej słynnego sekretu. Po jego przeczytaniu, które mnie zainteresowało i zbudowało, przyszła mi myśl napisania kilku stron rozważań i dać je ojcu Bailly do kalendarza *Pielgrzym* (Pélerin) z roku 1894. On mi jednak odpowiedział, że jest za późno, kalendarz już się drukuje. Wtedy postanowiłem napisać broszurkę. Dowiedziałem się w tym czasie, że pasterka saletyńska żyje jeszcze. Ks. Moitron, proboszcz i dziekan w Saint-Pourçain-sur-Sioule, mój przyjaciel dowiedział się od pewnego biskupa, że "ta dziewczyna, która zeszła na manowce, sprawiała wiele przykrości świętemu biskupowi z Autun i że doprowadziła do pewnego rodzaju rozdwojenia z powodu spadku, który chciała mu wydrzeć." Informacja ta nie przeszkodziła mi napisać broszurki. Jeśli dziewczyna się zmanierowała, to jej rzecz. Jej niewierność nie zwalnia chrześcijan od usłuchania przestroż Najśw. Maryi Panny. Zwrócę uwagę na wielką powagę tych przestroż.

Broszurka ukazała się w roku 1894. Dzięki niej nawiązałem wkrótce korespondencję z osobami, które znały Melanię. Ks. Roubaud napisał mi, że ona mieszka w Galatinie. Poślałem jej swą broszurę.

Rok potem ks. Roubaud umarł. Listy, które otrzymał od Melanii, mnie przysłano. One to uzupełniły moją dokumentację. Były one więcej aniżeli skarbem, było to jakby schronienie duszy, święta żyła w nich.

Jednakże ani te listy, ani też te, które ja od niej otrzymałem, nie wyjaśniły mi przyczyn jej tułaczego życia. Byłem wprost zgorszony tym, że wkrótce ma opuścić Galatinę. Dokąd się uda? Nie chciała powiedzieć. Gdy następnie napisała mi z Mesyny, nadmieniając, że tylko rok tam pozostanie - nowy skandal. Jest coś prawdy w tych zarzutach, które się przeciw niej wytacza - pomyślałem sobie - nigdzie nie czuje się dobrze. Nie pozwolę jej tak latać po świecie. Gdy tylko wygaśnie jej mesyńska roczna umowa, ściagnę ją do Francji, by tu zamieszkała.

Poprosiłem ją, aby mnie odwiedziła i posłałem jej pieniądze na podróż. Wyjechawszy z Mesyny do Diou, zatrzymała się w Moncalieri i powiadomiła mnie, że większą część pieniędzy, które jej wysłałem; zużyła na zakup mąki dla sierotek ks. kanonika Annibale, stąd konieczność wysyłki nowej sumy, aby mogła kontynuować podróż (prosi tylko o sto franków, pierwszy przekaz opiewał na 400 franków)":

Melania wyjechała z Mesyny 2 października 1898 r. Swoje bagaże zaadresowała na stację w Turynie. Przybywszy tam, szukała mieszkania lecz nie znalazła, gdyż był to okres wystawy przemysłowej. Udała się więc do podmiejskiej miejscowości Moncalieri i tam wynajęła na rok pokój z kuchenką bez wody. Francuskie siostry miłosierdzia dały jej do dyspozycji prymitywny sprzęt i była zadowolona. Piemont i jego dialekt, który ledwie rozumiała, to już nie Włochy - ale jeszcze nie Francja. Docieranie do niej listów z Mesyny dowodzi, że wysłędzono jej nową kryjówkę. Nie zazna więc spokoju w tym życiu... Mimo to spędza całą zimę w Moncalieri (Vicolo Muratori, casa Dottore Latour). Wreszcie postanawia spotkać się z księdzem Combe.

Była ta jednak tylko krótka wizyta w Saint-Pourçain-sur-Sioule i w Diou. Wyjechawszy z Moncalieri 18 maja, powróciła tam 24 maja.

Ks. Combe energicznie nalegał, aby się osiedliła we Francji. Proponował jej, aby jako rezydentka zamieszkała u sióstr franciszek w Vichy, albo u sióstr św. Józefa w Cusset. "Zakonnice są zbyt ciekawe" - odpowiedziała. Zresztą opłata za utrzymanie byłaby za wysoka dla niej. Mimo to jednak daje się posłusznie prowadzić najpierw do Cusset, następnie do Vichy, gdzie u kuzynki księdza Combe podano jej zupełną tłustą, że trzeba by kilka dni ją trawić i wreszcie do Moulins, gdzie nie można było znaleźć mieszkania. Daremny więc trud. Melania odjeżdża, pozostawiając księdzu Combe w upominku mnóstwo pudełek włoskich zapalek woskowych. Ks. Combe jest mile zdziwiony tym objawem dziecięcego sposobu bycia tudzież jej absolutną i przejrzystą prostotą, pokornym całowaniem ręki kapłana i klękaniem na ulicy, by prosić go o błogosławieństwo, wreszcie spojrzeniem, którym zdaje się przebijać mury i rozszyfrowywać tajemnice serca. W końcu na usilne prośby księdza Combe,

ksiądz Moitron, proboszcz w Saint-Pourçain, wynajduje odosobniony domek o czynszu 150 franków. Melania, poprosiwszy o wynajęcie go na rok, przybyła tu 18 czerwca 1900 r., by zamieszkać w nim pod nazwiskiem Julii Barnaud.

OSTATNIE LATA WE FRANCJI

Będzie to jej ostatni pobyt we Francji, pięć lat spędzonych kolejno w Saint-Pourçain (od czerwca 1900 r. do czerwca 1901 r.), w Diou (od czerwca 1901 r. do sierpnia 1903 r.) i w Vichy-Cusset (od sierpnia 1903 r. do 13 czerwca 1904 r.). Lata te były może najmniej dostosowane do jej osobowości, wymagające od niej najwięcej ofiar.

Po Castellamare, po Rzymie, po zatajeniu się w Galatinie, potem w Mesynie, pasterka saletyńska zamknęła się w wąskich ramach życia prowincjonalnego. Na rozsłonecznione dekoracje italskich scenerii zapadła kurtyna przestrzeni. Jej wzrok słabnie coraz bardziej, ma bowiem kataraktę oka prawego, widzi więc tylko szarzynę bez horyzontu. Kraj płaski i bez uroku, powietrze ciężkie, ludzie opętani żądzą bogacenia się, oszukują i pożerają się wzajemnie: konflikty o najem, sprzedaż i kupno zmuszają Melanię do trzykrotnej przeprowadzki w ciągu lat pięciu.

Ks. Combe, który jest miejscowy, oddycha tą atmosferą, nie czując zbytnio, że jest zepsuta. Drażni go tedy widok "tej dzikuski, tej wilczycy leśnej", którą płoszą rzeczy tak zwyczajne. Co, dysponuje całym domem jak bogata mieszcza i nie śpiewa pieśni dziękczynnej, a to dlatego tylko, że klucze ma ogrodnik? A gdy w końcu ulokuje ją w Cusset w swym domu, wynajętym częściowo jednemu ze swych kuzynów, malarzowi samochodów, nie ma pojęcia, jak ona cierpi np. z powodu kłótni o skrzynkę na listy bądź też ciasnoty prowadzącej do scen rażących jej oczy.

Bała się też, żeby inni jej nie obserwowali, nie podpatrywali, a lęk ten był tak wielki, dla innych zaś tak śmieszny, że nazywano ją z tego powodu wariatką. Gdy pewna pocziwa sąsiadka dziwiła się temu twierdząc, że dla niej to wszystko jedno, czy ją ludzie widzą czy nie - Melania odpowiedziała jej łagodnie: „Bo wy jesteście ze świata, a ja nie jestem ze świata”.

Ale nikt tego nie rozumie.

Ks. Moitron i ks. Combe radzą jej, aby sprowadziła do siebie, do Saint-Paurçaint, swoją siostrę Julię, która teraz owdowiała: będzie miała pomoc domową i towarzyszkę. Melania dostosowała się do rady, ale oto Julia, podejrzliwa, gadatliwa, zmyśla, przedstawia Melanię jako obłudną i złośliwą nabożniśnię, robi z niej przedmiot niezdrowej ciekawości i - nie wiedząc dlaczego, a może nawet niechcący - prześladuje ją. "Od kilku miesięcy - pisze Melania 11 czerwca 1900 r. do ks. Brandta - nic nie przetłumaczyłam" (z autobiografii włoskiej wyrwanej z

rąk ks. kanonika Annibale przez ks. Brandta) "z tego prostego powodu, że nie jestem sama w jedynym pokoju. Moja siostra ma niemal tę samą naturę co moja biedna matka, z tą tylko różnicą, że umie czytać i pisać... Muszę więc pisać listy w nocy, kiedy ona jest w łóżku. A wszystko to pochodzi z tego, że jestem zbyt wrażliwa.. Potrzeba mi cnoty cierpliwości. O mój Boże, miłosierdzia!... Moja siostra jest w ręku naszego kochającego Jezusa błogosławioną różgą, którą On się posługuje... Ona jest jednak bardzo dobra... cierpi na nerwy i jest anemiczna od przeszło dziesięciu lat. Może ta choroba osłabiła jej umysł, nie ponosi zatem żadnej winy. Jej charakter jest obrazem charakteru naszej biednej matki. Krótko mówiąc, ona się nudzi ze mną - nie mogę z nią pójść do teatru, na festiwal.

Ostatniego piątku powiedziałam jej, że skoro się nudzi, nie będę jej zatrzymywała, jeśli będzie chciała odejść i dałam jej pieniądze na podróż. Dziś pieniądze tu jeszcze leżą na stole, nie wiem co z nimi zrobi".

Jedynie wyjazd z Saint-Pourçain może ją uwolnić od Julii Oddos. I oto szczęśliwy traf - domek sprzedano, trzeba więc go opuścić. "Spieszno odejść stąd, ludzie patrzą na mnie, jak na kogoś bez serca" (z listu do Brandta, 13 czerwca 1900 r.).

Wreszcie więc sama; w Diou, o parę kroków od kościoła i plebanii. Ale proboszcz będzie główną przyczyną jej cierpienia.

Początkowo niewyrozumiwały, lecz zbudowany, potem urzeczony tym, co zdołał dostrzec w głębinach życia duchowego, w których usiłuje ukryć się dusza Melanii, stara się ks. Combe uchwycić nieuchwytną rzeczywistość tego życia. Mimo najświętszych pobudek, ciekawość jego jest zaiste okrutna. Zasypuje swój "przedmiot" pytaniami, domaga się długich odpowiedzi, często pisemnych, na swe pytania, dręczy ją, aby się spieszyła z przetłumaczeniem na język francuski swych wspomnień, które napisała po włosku w Mesynie. Jako dobra córka, posłuszna ojcu, którego jej dała Opatrzność, stara się wywiązywać ze swych powinności. Dlaczego więc to naleganie ze strony księdza Combe? Jej finezja nie pozwala jej tłumaczyć literalnie. Ks. kanonikowi Annibale mogła powierzyć wylewy stanów kontemplacji wrodzonej, ale ksiądz Combe jest żądny faktów i anegdot, trzeba więc było podać mu szczegóły historyczne. Te przeróbki wymagały jednak czasu. Tak więc powstaje - wywołując dzień po dniu - autobiografia z roku 1900, poszerzona dodatkami, załącznikami. Ks. Combe chciałby wszystko wiedzieć, chciałby poniekąd dotykać zjawisk życia w zjednoczeniu z Chrystusem, które jest sekretnym życiem Melanii. Aby lepiej poddawała się jego badaniom, zwalnia ją z głębokiego skupienia, jakie zwykle praktykowała w adwencie i wielkim poście. W Diou jej stygmaty odnowiły się, poleca jej więc, by przyniosła płótno, które służyło do zatamowania krwi z rany jej boku. Ona zaś mimo konieczności odsłaniania najskrytszych tajników swego

życia wewnętrznego, współpracuje posłusznie w zbieraniu dokumentów jej samej dotyczących, któremu ks. Combe oddaje się z fanatyczną wprost wytrwałością. Nic to, że skalpel i lupa wymagającego obserwatora sprawiają ból, znieś cierpliwie wszystko, aby tylko oświecić Boskie Orędzie, aby tylko ratować dusze.

Tymczasem ona się starzeje. Nawykła do klimatu południowych Włoch, cierpi we Francji z powodu chłodu i wilgoci. Niekiedy odczuwa "bóle śmierci" - jak sama donosi ks. Brandtowi 28 stycznia i 4 marca 1903 r. Gdy razu pewnego, chcąc wzmocnić słabnące siły, wypita tłustego bulionu, zachorowała ciężko, 23 stycznia 1903 r. przyjęła sakrament chorych. "Bardzo zadowolona" - pisze 28 stycznia do ks. Brandta pozostaje cierpiąca i słaba, jednak "zbyt szczęśliwa, że może cierpieć".

Jej najdotkliwsze cierpienie ma jednak inne źródło. Niewiara mas, niedzielna praca, wieczne bluźnierstwa zadają jej tortury. Księża, aby zatrzymać lud w kościele, robią ustępstwa rujnujące świętą bojaźń Bożą. Melania wyrzuca księdzu Combe, że pozwala kobietom wchodzić do konfesjonału z odkrytą głową. Te drobne tolerancje prowadzą powoli do ciężkich uchybień i do zatraty poczucia grzechu.

"To nie źli ludzie najbardziej mnie zasmucają - żali się Melania do ks. Brandta 13 listopada 1901 r. z Diou - ale apatia, zbrodnicza obojętność całego społeczeństwa... O! jakże ja potrzebuję pomocy mego Boga, a jutro nie ma mszy św. Tak to na tej wsi, gdy pasterz się oddali: Smutny kraj! Zły kraj!".

Za pozwoleniem księdza Combe trzy razy jeździła do la Salette. W roku 1901 z nim samym, a także z o. Parent, jego przyjacielem i z ks. kanonikiem Rigaux, którzy się dołączyli. W roku 1902 ks. Rigaux spotyka ją w Paray-le-Monial, gdzie kardynał Perraud udziela jej Komunii św., nie domyślając się, komu. Stamtąd wszyscy razem udają się na świętą górę la Salette: Wreszcie w lipcu 1903 r. po raz ostatni idzie tam z ks. Rigaux. Wielkie zmiany nastąpiły w la Salette. Podczas pielgrzymki we wrześniu 1901 r. zapytana przez misjonarzy, których niepokoją antyklerykalne ustawy, Melania im odpowiedziała: "Madonna was wkrótce wymiecie!". Istotnie, nie zatwierdzeni przez władze państwowe, musieli niebawem stamtąd odejść, a nawet opuścić Francję na pewien czas. W sierpniu 1902 r. zastąpili ich kapelani wywodzący się z duchowieństwa diecezjalnego, którzy obsługują sanktuarium od maja do października.

Nie znając niezwykłych wieści o Melanii, które za czasów biskupa Fava i o. Berthier wszędzie buszowały, nowi kapelani starają się ją przyjmować z wszelkimi oznakami jak najserdeczniejszej czci.

"Teraz - pisze Melania 24 listopada 1902 r. do ks. Brandta - teraz, gdy na szczęście ojcowie zostali zastąpieni przez kapelanów Matki Bożej Saletyńskiej, którzy zdają się mieć ducha pokory, miłości bliźniego, oderwania od rzeczy przemijających, pobożności, zapału, umartwienia, doskonałej jedności między nimi oraz prawdziwej, solidnej i na wskroś synowskiej miłości do naszej Matki Maryi, będę mogła bez obawy zgorszenia nawiązać łączność ze swą ukochaną górą i utrzymywać stosunki listowne z kapelanami Matki Bożej. Myślę, że ta łączność dla jednej sprawy wyjdzie na korzyść mieszkańców Corps i że nie zaszkodzi pielgrzymom. Pierwszy list napiszę - jeśli Bóg pozwoli - na Boże Narodzenie, tak jak bywało, gdy przebywałam we Włoszech". Roku następnego atmosfera się zmieniła, jeszcze jedno gorzkie rozczarowanie.

Ks. kanonik de Brandt umarł 9 maja 1903 r. Jego następcą i spadkobiercą idei założenia zakonu Matki Bożej jest ks. kanonik Rigaux. Melania udaje się do niego w Argoeuves, w roku 1902 i przebywa tam od 27 września do 2 października, i w roku 1903, by przebywać tam od 8 do 18 sierpnia.

W roku 1903, po powrocie z Argoeuves, Melania jest zmuszona wyprowadzić się z Diou, gdyż dom, w którym mieszkała, został sprzedany (bez jej wiedzy), a nowy właściciel chce go natychmiast zająć. Proboszcz parafii Diou usiłuje pełnić rolę mediatora między Melanią a nowym właścicielem. Píše nerwowe listy, zresztą całkiem niepotrzebne, gdyż w końcu dochodzi do przekonania, że Melania powinna się przenieść. Oto bowiem niejaki o. Parent, którego biskup zmuszony był suspendować, a który coraz bardziej daje się ponieść swej chorobliwej wyobraźni, rozsiewa szaleństwa na temat sekretu saletyńskiego. To właśnie te wariacje doprowadziły do umieszczenia na indeksie *Wielki cios* księdza Combe. Teraz ich autor prześladowuje Melanię swymi listami, robiąc jej jak najgorszą reklamę.

Melania rada by skorzystać z okazji i znów wyjechać do Włoch, ale nie wie jeszcze, gdzie by się udać. Ojciec Fusco podjął się wyszukać jej kryjówkę, ale mu się wcale nie spieszy. Melania daremnie czeka na wiadomość od niego. W końcu ulegając usilnym naleganiom księdza Combe, osiedla się w pobliżu Cusset.

To Cusset - smutna to przystań, żadnej pomocy duchowej prócz rzadkich przyjazdów ks. Combe. I tak upływa dziesięć chmurnych miesięcy, w których dokonuje się agonia moralna ostatnich pięciu lat życia "siostry Ofiary Jezusa".

Wreszcie pisze o. Fusco. Znalazł dla swej drogiej Melanii mieszkanie w południowych Włoszech pod opieką swego przyjaciela o. Cecchini, dominikanina z Valle di Pompei, który został biskupem diecezji Altamura. Altamura to stare miasto w prowincji Bari, zbudowane na płaskowyżu między Adriatykiem a Morzem Śródziemnym. Tam można oddychać, tam Melania

będzie pod opieką biskupa, będzie miała codzienną mszę św. i Komunię świętą, będzie się cieszyć niczym nie zamąconym skupieniem, które przygotowuje jej pogodne zejście.

Ks. Combe zaczynał ją poznawać, gdy tymczasem ona już się wymyka spod jego obserwacji. Nachodzi go tedy dziecinne pragnienie: niechby zachorowała - nie byłaby w stanie podróżować. Nie mógł zrozumieć jej gorącego pragnienia i jakby wewnętrznego nakazu opuszczenia diecezji Moulins i Francji. A przecież powiedziała mu jasno (w liście z 29 stycznia 1904 r.): "Stan Francji napawa mnie lękiem... Wasza Wielbność chce, żebym była zrezygnowana jak inni Francuzi, nie mam takiego pociągu i wątpię, czy św. Paweł miałby go. Boski Mistrz nie napomina uczniów, aby pozostawali tam, gdzie są, ucząc głuchych, ale by strząsnęli proch i poszli gdzie indziej".

ALTAMURA

A więc i ona udaje się gdzie indziej. Dnia 13 czerwca 1904 r. opuściła Cusset i podróżując bez przerwy dniem i nocą, 16 czerwca o 10 wieczorem przybyła do Altamury.

Była już noc. Dobry o. Fusco - po tylu nie dotrzymanych zapowiedziach przyjazdu - miał i teraz podstawę do niedowierzania, nie uprzedził więc nikogo w kurii biskupiej, nikt tedy nie wyszedł na stację, zresztą biskup był nieobecny. Złamana fatygą długotrwałej jazdy, z ogromną opuchlizną nóg i rąk, Melania sama przeszła długą trasę od dworca do miasta, na próżno szukając hotelu.

Ktoś jej wskazał dom, gdzie na pewno zostanie przyjęta. Ona zaś tak potrzebowała spoczynku, że weszła, nie pytając o nic więcej, a był to dom nierządu. Nazajutrz powiadomiła wikariusza generalnego o swym przybyciu. Ks. bp Cecchini poinformowany przez niego; polecił, aby zaopiekowano się nią jak najtroskliwiej. Przybyli tedy księża i wybitne osobistości miasta, aby ją odwiedzić w tym domu niesławy. Jego właścicielka była tak strapiona tymi niebywałymi wizytami, że prosiła Melanię, aby odeszła. Ona jednak pozostawała tam siedem dni, brakowało jej rzeczy najkonieczniejszych, ale była bardzo zadowolona. Biskup poprosił szlachetną rodzinę Giannuzzich, aby ją zabrali do siebie, ona jednak nie przyjęła zaproszenia. "Było mi dobrze w tym domu hańby" - pisze do ks. Combe z Altamura 2 lipca 1904 roku. Nigdy nie wiadomo, jaką niespodziankę sprawi nam saletyńska pasterka.

Ale właścicielka "hotelu" obawia się, że młode lokatorki, nawrócone, wszystkie w końcu odejdą, a pozostanie tylko ta - starucha. Precz z nią! I dopiero wtedy, gdy Melania wbrew woli znalazła się za drzwiami, Emilia Giannuzzi mogła ją zabrać do swej willi na wsi, aby chociaż trochę podreperowała się na zdrowiu. Gdy powrócił ks. bp Cecchini, umieścił ją u wizytek, dopóki nie znajdzie sobie

odpowiedniego mieszkania. Czego najbardziej pragnęła - to swej drogiej samotności i ukochanego ubóstwa. Po kilku tygodniach, pod koniec sierpnia, jest już u siebie, przy ulicy 87 Estramurale (poza murami), u stóp góry Calvario.

Odgłosy świata jeszcze docierają do niej. Jej siostry rozumiały, że powołanie się na pasterkę saletyńską jest przynętą ściągającą im dary. Jedna z nich, pani Guignier, prorokuje w imieniu sławnej siostry. Ks. Combe przysła jej prasę i zwierza się przed nią ze swych kłopotów, ze zniechęcenia.

Ale odosobnienie, wspaniała jasność nieba, ojcowska dobroć biskupa, wzruszająca pobożność ludu wszystko to rozprasza melancholię i wlewa w serce balsam cichej radości. Radości! - wezwanie to dociera aż do księdza Combe.

Co rano przychodziła do katedry. Rankiem 15 grudnia nie pojawiła się. Zaniepokojony ks. biskup posłał do niej swego lokaja. Drzwi były zamknięte. Powiadomiono o tym władzę państwową. Przybyli ich przedstawiciele, wyłamali drzwi. Melania Calvat, ubrana normalnie, leżała martwa na podłodze swego mieszkania ze spokojnym wyrazem twarzy.

W lutym 1903 r. przepowiedziała, w jaki sposób umrze.

Było to w Diou. Przychodziła wtedy do zdrowia po chorobie, w toku, której uznano za konieczne udzielić jej sakramentu chorych. Panna Maria Babin, która się nią opiekowała, zatrzymywała przy sobie klucz od jej drzwi. Raz, w przystępie szczerości, powiedziała jej: "Gdyby siostra umarła sama i gdyby nikt o tym nie wiedział, wyważono by drzwi i znaleziono siostrę martwą. - Ja tak właśnie umrę - odpowiedziała chora - ale nie tutaj. Umrę we Włoszech, w kraju, którego nie znam, gdzie nie znam nikogo, w kraju niemal dzikim, ale w którym ludzie nie przeklinają, lecz kochają Pana Boga. Będę tam sama. Pewnego pięknego poranka ludzie zauważą, że u mnie okiennice są zamknięte, otworzą drzwi i ujrzą mnie martwą. Siostry Babin opowiedziały nam ten szczegół, gdy dnia 6 sierpnia 1916 r. byliśmy w Diou.

Ks. Annibale di Francia - w 17 przypisku mowy, którą wygłosił 14 grudnia 1905 r. w altamurskiej katedrze na cześć pasterki z la Salette - opowiada, iż dwaj mieszkańcy Altamury, gotowi swe zeznania potwierdzić przysięgą, oświadczyli, że 14 grudnia 1904 roku w porze wieczornego Anioł Pański słyszeli rozbrzmiewające w mieszkaniu pobożnej pani francuskiej pieśni niebiańskie śpiewane na nutę *Tantum ergo* tudzież dźwięk dzwonka, tak jak wtedy gdy się przynosi wiatyk święty choremu. Stąd można przypuszczać, że anieli przynieśli Melanii Komunię św.

By uczcić pamięć saletyńskiej pasterki, ks. bp Cecchini postanowił zbudować klasztor i kościół na Montecalvario. Nie mógł w pełni wykonać swego projektu

niał, bowiem umrzeć 17 grudnia 1916 r. w Tarente, ale już wcześniej (w roku 1909) powierzano mu archidiecezję tarentyńską. W pełni doprowadził go do skutku jego następca ks. bp Verrienti. W roku 1916 antoniański sierociniec księdza kanonika Annibale di Francia przeniósł się z Mesyny do nowo zbudowanego klasztoru. Wtedy władze świeckie pozwoliły ekshumować dziewicze ciało Melanii, które tymczasowo spoczywało w *gentilizio* (cmentarzu rodzinnym) sinioriny Ciannuzzi. Z powodu grypy hiszpańskiej, która grasowała w kraju, przeniesienia czcigodnych szczątków miano dokonać nocą 19 września 1918 r. A noc ta była cicha i spokojna, nawet najłżejszy zefirek nie zaszeleścił pióropuszcami palm, tylko księżyc, oświetlając swym srebrzystym blaskiem otaczające pola i uśpione miasto, z wysokiego bezchmurnego nieba przyglądał się niezwykłym pochodom. Jest godzina trzecia nad ranem. Odkryto grób - szkielet jest cały. Ks. kanonik di Francia i dwanaście sióstr antonianek zabiera te bezcenne szczątki. O piątej procesja wchodzi do kościoła Antoniano, gdzie sierotki już czekają ze świecą w ręku. Cała świątynia rozbrzmiewa hymnem świętej radości. Magnificat. O szóstej ks. di Francia rozpoczyna celebrę mszy św.

Po mszy świętej umieszczono kości w małym budynku przylegającym do ogrodu, zanim zostaną złożone we wspaniałym grobowcu zbudowanym w pośrodku kościoła poświęconego Niepokalanemu Poczęciu. Szkielet rekonstruowano w całości, ubrano w habit sióstr antonianek i pozostawiono w pozycji stojącej.

Złożenie do grobu odbyło się w obecności przedstawicieli władzy kościelnej: ks. kanonika Gengo, jako wikariusza generalnego i ks. kanonika Maggi z kurii biskupiej. Rok później, gdy wspaniała budowla została ukończona, dnia 19 września 1919 roku, ks. kanonik Annibale di Francia w drugiej mowie wygłoszonej dla uczczenia s. Marii od Krzyża oświadcza, że Altamura posiada wielki skarb, ale "nasza misja nie jest skończona - mówi dosłownie. - Musimy rozpocząć proces informacyjny dotyczący heroicznych cnót Sługi Bożej i cudów, które zawdzięczamy jej wstawiennictwu. W Taorminie jedna z naszych sierot została momentalnie uzdrowiona z wrzodu żołądka. "Jestem Melania, przychodzę cię uzdrowić" - taki głos usłyszała chora, poczuła dotknięcie Melanii i w tej chwili powróciło jej zdrowie, przy czym uzdrowienie to zostało należycie potwierdzone przez lekarzy, którzy ją leczyli... Mieszkańcy Altamury, nie zapominajcie o swym skarbie. Gdy uprzywilejowanej pasterce z la Salette Kościół przyzna chwałę ołtarzy Pańskich, będą tu przychodziły liczne pielgrzymki. A dzień ten jest bliski" (Miesięcznik Sióstr Antonianek w Mesynie, czerwiec 1920 r.).

Uzdrowiona sierota, Marguerite Aron, zmarła w obozie oświęcimskim w roku 1944.

Czytelniku, proś Matkę Boską Saletyńską, aby to przewidywanie czcigodnego kapłana, którego proces beatyfikacyjny jest w toku, spełniło się jak najprędzej.

Avoise, 31 maja 1954

ks. Paul Guin proboszcz w Avoise (Sarthe)

DODATEK

WIDZENIE UBIORU, KTÓRY NOSIĆ BĘDĄ I DZIEŁ, KTÓRYM POŚWIĘCAĆ SIĘ BĘDĄ SYNOWIE I CÓRKI ZAKONU MATKI BOŻEJ

Kiedy Najświętsza Maryja Panna dyktowała mi regułę swego zakonu i kiedy mówiła o apostołach ostatnich czasów, widziałam jednocześnie olbrzymią równinę ze wzgórkami. Oczy moje widziały wszystko. Nie wiem, czy to były oczy ciała. Ale byłabym bardziej w zgodzie z prawdą, gdybym powiedziała, że miałam ziemię pod sobą i że w ten sposób widziałam świat cały z jego mieszkańcami, oddającymi się swym zajęciom - każdy według swego stanu - ale niektórzy z nich nie kierowali się sprawiedliwością, lecz ambicją. Wszyscy zaś toczyli z sobą wojnę, co było słuszną karą Bożą.

Widziałam, więc olbrzymią równinę z jej mieszkańcami. W pewnych jej częściach ludzie byli biali, w innych byli koloru drewna albo nieco mniej lub więcej ciemni. W innych krajach widziałam ludzi niemal żółtych, koloru bardzo jasnej słomy z oczami czerwonymi. Jeszcze w innych krajach ludzie byli czarni jak węgiel. Widziałam kraje, gdzie mieszkańcy byli bardzo małego wzrostu i inne kraje, gdzie byli bardzo wysocy. Otóż widziałam, że misjonarze i zakonnice byli w tych krajach i we wszystkich częściach kuli ziemskiej.

Widziałam apostołów ostatnich czasów w ich ubraniu. Mieli sutannę czarną, z niezbyt cienkiej tkaniny, bez guzików, zamiast guzików były haftki tak u sutanny, jak u peleryny. Birety były z tkaniny bardzo grubej z rogami dobrze uformowanymi. Pasy mieli białe i takie mniej więcej szerokie jak ta linia, a ich końce zwisały niemal aż do dołu sutanny. Na jednym z końców pasa były trzy litery koloru czerwonego: UDJ (umrzeć dla Jezusa),* na drugim końcu były dwie litery koloru niebieskiego: DM (dziecko Maryi).*

Wszyscy nosili dość duży krzyż, zawieszony na szyi na grubym czarnym sznurze, dolny koniec krzyża zatknięty był za pas po lewej stronie. Ale gdy głosili słowo Boże lub spełniali jakieś inne funkcje religijne, krzyż wisiał na piersiach. Po prawej stronie zamieszczona była na pasie korona z krzyżem bez pasyjki.

Widziałam, że apostołowie ostatnich czasów mieli obuwie białe (podczas długich marszów nosili czarne) ze sprzączką na wierzchu.

Zakonnice, które najpierw wstąpiły do zakonu Matki Bożej, były siostrami Opatrzności w Grenoble, widziałam ich dwie i jedną siostrę konwerską. One były wśród pierwszych, które przyjąwszy ducha zakonu, przyjęły także jego ubiór - w uroczystość Wcielenia Boskiego Odkupiciela. Widziałam, że miały suknię czarną i grubą, uszytą niemal jak worek, z szerokimi rękawami. Ich pantofle były białe ze sprzączkami na wierzchu. Pas, koronka i krzyż były takie jak u ojców. Nie miały czepka, lecz twarz ich była obramowana białym płótnem, na głowie był czarny welon, dość nisko opadający z tyłu. Nosiły rodzaj białej peleryny.

Widziałam, że misjonarze głosili słowo Boże, spowiadali, udzielali pociechy religijnej umierającym, głosili nauki rekolekcyjne: kapłanom, królom i tym, co tworzyli ich dwór, magnatom, urzędnikom i żołnierzom, ubogim i dzieciom, zakonnikom i zakonnicom, kobietom i pannom. W niektórych miejscach widziałam misjonarzy u chorych, ubogich, więźniów, chrzczących dzieci i dorosłych.

W innych miejscach widziałam uczniów apostołów ostatnich czasów. Zrozumiałam jasno, że ci panowie, których nazywam uczniami, również należeli do zakonu. Byli to ludzie wolni. Młodzieńcy, którzy nie czując się powołani do kapłaństwa, chcąc jednak prowadzić głębsze życie chrześcijańskie i zasłużyć na swe zbawienie, towarzyszyli ojcom w pewnych misjach, pracując ze wszystkich sił nad własnym uświęceniem i nad zbawieniem innych dusz. Byli to młodzieńcy bardzo święci i bardzo gorliwi o chwałę Bożą. Byli oni u chorych, którzy nie chcieli się spowiadać, u ubogich, rannych, więźniów, na zebraniach, wśród sekciarzy itd. Widziałam ich nawet jedzących i pijących z bezbożnymi i takimi, którzy nie chcieli słyszeć o Bogu lub o kapłanach. I oto ci aniołowie ziemscy starali się wszelkimi możliwymi środkami mówić do nich, prowadzić ich do Boga, ratować ich biedne dusze, z których każda ma wartość krwi Jezusa Chrystusa, szalonego z miłości ku nam. Widok ten był bardzo jasny, bardzo dokładny i nie pozostawiał mi żadnej wątpliwości, co do tego. W widzeniu tym podziwiałam wielkość Boga, Jego miłość do ludzi i święte pomysły, które podejmował, aby ich wszystkich zbawić. I widziałam, że Jego miłości nie sposób zrozumieć na ziemi, ponieważ ona przewyższa to wszystko, co mogą sobie wyobrazić ludzie nawet najświętsi.

Widziałam, więc, że Ewangelię Jezusa Chrystusa głoszono w całej jej czystości na całej ziemi i wszystkim ludom.

Widziałam, że zakonnice zajmowały się wszelkiego rodzaju dziełami duchowymi i cielesnymi i że rozchodziły się, podobnie jak misjonarze, po całej ziemi.

Z nimi były kobiety i dziewczęta przepelnione zapałem, które pomagały zakonnikom w ich dziełach. Te wdowy i panienki były to osoby, które nie chcąc wiązać się ślubami zakonnymi, pragnęły służyć Panu Bogu, oddawać się pracy nad swym zbawieniem i prowadzić życie oderwane od świata. Nosiły się czarno i były bardzo proste. Miały również krzyż na piersiach, tak jak uczniowie, ale nie na zewnątrz i mniejszy aniżeli krzyż misjonarzy.

Widziałam i zrozumiałam, że apostołowie ostatnich czasów i zakonnice składały trzy śluby zakonne. Nadto przyrzekali oddać się Najświętszej Dziewicy i oddać jej - za dusze w czyśćcu cierpiące i na intencję nawrócenia grzeszników - wszystkie swe modlitwy, wszystkie swe pokuty, słowem, wszystkie swe czyny zasługujące. Uczniowie i kobiety także składali to przyrzeczenie, czyli ofiarę Najświętszej Maryi Pannie.

Widziałam, że misjonarze żyli wspólnie i że razem odmawiali oficjum w chórze. W kilku domach nie byli liczni. Widziałam, że ci uczniowie, co umieli czytać, odmawiali w swej kaplicy oficjum o Najświętszej Maryi Pannie. Widziałam także, iż zakonnice, jak też kobiety, odmawiały oficjum o Najśw. Maryi Pannie.

Zrozumiałam w Bogu, że apostołowie ostatnich czasów mieli postępować śladami apostołów pierwotnego Kościoła Jezusa Chrystusa, z tą tylko różnicą, że ich przełożony generalny troskał się o to, by - jeśli tylko to było możliwe - raz do roku wszyscy członkowie zakonu zebrali się w domu głównym w celu odprawienia dziesięciodniowych rekolekcji. Widziałam też, że gdy członkowie zakonu byli bardzo oddaleni, rekolekcje odbywały się w każdym domu albo też udawali się oni do domów centralnych prowincji. Rekolekcje te odprawiano w celu zahartowania się w zapale i w przestrzeganiu reguły.

Widziałam, że zakonników chorych i takich, którzy wskutek zarażenia się od wielkich tego świata i pod ich wpływem utracili swą pierwotną żarliwość, ulegli zniewieszczeniu oraz zagubili swą miłość i zapał, przełożeni zmieniali i odsyłali do domów specjalnie na to przeznaczonych. W takim domu chorzy byli bardzo starannie pielęgnowani.

Widziałam, że nasz słodki Zbawca patrzył na pracowników tego zakonu z wielkim upodobaniem, ponieważ służyli Mu oni z całkowitym i zupełnym oddaniem, nie szukając siebie samych. Będąc absolutnie oderwani od wszystkich rzeczy ziemskich, znajdowali się całkowicie w ręku Opatrzności Bożej, napełnieni wiarą świętą i ufnością w Boga.

Widziałam dusze czyścicowe w nastroju jakby świątecznej radości z powodu dobrodziejstw, jakie otrzymywały od apostołów ostatnich czasów i widziałam, że dusze, które już zostały wyzwolone z mąk czyścicowych, albo te, którym jeszcze pozostało coś do odpokutowania, a które miały możliwość modlitwy,

dużo się modliły i że dzięki ich modłom dokonywały się liczne nawrócenia. Widziałam, bowiem, że Bóg chce, aby misjonarze i siostry tego zakonu składali wszystkie swe modlitwy, pokuty i dobre uczynki w ręce Maryi, swej pierwszej Przełożonej i Mistrzynie, za dusze czyśćcowe w intencji nawrócenia grzeszników i całego świata.

Widziałam i zrozumiałam, że Pan Bóg chce, aby ten zakon walczył przeciw wszelkim nadużyciom, które doprowadziły do upadku duchowieństwa i stanu zakonnego oraz do ruiny społeczności chrześcijańskiej.

Dzięki przykładowi i zabiegom ojców, wiele zakonów i zgromadzeń zakonnych powracało do swej pierwszej gorliwości albo też przyłączało się do zakonu Matki Bożej.

Widziałam, że zakon ten nigdy, nigdy nie przyjmował jako kandydatów na misjonarzy i kandydatek na siostry - osób, których rodzice potrzebowali opieki lub pomocy danego syna czy córki. A gdy rodzice któregośkolwiek z członków klasztoru popadali w nędzę, klasztor ten z szacunku dla czwartego przykazania, z roztropności i miłości, a także dla spokoju tych ze swych członków, których rodzice byli w potrzebie, dawał hojnie tej rodzinie, zależnie od jej potrzeb, a czynił to z wielką miłością, z wielką radością i wdzięcznością dla Boga za to, że dał wspólnocie okazję ulżenia doli członkom Jezusa, który oddał się nam całkowicie.

Widziałam, że członkowie zakonu Matki Bożej podejmowali wszelkie wysiłki, aby się całkowicie wyzbyć ducha zepsutego świata, aby postępować w miłości Bożej i nabywać cnót Pana naszego Jezusa Chrystusa. Mieli oni bardzo niskie mniemanie o sobie samych. Byli między sobą zjednoczeni, nie mając ani ambicji, ani zazdrości, jedynie pragnąc podobać się we wszystkim swemu Boskiemu Mistrzowi i pożądamy tylko Serca Jezusowego, w którym mieszkali mniej lub więcej wyłącznie, zależnie od tego, czy ich miłość była czystsza i bardziej wspańałowmyślna. Ta miłość Jezusa wydawała w nich owoce wielkiego posłuszeństwa, głębokiej pokory i prostoty, wielkiego umartwienia i bardzo gorącego zapału oraz doskonałego oddania się swemu Boskiemu Mistrzowi do dyspozycji.

Widziałam, że ten zakon był jakby ogniskiem wszystkich dzieł i jakby wieczystym ołtarzem, z którego wznosiła się ku niebu nieustanna modlitwa w przeróżnych intencjach Kościoła świętego, za dusze oziębłe i o nawrócenie grzeszników całego świata.

Castellamare di Stabia, 23 listopada 1876 r.

Rzym, 5 stycznia 1879 r.

siostra Maria od Krzyża uboga pasterka z la Salette

DWA OSTATNIE LISTY SALETYŃSKIEJ PASTERKI

DO KSIĘDZA COMBE, PROBOSZCZA W DIOU (ALLIER)

Altamura, 13 grudnia 1904 r.

Mój przewielebny i najdroższy Ojcie,

Niech Jezus będzie kochany przez wszystkie serca!

Mówi Ksiądz, że zawsze jest zniechęcony, a przecież Ksiądz lepiej aniżeli ja wie, że zniechęcenie nie pochodzi od Boga. Ksiądz ma swe probostwa, a przede wszystkim parafian do ewangelizowania, do katechizowania, chorych do odwiedzania, ubogich do niesienia im pomocy. Czyż nie ma tym polega święty obowiązek każdego kapłana, który zna swą wysoką misję? Na miłość Bożą! Niech Ksiądz się przywiąże do swych parafian, niech nie burczy na nich, ale niech ich miłuje, niech miłuje ich dusze, za które nasz bardzo umiłowany Jezus oddał wszystką swą krew.

Bez wątpienia to kosztuje, ale proszę wiedzieć, że zanim się umrze, trzeba - przez gwałt zadawany naszej biednej i nędznej naturze skłonnej do dogadzania sobie - więcej aniżeli sto razy umrzeć przez wytrwałość cierpliwego znoszenia biednych wieśniaków, którym często brak wykształcenia religijnego, przez cierpliwość i łagodność względem wszystkich.

Ale oprócz powinności względem dusz powierzonych swej pieczy, czyż kapłan nie ma prób do przedstawienia Najwyższemu, za siebie i za innych, przez różaniec, oficjum, rozmyślanie a przynajmniej lekturę duchową, czyż nie ma pożytecznych książek? O, nie! dobry kapłan nigdy się nie nudzi, nie ma czasu na znudzenie, na zniechęcenie się - nie, nigdy.

...Protestuję ze wszystkich sił przeciw publikowaniu *Reguły i Widzenia*, protestuję tym bardziej, że nie otrzymałam polecenia rzucenia peret psom. O roztropności! jakże sponiewierana jesteś!...

Pozdrawiam Ciebie, mój przewielebny i drogi Ojcie, i wszystkich naszych przyjaciół oraz proszę Cię, abyś pobłogosławił swą najoddańszą, najniższą i niepotrzebną służkę.

Melania Calvat pasterka saletyńska

PS - Allegramente (ochoczo) róbmy wszystko dobro, które możemy, ratujmy dusze, ratujmy je wielkimi ofiarami, wielką cierpliwością i łagodnością, dla dusz zapominajmy o sobie.

DO KSIĘDZA MESIÉRE, PROBOSZCZA W LABBÉVILLE

Altamura, 14 grudnia 1904

Mój przewielebny Ojciec,

Niech Jezus będzie kochany przez wszystkie serca!

Wasz dobry list z 28 listopada przyszedł przedwczoraj, 12 grudnia, dlatego, chociaż to adwent, czas pokuty, to jednak spieszę napisać Ci tych kilka zdań, jeżeli Bóg pozwoli.

Mimo swojej najgłębszej i jak najbardziej realnej niegodności z całego serca jednocześnie moje słabe z modlitwami Ojca, które są tak gorące, w intencji powrotu do Boga tych dusz, których ceną jest Najdroższa Krew Jezusa Chrystusa. Ratujmy je nie tylko naszymi prośbami, ale także ofiarami i naszą pokorą.

Wasza Wielebność, jako wysłannik Boży do ewangelizowania dusz swej parafii, o wiele lepiej aniżeli ja, ciemna najniższa pasterka, wie, co ma robić na wypadek srogiego prześladowania, prześladowania, którego myśmy chcieli; któreśmy niejako wyrwali z rąk sprawiedliwości Bożej.

Kapłan powinien we wszystkim i wszędzie być wzorem cnót, które praktykował nasz kochający Jezus Chrystus w swym świętym człowieczeństwie, a przecież ze słów życia, tj. z Ewangelii świętej wiemy, że noce spędzał On na modlitwie, a w dzień zajmował się nauczaniem tłumów, które chodziły za Nim. Uzdrawiał chorych, słabych na duszy i ciele i świadczył tysiące, tysiące innych dobrodziejstw, które pominiemy. Niech duchowieństwo już przestanie się łudzić, co do następstw prowadzenia dusz do zbawienia drogami krętymi oraz zarzucania modlitwy myślniej i ustnej. W takich warunkach biedny lud, który to wszystko widzi, w końcu oddala się od Kościoła. Biedny lud, biedna Francja i biedny kler, który przez swój egoizm utracił prawdziwe światło Odwiecznej Mądrości.

Napisano gdzieś, że ktokolwiek jest wierny w małych rzeczach (w małych praktykach swych obowiązków), będzie także wierny w wielkich. I rzeczywiście, jakże ci egoistyczni księża, którzy szukają tylko zaspokojenia potrzeb dóbr przejściowych, zadowolenia swej natury, swych zmysłów, mogą mieć łaskę odmówienia złożenia przysięgi, gdyby jej od nich żądano, albo przyjęcia ze spokojem głodu, więzienia, rozstrzelania czy gilotyny, które by ich czekały? Szczęśliwi, po tysiąckroć szczęśliwi kapłani według Serca Bożego, którzy służą Bogu i którzy Go kochają w duchu i prawdzie razem z Najświętszą Maryją Panną, szczęśliwi wszyscy ci, którzy się poświęcają dla swych parafian, aby ich pocieszać w trudach, dodawać im otuchy w smutkach, wspierać ich w ubóstwie, uczyć dróg Bożych, które prowadzą do wiecznej chwały w niebie.

Odpowiadam, mój Przewielebny Ojcze, na Wasze pytanie, ale nie jesteście obowiązani mi wierzyć, ponieważ jestem samą ignorancją. Wyobrażam sobie najwyższy i najrozleglejszy tytuł, jaki tylko może istnieć na ziemi: jestem kapłanem Najwyższego. Mam dwie parafie do obsłużenia i zbawienia. Zawsze głosiłem kazania swobodnie, nie ulegając żadnemu naciskowi, gdyż jestem sługą Stwórcy i Zbawiciela, a moją misją jest nauczać dusze powierzone mi przez Niego. Sekty piekielne szpiegują mnie, aby znaleźć powód do uwięzienia mnie i wrzucenia do Sekwany z kamieniem u szyi. Raz przyszedł do mnie pewien przyjaciel, by mnie poinformować, że sekta postanowiła mnie zabrać. Uciekaj! uciekaj! - mówią mi przyjaciele. Ja zaś muszę odpowiedzieć: Nie, nie, powierzono mi pieczę nad duszami: sam ich nie opuszczę. Ależ uprowadzą cię... Nie, mówię wam, że nie porzucę swych owieczek. Zabiorą mnie, zaciągną, ale nie pozostawię swych parafii: ani tej, która ma wiarę żywą, ani tej, która jest obojętna, bo wiara w niej zamarła. Pasterz powinien trwać na posterunku i jeśli trzeba, umrzeć ze swymi owieczkami. Inaczej postąpić byłoby zbrodnią, zdradą Boga i dusz. Nie, nie, proboszcz nie powinien uciekać, by ująć prześladowania. Bóg będzie umiał uratować swych wybranych. A tymczasem trzeba krwi sprawiedliwych, aby uśmierzyć sprawiedliwość Bożą.

Proszę Cię, przewielebny Ojcze, abyś raczył pobłogosławić swą najniższą i niepotrzebną służkę, która pozostaje z głębokim szacunkiem.

Melania Calvat pasterka saletyńska



Fot. Piękno La Salette

